

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA SOBOTA

- Gra wideo na ulicach Paryża
- Zetki widzą światelko w tunelu
- Depresja czy wołanie o pomoc
- Pan Samochodzik: seks i poglądy
- Karkówka to samo zdrowie



WYSOKIE OBCASY
Justyna Sobczyk,
założycielka Teatru 21:
kto ma prawo marzyć
o rodzinie



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

AI napisze
nam
piosenki
o miłości



PS.

RYS. PATRY SROCZYŃSKI

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Jak rozwiązać węzeł wołyński

Motyka: Pomniki UPA nigdy nie przestaną drażnić Polaków. Hrycak: Bandera łączy Ukraińców jako symbol walki z Rosją



Sto lat Jaruzelskiego

Nałącz: Większość stron swego życiorysu zapisał na czarno. Ale nie wszystkie

Sposób na Kaczyńskiego: jazda po bandzie

Imigranci pomagają opozycji

Filmik Tuska o hipokryzji PiS obejrzało więcej ludzi niż Koalicja Obywatelska ma wyborców

Wielowieyska



Krótką mowa Tuska o hipokryzji PiS w sprawie imigrantów miała w mediach społecznościowych rekordową liczbę odsłon: ponad 5 mln. To więcej niż liczba wyborców, którzy zagłosowali na Koalicję Obywatelską cztery lata temu. Nagranie skrytykowały Lewica i część komentatorów bo momentami Tusk zdawał się wchodzić w buty Konfederacji. A jednak ten manewr mu nie zaszkodzi.

W czerwcu KO urosła w sondażach, a jej dystans od PiS znacząco zmalał. Ale przy przeliczaniu głosów na mandaty opozycja nie ma większości w Sejmie. Może się to zmienić, jeśli przeskoczy PiS w sondażach. Dlatego Tusk jedzie po bandzie, wywołując oburzenie części elit, bo wie, że bez ryzykownych zagrań notowania nie pójdą w górę.

Jarosław Kaczyński szukał tematu, który poniesie kampanię. Gdy ogłosił 800+ od stycznia przyszłego roku, Tusk zaproponował tę samą waloryzację już od 1 czerwca. Potem Kaczyński postawił na komisję ds. wpływów rosyjskich, która miała Tuska pognębić. Ale był to bubel prawny i ekipa rządząca zaczęła się wycofywać z części rozwiązań. Komisja nie powstała, zainteresowanie tematem osłabło. Następnie PiS postanowił w ramach nowego otwarcia urządzić wiec w Bogatyni, aby wyeksponować temat kopalni Turów i zneutralizować spotkanie Tuska z wyborcami na Dolnym Śląsku. Sztab lidera PO wy-

prowadził jednak bolesny cios. Szacunek za dobre przygotowanie i refleks – przypomniał ze szczegółami, jak to samorządowa ekipa PiS z Bogatyni została oskarżona o korupcję i wiele innych przestępstw. Kolejna zatem próba rządzących: Unia Europejska przygotowuje zmiany w prawie dotyczącym imigrantów i ich ewentualnej relokacji. Głównie po to, by sprawniej ich deportować, lecz PiS uznał, że nadarza się wspaniała okazja, aby odrząć temat i straszyć Polaków „obcymi”. Nas relokacja i tak nie dotyczyłaby, bo jesteśmy krajem pod tzw. presją migracyjną. Ale kto by tam zważał na szczegóły.

Odpowiedź Tuska była nokautem. Pokazał, że za PiS sprowadzamy tysiące osób z Azji i Afryki, przyznając im prawo do pracy. Na dodatek PiS szykuje rozporządzenie, które potroi tę liczbę, a państwo praktycznie straci kontrolę nad tym, kto do nas przyjeżdża. Władza więc z jednej strony szczuje na imigrantów, a z drugiej – masowo ich przyjmuje.

Rządzący bronią się, że przecież firmy potrzebują ludzi, a pracownicy z wizą to zupełnie coś innego niż nielegalni imigranci. Jednak duża liczba potomków imigrantów we Francji to efekt otwartych drzwi i lewicowych, i prawicowych powojennych ekip rządzących, szukających taniej siły roboczej. Tę samą politykę otwartych drzwi prowadzi gabinet Morawieckiego. Ostatecznym dowodem na porażkę PiS jest to, że – jak napisał „Dziennik Gazeta Prawna” – rząd wycofuje się z rozporządzenia, które pozwoliłoby na sprowadzanie większej liczby pracowników. Kaczyński wyraźnie się wystraszył.

Czy jednak Tusk nie zaszkodził sobie tym filmikiem? Powiązał rosnącą liczbę pracowników z Azji i Afryki z wydarzeniami we Francji i wywołał wraże-

nie, że owi pracownicy są jakimś wielkim zagrożeniem dla Polski. To krzywdzące dla tych osób. Poza tym we Francji mówimy o wielomilionowej społeczności i kolejnych pokoleniach imigrantów, w Polsce – raptem o dwóch czy trzech setkach tysięcy osób, z których część wróci do domu. Dlatego początek mowy Tuska mi się nie spodobał, bo w wypowiedziach polityka nie może być nawet cienia niechęci do obcokrajowców, którzy legalnie u nas pracują. Tusk zresztą nie pozostał głuchy na krytykę, bo we wtorek wrzucił następny filmik, w którym bardzo duży nacisk kładzie na szacunek dla ludzi niezależnie od ich koloru skóry czy religii.

Zaryzykuję tezę, że KO na tym wystąpieniu swego lidera nie straci. Zsondaży wynika, że większość Polaków obawia się takich scen jak we Francji. A Tusk podkreślał, że sprowadzanie ludzi do pracy musi się odbywać pod ścisłą kontrolą, tymczasem rząd sobie z tym nie radzi. Wyborcy KO nie są ksenofobami, ale odczuwają bardzo podobny lęk jak wyborcy PiS, choć wstydzą się do tego przyznać. Zdają sobie sprawę, że masowa imigracja stwarza problemy związane z asymilacją, i jeśli tak zamożne państwo jak Francja średnio sobie z tym radzi, to pojawia się pytanie, czy my damy radę. Obrzydliwa propaganda PiS nie może oznaczać, że rezygnujemy z poważnej debaty i ignorujemy doświadczenia innych krajów.

W sieci czytam krytykę Tuska, że zmienił front. Otóż nie zmienił. To PiS usiłuje go przedstawiać jako zwolennika polityki otwartych drzwi.

W sieci czytam krytykę Tuska, że zmienił front. Otóż nie zmienił. To PiS usiłuje go przedstawiać jako zwolennika polityki otwartych drzwi. Tymczasem Tusk w 2016 r. jeszcze jako szef Rady Europejskiej skonfliktował się z Angelą Merkel w sprawie imigrantów i uchodźców. Podkreślał, że głównym zadaniem jest uszczelnienie granic Unii. Nie był przeciwny budowie muru na granicy polsko-białoruskiej, nie atakował Straży Granicznej jak inni politycy opozycji. Lider KO zawsze uważał, że masowa imigracja może oznaczać wzrost poparcia dla populistycznych, antyunijnych formacji w krajach europejskich. A to z kolei może rozsadzić UE od wewnątrz.

Atak na Kaczyńskiego za politykę otwartych drzwi i hipokryzję jest dowodem na to, że Tusk w swoich poglądach jest niezmienny. Film był strzałem w dziesiątkę, bo mamy prawo pytać, czy sprowadzenie tak wielu pracowników z Azji i Afryki akurat teraz nie jest intencjonalnym działaniem, które ma wywołać napięcia i konflikty w polskim społeczeństwie. I stworzyć odpowiednie warunki do referendum w sprawie relokacji, które PiS nadal planuje w dniu wyborów.

Sztab Tuska był w stanie odeprzeć ciosy PiS, ale pytanie, czy Koalicja Obywatelska w tych ostatnich miesiącach kampanii potrafi narzucić tematy, a nie tylko sprawnie ripostować. Być może takim tematem będą fundusze unijne, do których tracimy dostęp z winy PiS. Ostatnie uderzenie na krótko przed dniem głosowania bywa kluczowe i dlatego każda z partii do ostatniej chwili trzyma za pazuchą swoje największe atuty. ●

Dominika Wielowieyska

Andrzej rysuje



Liczba dnia

51

PROC. ubiegłorocznych ślubów zawarto w kościele, a 49 proc. wyłącznie w urzędzie stanu cywilnego – jeszcze nigdy te dwa rodzaje formalności nie były tak zbliżone liczbowo (w 2010 r. udział ślubów wyznaniowych wynosił 68 proc.)
Więcej ► biqdata.wyborcza.pl

Czytajmy „Byczka Fernando” W Pampelunie znów będzie czerwono



Obroncy praw zwierząt znów protestują na Plaza del Ayuntamiento przeciw tej okrutnej tradycji. Ale festiwal San Fermin właśnie znów się zaczął, tłum turystów przyjechał, by oglądać gonitwę otepionych byków przez uliczki miasta. Zginą w wieczornej corridzie. 5 lipca 2023 r., Pampeluna.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)



Śmierć politycznie użyteczna

PiS uwielbia ciemną skórę

Kublik



Dziś wybory to już nie wojny na programy, ale wojny o uwagę wyborców. Kaczyński, Morawiecki i cały PiS uznali, że przyciągną ją strachem przed innym kolorem skóry i śmiercią rodaków. Żadne zaskoczenie, sprawdzono w wielu kampaniach, że to działa. Ale PiS i tu potrafi zaskoczyć: nawet śmierć potrafią potraktować wybiórczo.

12 czerwca 27-letnia Anastazja Rubińska, która pracowała na wyspie Kos w luksusowym hotelu, wyszła wieczorem na drinka. 18 czerwca znaleziono jej ciało owinięte workiem. Podejrzany to ciemnoskóry mieszkaniec Bangladeszu.

16 czerwca w Londynie zginęła polska rodzina Włodarczyków. Policjanci odkryli w domu ciała: Moniki (35 lat), Michała (39 lat), Mai (11 lat) i Dawida (3 lata). Monika sprzątała w hotelu, Michał

był budowlańcem. Ona zmarła w wyniku licznych obrażeń zadanych ostrym narzędziem, on miał rany cięte na szyi. Londyńscy śledczy mają dwie hipotezy: nieszczęśliwy wypadek oraz zabójstwo popełnione przez jednego z członków rodziny, zakończone jego samobójstwem.

Śmierć Anastazji wstrząsnęła mieszkańcami wyspy Kos. I rozpałała głowy polskich ministrów. Śmierć Włodarczyków wstrząsnęła Brytyjczykami. I nie rozpałała głów polskich ministrów.

Już 19 czerwca włączył się Ziobro: „W związku z zabójstwem 27-letniej Polki w Grecji poleciłem wszczęcie śledztwa. Prokuratorzy niezwłocznie wystąpią do greckich śledczych o przekazanie materiału dowodowego”. Jako prawnik powinien wiedzieć, że nasi śledczy w Grecji będą tylko gośćmi, bo śledztwo w Grecji prowadzi władze Grecji.

Tego samego dnia premier zaczął wierzyć: „Jestem wstrząśnięty brutalnym morderstwem 27-letniej Anastazji. Dlatego zwrócimy się do Grecji o wydanie podejrzanego, aby stanął przed polskim sądem i otrzymał najwyższy możliwy wymiar kary”.

Morawiecki jako szef rządu powinien wiedzieć, że „podejrzany nie może stanąć przed polskim sądem”, bo zgodnie z międzynarodowymi umowami współpraca z Grecją dotyczy sytuacji, jeśli obywatel Polski popełniłby przestępstwo w Grecji i odwrotnie. Owszem, i Ziobro, i Morawiecki to wiedzą. Świadczy o tym skoordynowana polityka mediów kontrolowanych przez PiS.

20 czerwca Joachim Brudziński, szef sztabu wyborczego PiS, europoseł: „Ta tragedia na wyspie w Grecji, która dotknęła naszą rodaczkę, jest tragedią z tego powodu, że na tę wyspę trafili nielegalni migranci. Nie chcę wszystkich mieszkańców północnej Afryki nazywać przestępcami, ale szczytem naiwności jest polityka prezentowana przez polityków PO”.

21 czerwca TVP Info donosi, że po wyspie grasuje „zorganizowana grupa imigrantów polujących na kobiety”. A „Wiadomości” TVP straszą zdjęciami młodych, ciemnoskórych, agresywnych mężczyzn. No to szukam newsów o londyńskiej tragedii. Na stronie TVP Info nie znajduję zbyt wiele. Ziobro, Morawiecki, Brudziński też nie tweetują.

Ale na szczęście sam PiS podważa własną antyimigrancką narrację. Oto Tusk nagłośnił przygotowane przez rząd Morawieckiego rozporządzenie o sprowadzaniu pracowników z zagranicy. Dotyczyło obywateli Arabii Saudyjskiej, Armenii, Azerbejdżanu, Filipin, Gruzji, Indii, Indonezji, Iranu, Kataru, Kazachstanu, Kuwejtu, Mołdawii, Nigerii, Pakistanu, Tajlandii, Turcji, Ukrainy, Uzbekistanu, Wietnamu oraz Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Cel? „Poprawa sytuacji na rynku pracy”. Do Polski miało napływać około 400 tys. osób rocznie. A to tylko kontynuacja oficjalnej polityki migracyjnej – rok temu rząd PiS wystawił 135 tys. wiz dla imigrantów z państw muzułmańskich.

Tusk pokazał, że z jednej strony szczują na imigrantów, z drugiej – usprawniają wystawianie im wiz. PiS właśnie się z tego rozporządzenia wycofał, czyli będzie na imigrantów szczuł aż do wyborów.

Morderstwo na wyspie Kos to dla Kaczyńskiego i Morawieckiego wyborcze złoto. Ale gdyby sprawca był białym Europejczykiem, w ogóle by ich to nie obeszło. Jak tragedia w Londynie. ● **Agnieszka Kublik**

Kod dostępu
do Wyborcza.pl



W poniedziałek
w DF

Tłumaczyłam koleżdze, że grzywka mi przeszkadza i dlatego tak ruszam głową, aż przyznałam, że to taka choroba. Powiedział, że powinien chodzić do szkoły specjalnej
Dzieci z syndromem Tourette'a proszą:
Uważaj na słowa

TOMASZ P.

TERLIKOWSKI

WYGASANIE

ZMIERZCH MOJEGO KOŚCIOŁA

CZY POLSKA BĘDZIE POSTKATOLICKA?

CZY GRZECHY I ZANIEDBANIA POLSKIEGO KOŚCIOŁA PROWADZĄ GO DO UPADKU?

CZY RELIGIJNOŚĆ POLAKÓW DA SIĘ JESZCZE URATOWAĆ?

30 lat Wydawnictwa Literackiego

facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydlit

GRZĄSKI GRUNT KSENOFOBII

Strategia Tuska – „kochać” – okazała się wydmuszką. Strategia Kaczyńskiego – „dzielić” – została skutecznie wprowadzona w życie

Maciej Jarkowiec

Oglądamy wstrząśnięci sceny z brutalnych zamieszek we Francji...”. Tak rozpoczyna się zilustrowane dramatyczną muzyką, wygłoszone z bojową miną, zakończone wezwaniem do odzyskania kontroli nad państwem i jego granicami wystąpienie Donalda Tuska na Twitterze, które zanotowało kilka milionów odsłon i wywołało tsunami komentarzy. Kolejną wypowiedź, w jakiej kontynuował wątek, Tusk zakończył pytaniem do pisowskiej władzy: „O co wam tak naprawdę chodzi?”.

Spróbujemy rozstrzygnąć, o co chodzi w wystąpieniach Tuska.

Ujmując rzecz słownikowo – są ksenofobiczne. Ksenofob (wg PWN): „człowiek niechętnie lub wrogo usposobiony do cudzoziemców i cudzoziemskiej albo obawiający się ich”. Określoną grupę ludzi „z takich państw” Tusk łączy z zagrożeniem przemocą podobną do tej, jaką „oglądamy wstrząśnięci we Francji”. Cudzoziemcy „z takich państw” są „prawdziwą bombą”, jaką szykuje nam władza.

Proces osiedlania się przybyszów we Francji – w większości z byłych kolonii – rozpoczął się w dekadach powojennych w wyniku polityki państwa. Rozpędzona gospodarka potrzebowała rąk do pracy. Podobne zjawisko, w różnej skali, następowało w innych krajach Europy Zachodniej. Przyjmowały one wiele modeli polityki integracyjnej i wprowadzały je ze zmiennym powodzeniem. Dziś różny jest w nich poziom integracji i każde z państw zмага się z problemami z nią związanymi. Nie zmienia to faktu, że biorąc pod uwagę skalę migracji – liczoną w dziesiątkach milionów ludzi z odmiennych kultur – integracja migrantów w krajach Europy Zachodniej nie jest pozbawiona sukcesów. We Francji, w Niemczech czy Wielkiej Brytanii tysiące ludzi pochodzenia imigranckiego uczestniczy w życiu publicznym, biznesowym, kulturalnym. Są zintegrowani z nowym typem społeczeństwa. W istocie różni się ono od przedwojennego, za którym tęskni wielu, tak jak wielu Amerykanów tęskni za tym, żeby Ameryka znów była wspaniała. Nigdy wspaniała nie była, tak jak przedwojenne społeczeństwa Europy nie były wolne od napięć społecznych, klasowych, etnicznych, od przemocy. Dziś mimo trudności i zdarzających się aktów terroru ulice miast nie spływają na co dzień krwią wojen imigrantów z autochtonami. Poziom przemocy nie jest wysoki w porównaniu ze średnią światową. Wielokulturowe kraje Europy Zachodniej są określane jako względnie bezpieczne. Na tle całego globu jakość życia jest w nich wysoka.

We Francji co kilka lat dochodzi do zamieszek, takich jak teraz po śmierci zastrzelonego przez policję Nahela Merzouka. Podłoże niepokojów jest złożone. W wielu miastach trwa obopólna niechęć między białą większością i wieloetniczną mniejszością. Jej powody są historyczne, rasowe, ale również klasowe. Istnieje bariera między zamożnymi centrami metropolii i biedniejszymi przedmieściami zwanymi banlieue. Zwraca się jednak uwagę, że mieszkańcami banlieue są również niezamożne rodziny etnicznie francuskie i młodzi biali Francuzi też uczestniczą w zamieszkach. To bunt w dużej mierze przeciw policji. Konfrontacja młodego pokolenia z policją nie jest specyfiką wyłącznie francuską. W Polsce w ostatnich trzech dekadach też dochodziło do gwałtownych wystąpień młodych przeciw policji. Antypolicyjne graffiti jest na każdym polskim blokowisku. Wiem z doświadczeń we własnej rodzinie, że nie nawiść do policji nie dotyczy tylko środowisk kibolskich. Zapytajcie, co sądzi o policji, rapera Matę, syna znanego prawnika.

W Polsce nie dotyka nas na razie aspekt rasowy złej relacji mundurowych z młodym pokoleniem. We Francji ma on znaczenie. Ekspertci stawiają pytanie: czy to rzeczywiście przemoc, jaką się ją niebiali

Konfrontacja młodego pokolenia z policją nie jest specyfiką francuską. Zapytajcie, co sądzi o policji, rapera Matę, syna znanego prawnika

młodzi Francuzi, uruchamia działania policji? Czy może błędne strategie i rasizm w policyjnych szeregach od dekad manifestowany z użyciem siły przyczynia się do przemocy i utrudnia integrację.

Tusk nie zagłębia się w te niuanse. To zrozumiałe – jego wypowiedź jest polityczna, musi być jasna. Wali więc prosto z mostu, wzorem Kaczyńskiego – ludzie „z takich krajów” to zagrożenie, „prawdziwa bomba”.

Tusk chce wygrać wybory i szuka sposobów na pozyskanie głosów. Problemem Platformy jest sufit poparcia, jakiego nie może przebić. Wynika on z dwóch czynników. Po pierwsze, Tusk nie jest w stanie odebrać głosów PiS-u, bo nawet tak zwani umiarkowani zwolennicy partii rządzącej darzą go – delikatnie mówiąc – niechęcią, karmioną nieustannie nawozem propagandy. Tusk ma też drugą grupę zdyscyplinowanego negatywnego elektoratu w postaci lewicowej części społeczeństwa, która wyobraża sobie, że Polska pod względem obyczajów i kultury powinna zejść z płotu, na którym siedzi między Wschodem a Zachodem i przejść na zachodnią stronę mocy. Tusk wie, że nie zdobędzie dusz tych ludzi, dlatego realizuje strategię wykończenia konserwatywnej Trzeciej Drogi i przejęcia jej głosów oraz – w tym celu uderza w tony antyimigranckie – poszukuje dodatkowych punktów wśród wyborców Konfederacji.

Nie wróżę mu na tym polu powodzenia. Jego formacja, jak wszystkie inne na opozycji, cierpi na chroniczny brak opowieści. Kaczyński zdusza inne partie, zagarniając tlen niemal wszystkich dostępnych narracji. Lewica nie prześcignie go w tak zwanym rozdawnictwie. PSL nie odbierze mu wsi uwiedzionej pisowską opowieścią o bogu i tradycji. Konfederacja jest tylko libertariańskim anty-PiS-em, w narracji narodowowyzwoleńczej też PiS-u nie pokona. Hołownia to tylko nowy Tusk, lecz bez żadnego doświadczenia, skazany tym samym na pożarcie. A Tusk? Niestety jest tylko anty-Kaczyńskim. Mimo starań nie potrafi narzucić swojej, świeżej i oryginalnej opowieści. Brnie więc coraz głębiej w koleinach wyjeżdżonych przez pisowskie czołgi. Krytykując szczucie na obcych, sam zaczyna szczuć na obcych.

Dawno temu wydawało się, że Tusk ma swoją opowieść. W zwycięskim przemówieniu powoyborczym jesienią 2007 r. wołał, że „najważniejsza w życiu jest miłość”. Brzmiało nieco naiwnie z ust rasowego polityka, który właśnie przejmował władzę w 38-milionowym kraju. Hasło dało jednak zgrabną kontrolę do pisowskiej wizji, w której najważniejsze są Bóg, honor i ojczyzna.

Za odezwą nie poszły czyny. Przez osiem lat Platforma rządziła w miarę sprawnie, ale nie podjęła się najtrudniejszego zadania – modernizacji polskiego społeczeństwa. Stawiała stadiony i kładła autostrady, ale nie budowała otwartości. Tusk wybrał politykę ciepłej wody w kranie i otwarcie mówił, że w obawie przed utratą głosów woli nie drażnić społeczeństwa kulturowymi reformami. Trwała w najlepsze postawiona na XIX-wiecznych pruskich wzorach narodowa, cierpiętnicza edukacja. Pobudzała konkurencję, nie współpracę pośród uczniów, i niechęć, nie sympatię do wyobcowanych nauczycieli – pierwszych przedstawicieli państwa, z jakimi styka się dziecko. Zbyt lewacka była propozycja legalizacji związków partnerskich czy naruszenia tak zwanego kompromisu aborcyjnego. Kościół odzyskiwał zarobowane mu jakoby grunty, władza nie ważyła się zaglądać za drzwi plebanii, gdzie działa się krzywdy. Tusk nie słuchał tych doradców, którzy podszeptali, że Polska znalazła się w idealnym momencie, aby wzorem innych krajów dokonać kulturowego skoku do przodu. Ich doświadczenia pokazywały, że zmiany w kulturze dokonywane przez wprowadzanie postępowych reform mogą trwale odmienić społeczeństwo i nie muszą oznaczać utraty władzy. Premier bał się wściekłości ciemnego ponoc ludu. Brak odwagi okazał się skuteczną strategią tylko raz – w 2011 r. PO utrzymała większość. Cztery lata później Kaczyński wygrał i to on od ośmiu lat prowadzi kulturową rewolucję. Odgórnie odmienia społeczeństwo. Po swojemu.

Strategia Tuska – „kochać” – okazała się wydmuszką. Strategia Kaczyńskiego – „dzielić” – została skutecznie wprowadzona w życie. Nienawiść bulgocze na internetowych forach i w prywatnych rozmowach. Tworzą się nowe podziały. Kto nie zapisuje się do armii nienawiści, dostaje łatę symetrysty. Hejtu, jaki rozlewa się pod tekstami takimi jak ten, nie sposób już nawet modelować, bo trzeba by zupełnie wyłączyć dyskusję. Dziś – jak pokazują badania – tysiące zwolenników Tuska zięją do PiS-u i jego wyborców większą niechęcią niż zwolennicy Kaczyńskiego do wyborców PO. Nieinte-

resująca wydaje im się refleksja, że stali się dowodem na triumf Kaczyńskiego. To jemu zależało, żeby nas skłócić.

O władzę w Polsce walczy niemal wyłącznie prawica – PiS, PO, Konfederacja, Hołownia, PSL. Słabość lewej strony można tłumaczyć historią społeczno-polityczną ostatniego stulecia, ale nie sposób zamknąć oczu na małość lewicowej elity. Jej najbardziej charzmatyczną postacią stał się Włodzimierz Czarzasty, facet, który jako młody człowiek, kilkanaście miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego, zapisał się do PZPR i sam siebie nazywa „wielką mendą”. Na tle Czarzastego oraz jego młodszych, mniej zdolnych przybocznych Biedronia i Zandberga Tusk rzeczywiście jest politycznym gigantem.

Szef Platformy nie ma obowiązku brać na siebie zadania popchnięcia Polski w stronę nowoczesnych, liberalnych demokracji Zachodu, gdzie kwestie kulturowe – jak dostęp do aborcji, małżeństwa dla wszystkich czy rozdział Kościoła od państwa – nie są już przedmiotem debat nawet na prawicy. Takie zadanie spoczywa na barkach lewicy. Tusk steruje formacją centroprawicową w realiach polskich i po swoim obliczu dla niej taktukę. Nie można mu jednak wybaczyć tego, że wkracza na grząski grunt polskiej ksenofobii.

Dominika Wielowieyska pisze, że wyborcy KO nie są ksenofobami. Nie znam takich badań. Doświadczenia mówią mi, że wielu z nich z równą zapalczywością wyraża się o „pisiorach”, co o „ciapatych”, „pedałach” i feministkach. Tusk wie, że ich nie straci, przestrzegając przed „prawdziwą bombą”, „właśnie z tych krajów” i chwyląc się tym, że sprowadził mniej obcych od PiS-u. Dla swoich bardziej otwartych wyborców ma szybkie wyjaśnienie, że „potrzebujemy polityki, w której każdy człowiek niezależnie od miejsca pochodzenia, religii, koloru skóry czy poglądów cieszy się pełnym szacunkiem”. Po swojemu – siedzi na płocie.

Dobrze wie, jakie stoją przed nami wyzwania demograficzne i że sprowadzanie imigrantów zarobkowych z różnych części świata musi być przedmiotem merytorycznej debaty. Wie, że migracje uchodźcze będą trwać na całym świecie i żadna kultura poza północnokoreańską nie uniknie ich wpływu. Wie, że nastroje wobec trzymilionowej mniejszości ukraińskiej się pogarszają. Mimo to – wzorem Kaczyńskiego – idzie w emocje. Popelnia największy grzech swojego największego wroga – wybiera cynizm.



DZIECI AKI Z ROZDWOJONEGO ŚWIATA

Francuzi o arabskich korzeniach są gwiazdami festiwalu w Cannes, literackiej Nagrody Goncourtów. Ich dzieci zwołują się na TikToku, by palić i niszczyć

Kinga Strzelecka-Pilch

Plakat filmu. Ciemnoniebieskie tło. Trzy kobiety. Najstarsza z nich ukrywa włosy pod czarnym materiałem. Dwie młodsze mają kruczoczarne włosy. Ich cera jest śniada. Oczy ciemne, wyraźnie kontrastujące z białkiem. Smutne. Podkreślone czarną kredką – charakterystycznym arabskim kajalem. Patrzą wprost w obiektyw. Na ekrany francuskich kin wszedł właśnie film „Les Filles d’Olfa” (w polskiej dystrybucji „Cztery córki”) pokazany w konkursie głównym tegorocznego festiwalu w Cannes. Francuska telewizja podkreślała przy tej okazji, że kino tunezyjskie świętuje 100-lecie. Reżyserka filmu Kaouther Ben Hania to 45-letnia Tunezyjka. Mieszka w Paryżu. Reżyserię studiowała w Tunezji, co ważne – pracowała jako reporterka dla telewizji Al-Dżazira. To ukształtowało jej styl. „Cztery córki” nazywa „doku-fikcją”. W filmie występuje jednocześnie postać rzeczywista – Olfa i aktorka odtwarzająca jej rolę.

Olfa to Tunezyjka w średnim wieku zawieszona w silnie patriarchalnym społeczeństwie, bita i wykorzystywana seksualnie przez męża od nocy poślubnej. Jest matką czterech córek, dwie z nich radykalizują się i wstępują w struktury Państwa Islamskiego, rodzina traci je bezpowrotnie, nie ma z nimi kontaktu. Arabska wiosna rozczarowała to pokolenie. Pozostałe dwie idą w nowoczesną stronę, podmiotowość, wolność i kobiecość. „Państwo boi się mojego ciała, chcę, by moje ciało należało do mnie” – mówi jedna z córek.

Podobnie najbardziej prestiżowa francuska nagroda literacka – Nagroda Goncourtów – pokazuje, że wielokulturowość to trwała cecha francuskiego społeczeństwa, asymilacja nie tylko przebiegła w wielu przypadkach wzorowo, ale także pozwoliła na wejście dawnych mniejszości do głównego dyskursu. W 2009 roku nagrodę dostała Marie NDiaye, córka senegalskiego imigranta, w 2016 roku Marokanka Leïla Slimani, a w 2021 roku senegalski pisarz Mohamed Mbougar Sarr. Piosenki francuskie tworzyła Dalida – Egipcjanka, Barbara Pravi reprezentująca Francję podczas Eurowizji 2021 ma irańskie korzenie, a tegoroczna reprezentantka Fatima-Zahra Hafdi – marokańskie, Jean Reno urodził się w Maroku, Kad Merad znany z ról komediowych – w Algierii, z algierskiej rodziny pochodzi Samy Naceri z filmu „Taxi”, a Omar Sy znany z filmu „Nietykalni” to syn Senegalczyków, jedna z najbardziej rozpoznawalnych we Francji prenterek telewizyjnych Léa Salamé urodziła się w Libanie. Nie jest to nic dziwnego.

Wiele dziwnego i straszego stało się natomiast w zeszłym tygodniu we Francji po zabójstwie 17-letniego Nahela przez francuskiego policjanta. Ale prawda jest inna, o wiele bardziej złożona, wychodząca poza kwestię asymilacji.

W Polsce politycy i publicyści od kilku dni zadają sobie pytanie – jak ustrzec się przed uchodźcami, jak ich nie przyjmować, jak „ochronić” Polki i Polaków przed „fala”, jak zagwarantować miejsca pracy Polakom i uniknąć płacenia kar. Premier Polski komentował ostatnio, że nie życzy sobie Paryża w Warszawie, ale więcej Warszawy w Warszawie. Polska dla Polaków, Polska mistrzem Polski, zamknijmy, izolujmy, nie przyjmujemy, urządzmy referendum. Partia i prezes straszą uchodźcami, wykorzystują francuskie obrazki i zniekształcają je, podsycając lęk przed obcym, nieznanym, wykorzystują najgorsze możliwe instynkty w społeczeństwie tak jednolitym na tle zachodniej Europy.

We Francji niewielu pyta, jak usunąć wielokulturowość, jak wywalić z kraju migrantów, co zrobić, żeby nie przyjmować do kraju uchodźców czy migrantów ekonomicznych. We Francji pyta się o to, jak karać niepełnoletnich, w jaki sposób włączać ich do społeczeństwa, jak docierać do rodziców, wyrównywać ich szanse i korygować niesprawiedliwość społeczną.

A przede wszystkim, jak kontrolować media społecznościowe, prawdziwy żywioł XXI wieku.

Przypomnijmy, że 27 czerwca we wtorek w Nanterre policjant zabił nastolatka po próbie wylegitymowania go. Dwa dni później funkcjonariusz został oskarżony o morderstwo. Nikt nie ma wątpliwości, że przekroczył swoje uprawnienia i złamał prawo. Jak podaje „Le Monde”, agresja protestujących nasiliła się, czy też zmieniła swoją naturę, dwa dni później, 30 czerwca, kiedy przeistoczyła się w czysty wandalizm w niemal każdym francuskim mieście. Minister spraw wewnętrznych podał, że według wstępnych szacunków w ciągu zaledwie sześciu dni zniszczonych zostało ponad 5 tysięcy samochodów, podpalono ponad tysiąc budynków i 10 tysięcy śmietników, napadnięto na 250 komisariatów, a rannych zostało ponad 700 policjantów.

Według francuskiej policji najmłodszy zatrzymany miał 11 lat, a średnia wieku protestujących nie przekroczyła siedemnastu. Był to bunt dzieci i nastolatków. Internet i media społecznościowe, TikTok, Snapchat, Telegram stały się ich narzędziami do moderowania gniewu. To tam wybucha złość, która zamienia się na ulicę, to tam zaczyna się „gra komputerowa”, której dalsze etapy polegają na paleniu rzeczywistych samochodów na rzeczywistych ulicach. Prezydent Emmanuel Macron stwierdził, że ulica zamienia się w grę wideo, w której żyją młodzi.

Zamieszki stają się hybrydowe. Młodzi ludzie nie tylko zbierają się w określonym miejscu i czasie dzięki znanym aplikacjom, ale także nagrywają akty wandalizmu i przemocy, jednocześnie żyjąc w dwóch światach. „Le Monde” podkreśla, że większość młodych protestujących bierze udział w podwójnej rzeczywistości, wydarzenia dwóch światów rozgrywają się równolegle: „Młodzi uczestnicy protestu wpatrują się w ekrany telefonów, szukając najlepszych filmików nagranych podczas manifestacji i komentując je na bieżąco”. Kciuk w górę, kiedy pali się budynek, serduszko, kiedy przewrócony zostaje samochód. Lajki, wyświeślenia. Buntownicy nie tylko dokonują czynów nielegalnych i nagrywają je, ale także śledzą relacje innych z podobnych, odbywających się jednocześnie przestępstw. Próbuje nagrywać własne „lepsze”, „atrakcyjniejsze” materiały, co przypomina pastostream.

„Le Parisien” opublikował korespondencję wandalii na Telegramie, który pozwala na tworzenie wieloosobowych konwersacji.

– Ile to może potrwać?
– A gdzie jesteś?
– Spalmy Happy Cafe i pogrążmy ich w piekło, jak chce Koran.
– Jasne (emotikona serduszko)
– Happy Cafe – zero litości”.
„Prowokowanie do nienawiści ma wyjątkowo wielu odbiorców” – komentują Nicolas Berrod i Enzo Guerini, przytaczając słowa doradczyni do spraw polityki cyfrowej „Telegram to jedna z najbardziej niebezpiecznych platform pozwalających na zrzeszanie tysięcy osób pod pozorem prowadzenia prywatnej konwersacji”. Dziennikarze dotarli do materiałów przedstawiających brutalne sceny – na zdjęcie opublikowane na jednej ze znanych platform, przedstawiające zakrwawionego policjanta, użytkownicy zareagowali „emotikonami

przedstawiającymi serduszka w oczach, płomienie, aplauz”. Na ulicę nie wyszli starsi. Młodzież wychowana we Francji, we francuskiej szkole, przez drugie czy trzecie pokolenie imigrantów, po pandemii czuje się wyjątkowo anonimowo, jest odrealniona, osamotniona, pozbawiona nadziei, karmiona światem internetowych, nieweryfikowalnych wiadomości. Tłum dał im anonimowość, do tej pory nie wiadomo na pewno, kim była większość napastników.

Francuska debata jest merytoryczna i konstruktywna – tygodniki „L’Obs” i „L’Express” piszą o ulepszeniu systemu edukacji i opieki zdrowotnej dla tych grup społecznych. „Libération” zastanawia się nad reformą policji, która jest powstrzymywana głównie przez siłę związków zawodowych. „Le Monde” relacjonuje kuriozalność i bezcelowość przemocy: „Grupa 12-15-latków zebrała się pod McDonaldem, wybiła szyby i ukradła... lody”, i cytuje słowa lekarza opatrującego uczestników brutalnych wydarzeń, zarówno krzywdzących, jak i pokrzywdzonych: „Najbardziej uderza mnie rozdziewiek między analizami i komentarzami a rzeczywistością. Zupełnie nie mówi się o głupocie tych ludzi”.

Atakowani byli merowie miast, palone były szkoły, sklepy, księgarnie, ekskluzywne butik, małe biznesy. Atmosfera powoli się uspokaja. Armia troli, hejterów, pogubionych dzieci bez postulatów wylała swoją agresję, negując wszystko. Władzę państwową, instytucje społeczne, codzienność. Nie wiadomo, czego chcą, ale na pewno nie tego, co mają teraz. Nie wiedzą, jak urządzić swój świat, pogubili się.

Éric Zemmour, szef partii Rekonkwista, której nazwa zdradza jego stanowisko w omawianej sprawie i który ubiegał się w ostatnich wyborach o fotel prezydenta, ma używanie – apeluje o natychmiastowe wprowadzenie stanu wyjątkowego, używając wielkich słów jak „zwiąstun wojny”. Według niego całej sytuacji winny jest rząd, a wandalie to ludzie nieświadzący Francji. Podtrzymuje swoją niechęć wobec imigrantów. Ostatnie wydarzenia wykorzystuje podobnie jak partia rządząca w Polsce – wyłącznie do celów politycznych. Krytyka podkreśla, że Marine Le Pen, liderka Front National, jest bardziej wyważona, ponieważ nadal wierzy w swoją prezydencką wygraną. Proponowała uczcić minutą ciszy śmierć Nahela w Zgromadzeniu Narodowym i wzmocnić policyjny autorytet.

W związku z wydarzeniami francuski rząd wezwał przedstawicieli Facebooka, Instagrama, Twittera, Snapchata i TikToka do zaangażowania się w identyfikację użytkowników, którzy rozpętywali zamieszki i brali w nich udział.

Na francuskich ulicach w ciepłe, letnie wieczory można spotkać młodych ludzi każdego koloru skóry jedzących kolację, pijących wino, palących papierosy, spacerujących, grających w karty, robiących sobie zdjęcia, nieprzeszkadzających nikomu. Grupki nastolatków są mieszane pod względem płci i pochodzenia. Telefony mają najczęściej w kieszeniach. Rozmawiają ze sobą i patrzą na siebie. Burdy i agresja są gdzieś daleko, jak w innym świecie. Słońce powoli zachodzi, a jutro wstanie. Właśnie zaczęły się wakacje. ●

• **Starcia młodzieży z siłami policyjnymi w Nanterre pod Paryżem, 29 czerwca 2023 r.**

FOT. AP/CHRISTOPHE ENA



ALGORYTMOCEN

Czy sztuczna inteligencja w aucie każe zatrzymać pojazd i pomóc rannemu zwierzęciu?

Z **PROF. WALDEMAREM KULIGOWSKIM**,
ANTROPOLOGIEM KULTUROWYM, ROZMAWIAŁA
DOROTA WODECKA

Bał się pan, gdy się pojawił?

– Byłem trochę niespokojny. W marcu, po naszej pierwszej, apokaliptycznej w tonie rozmowie.

Że kres cywilizacji człowieka, maszyny przejmą władzę i tym podobne intuicje?

– Tak, ale za emocją przyszła refleksja, że końców świata już trochę przeżyliśmy. Czarna śmierć, czyli pałeczka dżumy, wykończyła w XIV-wiecznej Europie od 30 do 60 procent populacji, ale wystarczyły dwa stulecia, by populacja się odbudowała, co jest – być może upiornym – dowodem, że jesteśmy gatunkiem, który się dostosowuje do każdych warunków i odradza.

Po drodze pluskwa milenijna, która – jak dziś wiadomo – była chwytem marketingowym sprzedawców kodujących w swoich urządzeniach tylko ostatnie dwie cyfry z daty rocznej. Zastanawiam się, czy wzniesiona właśnie panika cyfrowa, podsycana przez list Elona Muska napisany do ludzkości w celu wstrzymania prac nad ChatemGPT na pół roku, po to by uregulować zasady korzystania z niego, nie jest sprytną kampanią reklamową. Tempo pozyskiwania użytkowników przez ChatGPT nie ma sobie równych. Milion użytkowników w zaledwie pięć dni. Na taki wynik Netflix potrzebował aż 41 miesięcy, a Facebook prawie roku. Kiedy teraz rozmawiamy, ChatGPT ma grubo ponad 100 milionów użytkowników i ta liczba się zwiększa.

W marcu umówiliśmy się, że będziemy z nim rozmawiać. Rozmawiał pan?

– Pytałem go o czas gotowania jajek na miękko. Twierdził, że potrzebują czterech, pięciu minut ognia.

Na ogniu? Archaiczne.

– No właśnie, gdzie kuchenki indukcyjne albo elektryczne? Poza tym jajko wyszłoby na półtwardo.

Chciał się pan przekonać, że nie ma się czego bać?

– Poprosiłem też, by w kilku stylach muzycznych napisał tekst piosenki o miłości. Discopolowa z rymami częstochowskimi przeszła w telewizji publicznej, bluesowa z licznymi powtórzeniami była już trochę gorsza, a na heavy metalu polegl. Bez względu na styl algorytm wykorzystuje te same figury re-

toryczne i stylistyczne. Jest zachód słońca, on i ona, oswojony świat heteronormy i trochę płaczu. Program operuje ograniczoną liczbą danych. To nie jest nieskończony świat. ChatGPT coś wie, ale ciągle za mało. A pani o co go poprosiła?

O wiersz w stylu Leśmiana. Cytuję wyrwane strofy: „Księżyc złotą nitką zasnuwa marzenia pasem wszechnocy. A ja, podróżnik, zapatrzony w mrok, snuję wiersze jak wstęgę między gwiazdami tkając”.

– Leśmian jest szczególnie, jego język można próbować załagorytmizować, chociaż szalu specjalnie w tej „poezji” nie ma. Ja poprosiłem o haiku. Technicznie forma się zgadzała, ale treść nie miała sensu. Poprosiłem też o aforyzmy o życiu i kilka mi podrzucił, co ilustruje sposób, w jaki sposób kombinuje.

Pamięta pan?

– Trudno zapomnieć. „Szczęście to nie cel, ale efekt uboczny działania”. „Porażka to nie koniec, tylko szansa na początek nowego”. „Nie czekaj, aż będzie za późno, zrób teraz co, możesz zrobić jutro”. Czy jest w tym czułość i kreatywność?

Można wydać kalendarz z mądrościami na każdy dzień.

– Pytanie, po co, skoro można poprosić go o radę.

Spróbujmy. Wklepuję: „Poradź mi, jak przeżyć dzisiejszy dzień”.

– I?

Przerobił pytanie na temat: „Przeżyj dzień z sukcesem”, co mogłoby oznaczać, że dla ChatuGPT miarą jest sukces, cokolwiek to znaczy. Mam ustalić cele, zrobić plan, zadbać o zdrowie, skoncentrować się na teraźniejszości, znaleźć chwilę na odpoczynek i relaks i mieć pozytywne nastawienie. Na koniec aforyzm: „Pamiętaj, że każdy dzień może przynieść nowe wyzwania, ale również możliwości doświadczenia czegoś wspaniałego”. Wydaje mi się, że popporadniki z serii „jak żyć” z powodzeniem może zastąpić ChatGPT, czyli branża kreatywna może się obawiać o swoją pracę.

– Być może panika w środowiskach ludzi, którzy tworzą reklamy, jest uzasadniona, bo wiele reklam robionych jest według wzorca. AI może tu wkroczyć jako program tańszy, szybszy, wydajniejszy, który nie pyskuje, nie ma oczekiwań i nie będzie straj-

kował. Wszędzie tam, gdzie potrzebna jest czułość i kreatywność, nie ma szans.

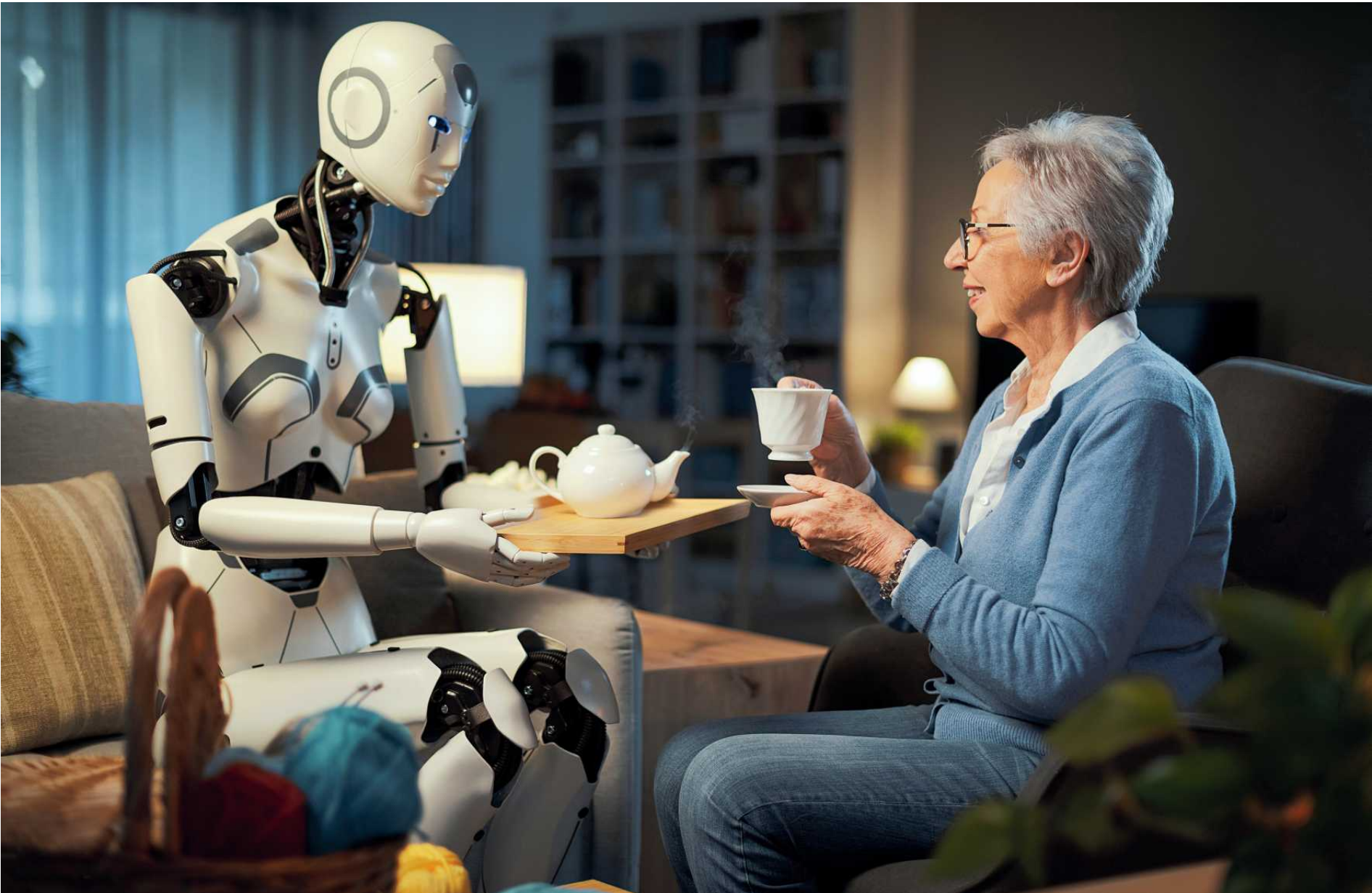
Na uczelni?

– W semestrze, który się właśnie skończył, prowadziłem dla studentów czwartego roku warsztaty pisarskie, zresztą pierwsze tego typu zajęcia na antropologii kulturowej w Polsce. Uznaliśmy, że antropologia prezentuje się w przestrzeni publicznej mało atrakcyjnie, że jest jej za mało, bo albo powstają ultraakademickie teksty, które mają przeciętnie ośmiu czytelników, albo rzeczy tak popularne, że w efekcie płaskie i wyprane z refleksji. Chcemy zatem nauczyć pisać i opowiadać, tworzyć atrakcyjne i angażujące non fiction. Ich pierwszym zadaniem było opisanie swojego pokoju, co okazało się bardzo otwierające, bo dzięki wzajemnemu komentowaniu swoich tekstów studenci lepiej się poznawali. Kiedy ktoś opisał na przykład swoją półkę z płytami, to okazywało się, że ktoś inny słucha podobnej muzyki. I już mieli temat do rozmowy. Zapowiedziałem, że i ja przyniosę tekst o swoim pokoju, ale o jego napisanie poprosiłem ChatGPT. Podałem mu kilka współrzędnych – mężczyzna, antropolog i podróż. Napisał.

Jak?

– Cytuję: „Mój pokój to wyjątkowe miejsce. Przy oknie stoi biurko, na którym leżą książki o różnych kulturach i obyczajach. Obok biurka znajduje się regał z kolekcją antropologicznych publikacji i artykułów naukowych. To tu spędzam większość czasu, analizując różne aspekty kultury i odkrywając tajemnice ludzkich zachowań. W moim pokoju znajduje się także mnóstwo ręcznie robionych figurek i przedmiotów z różnych kultur, które zdobią półki i szafki. To moja mała kolekcja, która przypomina mi o zróżnicowaniu i pięknie naszej planety. Na ścianie wisi mapa świata, która pomaga mi lepiej zrozumieć różnice i podobieństwa między kulturami. Jest to narzędzie niezbędne do poznawania różnych tradycji i zwyczajów. Moje łóżko jest położone w jednym z kątów pokoju, z widokiem na biurko i regał z książkami. To idealne miejsce do wypoczynku po długich godzinach spędzonych na studiowaniu i odkrywaniu nowych faktów o kulturach. Mój pokój to centrum mojego zainteresowania i pasji. To miejsce, gdzie uczę się i rozwijam swoją wiedzę, a także przypominam sobie o różnorodności kultur i ich pięknie”.

Trochę jak w podstawówce.



FOT. SHUTTERSTOCK

– Zasada była taka, że wspólnie komentujemy teksty... Gdy odczytałem „mój”, zapadła cisza, bardzo niezręczna, potem ktoś zauważył, że to jakieś takie infantylne, jakby napisane przez dziecko... Nie chciałem długo przeciągać tej sytuacji i przyznałem, że tekst napisała sztuczna inteligencja. Co stało się przyczynkiem do dyskusji, że AI posługuje się oceanem informacji, ale są one nieprzetworzone, czyli nieprzeżyte. Trawestując Heideggera, można powiedzieć, że życie dla ChatuGPT to dane, dla ludzi natomiast za-dane. ChatGPT się porusza wśród informacji, podczas gdy my poruszamy się wśród emocji, doświadczeń i afektów.

Kiedy w 2006 roku powstał Google Translate, co bardziej nerwowi tłumacze rzucali robotę, wiesz-

**Wchodzimy miękko
w algorytmocen,
bo jest wygodny
i nie wymaga od nas
uwaganości i czułości**

cząc koniec swojej profesji. A tymczasem tłumaczki i tłumacze, redaktorki i redaktorzy nadal są potrzebni, bo AI niepotrafiąca czytać ani subtelnych kontekstów, ani idiomów kulturowych jest infantylna.

Czy zatem sztuczna inteligencja jest inteligentna?
– Nazwa AI – artificial intelligence – jest fałszywa. To chwyt marketingowy twórców programu i my go powtarzamy. To nie jest inteligencja, tylko algorytm bazujący na przetwarzaniu gotowych danych. AI nie jest w stanie kreować. Działa na podstawie schematycznych, powtarzalnych rozwiązań. I brakuje mu tego, co można by nazwać inteligencją emocjonalną, czyli nie potrafi się wczuć w ducha miejsca, w jednostkową sytuację, w partykularne doświadczenie. Dla ChatuGPT istnieje uśredniony, zupełnie abstrakcyjny odbiorca, do którego kieruje swoje równie uśrednione odpowiedzi.

To tak, jakbyśmy mieli jedną rozmiarówkę ciuchów, w którą wszyscy musielibyśmy się zmieścić. Proszę to sobie wyobrazić...

Poza tym ChatGPT jest reaktywny, zwrotnie reagując na naszą aktywność. Bez naszej aktywności jest martwy.

Ona czy on? Kim, czym właściwie jest?

– Próbowałem to sprawdzić, kiedy tylko ChatGPT się pojawił. „To” odpowiadało mi po polsku w formie męskoosobowej. Zapytałem, dlaczego używa tej formy. Odpowiedziało mi, że jest to forma neutralna i naturalna. W polszczyźnie niekoniecznie, odpowiedziałem. Odpisało, że jednak tak jest i nie widzi w tym nic dziwnego. No więc jaki ma gender, trudno powiedzieć, ale bardziej istotna od gender wydaje mi się kwestia tego, co „to” wie i od kogo wie. Coraz więcej dowodów wskazuje na to, że wiedza AI jest bardzo partykularna, bo jest przede wszystkim męską wiedzą bogatej Północy. Stąd choćby odpowiedź na pani pytanie, jak przeżyć dzień. Z sukcesem!

Czyli wiedza ChatuGPT nie jest wiedzą bezinteresowną i wolną od ideologii?

– Bardzo bym chciał, żeby stał za nią czysty imperatyw poznania, który nie kieruje się żadnym interesem, ale wiadomo, że tak nie jest i inne imperatywy od poznania są ważniejsze.

Przykładem niedawny raport o efektach wykorzystania AI w systemie medycznym w USA. Algorytm zaprogramowano tak, by śledził wydatki na leki analizowane na podstawie płatności kartami. Ktoś, kto wydawał dużo, a nie pojawiał się na wizytach u lekarza, trafiał do systemu. AI się do niego odzywała i pytała, czy ma problemy ze zdrowiem i jak może mu pomóc. Algorytm nie potrafił jednak poprawnie ocenić, jak bardzo chorzy byli czarni pacjenci, ponieważ częściej mieli niższe wydatki na zdrowie niż biali pacjenci, nawet gdy byli równie chorzy. Z innych analiz wynika, że algorytmny zatwierdzania kredytów hipotecznych są od 40 do 80 proc. bardziej skłonne do odmowy udzielenia kredytu klientom o innym kolorze skóry niż biali. Takie algorytmiczne skrzywienia mogą dotyczyć cech takich jak rasa, płeć, wiek, miejsce zamieszkania, poziom dochodu i wiele innych.

Sprawdzał pan, jakiej wiedzy szukają u AI użytkownicy?

– Pytania dotyczą definicji, wydarzeń historycznych, korzystania z technologii, zdrowia i medycyny. Domyślam się, że dużą część tych pytań zadają uczniowie i studenci, którzy przygotowują się do egzaminów, i ludzie, którzy szukają użytecznych dla siebie w danym momencie informacji. Czy zatem ChatGPT

może zrewolucjonizować świat? Algorytmy, na których jest zbudowany, robią przecież swoją robotę od kilkunastu lat, czego nawet już nie zauważamy. Wchodzimy miękko w algorytmocen, bo jest wygodny i nie wymaga od nas wzajemności, uważności i czułości. Wystarczy odpalić aplikację.

Algorytmocen? Czyli kulturowy przewrót?

– Do niedawna opisywaliśmy to jako antropocen, ale odezwały się głosy z tak zwanego globalnego Południa, że rozkładanie odpowiedzialności za zdegradowanie planety na wszystkich jest symetryzmem. W miejsce antropocenu pojawiła się etykieta kapitałocenu, który za dewastację planety wini system kapitalistyczny, nastawiony na kumulację zysku.

Zastanawiam się, czy nie należałoby mówić o algorytmocenie, skoro algorytmy są naszymi głównymi podpowiadaczami w kwestiach codziennych wyborów. Nawet wędrując po miastach, nie pytamy o drogę żywego człowieka, tylko patrzymy w ekran smartfona i trasę wyznaczaną przez GPS. Być może aplikacje zmieniają fundamentalnie życie przyszłych pokoleń. Intrygujące jest, jak będzie wyglądało życie, kiedy zginie imperatyw wzajemności, uważności, współbycia i odpowiedzialności.

I jaką ma pan intuicję?

– Od kilku lat proszę studentów w Poznaniu, Brnie i Gdańsku, by powiedzieli, z jakimi największymi problemami będzie borykała się ludzkość. Padają te same odpowiedzi: samotność, depresja, niezrozumienie, brak dialogu, katastrofa klimatyczna, konflikty etniczne, genderowe, pokoleniowe i tak dalej.

Być może nie doceniamy tego, że ChatGPT może być sojusznikiem w świecie, w którym samotność i depresja sięją największe spustoszenie. To są współcześni jeźdźcy Apokalipsy, a nie demografia czy kolejne pandemie. Japonia i Wielka Brytania już mają ministerstwa do spraw samotności i prawdopodobnie ich śladem pójdą kolejne kraje.

Co z tym wszystkim ma wspólnego ChatGPT?

– W latach 60. minionego stulecia informatyk z MIT Joseph Weizenbaum stworzył program komputerowy o nazwie Eliza. Pomysł opierał się na zasadach terapii rogeriańskiej, kiedy terapeuta powtarza to, co słyzy od pacjenta lub pacjentki. Program rozpoznawał w odpowiedziach ludzi kluczowe słowa lub zwroty, a do konstruowania własnych zdań wykorzystywał kluczowe słowa z odpowiedzi wcześniej w niej zaprogramowanych.

Czyli kiedy ktoś napisał, że jego matka dobrze gotuje, Eliza, która udawała psychoterapeutę, po zidentyfikowaniu słowa „matka” mogłaby odpowiedzieć: „Opowiedz mi więcej o swojej rodzinie”?
– I człowiek odnosił wrażenie, że rozmawia z drugim człowiekiem. Weizenbaum wymyślił ten program jako żart, ale ku swojemu zdumieniu odkrył, że pełni funkcję terapeutyczną. Lekarze postrzegali aplikację jako narzędzie potencjalnie transformujące i pozytywne, bo mogło w godzinę obsługiwać kilka tysięcy pacjentów. W kolejnych dekadach pojawiały się następne terapeutyczne aplikacje i dziś tak zwana psychiatria algorytmiczna jest bardzo pomocna w leczeniu zaburzeń psychicznych. W przeciwieństwie do aplikacji żaden terapeuta nie jest w stanie być przy pacjencie bez przerwy, o dowolnej porze dnia i nocy.

Ale co z diagnozą i terapią?
– Być może dla wielu ludzi wystarczającą terapią jest porozmawianie z kimś, kto nie zaprzecza, nie wyśmiewa, nie hejtuje, tylko cierpliwie wysłuchuje tego, co mamy do powiedzenia. A my, słysząc zwrótnie te same informacje, jesteśmy w stanie podejść do nich refleksyjnie.
Dhruv Khullar, psychiatra, poprosił ChatGPT, by pomógł mu poradzić sobie ze stresem, jaki odczuwa jako lekarz i ojciec. I żeby udzielając rad, użył formuł stosowanych przez innych znanych luminarzy psychologii. Okazało się, że dostał bardzo trafione sugestie. Ta w duchu Freuda brzmiała: „Stres jest często konsekwencją stłumionych emocji i konfliktów w sobie”. Inna, w duchu Skinnera, sugerowała, że stres jest wynikiem czynników środowiskowych i naszych reakcji na nie. I wreszcie – jakby sam od siebie – ChatGPT powiedział: „Bądź dla siebie miły. Robisz wszystko, co w twojej mocy, i tylko to się liczy”.

Czy to nie smutne, że będę szukała po-ciechy u sztucznej inteligencji zamiast u kogoś, kto ze mną popłacze?
– W pierwszym odruchu odpowiedziałbym twierdząco, ale przyglądam się ludziom o pokolenie czy nawet o dwa młodszy i okazuje się, że to, co my uważamy za stan naturalny, czyli dotykanie, uśmiechanie się, dzwonienie do siebie, dla nich jest przestarzałą formą kontaktu. Do niedawna zastanawiałem się, jak można wytworzyć stosunek emocjonalny do playlisty na Spotify. Przecież żeby opowiedzieć o muzyce – i o sobie przy okazji – potrzebna jest kolekcja czarnych płyt albo CD. Ale można, bo skoro samemu się ją tworzy, to ona jednak coś o nas mówi. I kiedy pokazujesz ją na ekranie innym, to mówisz im o sobie. Kwestia materialności, w tym także dotyku, uległa w ostatnich latach głębokiej transformacji.
Banalny przykład. Jadę tramwajem, jest ciasno, ktoś stoi nade mną i dotyka mnie nogą, czego właściwie nie zauważam, ale dla ludzi z pokolenia Z ten dotyk jest niedopuszczalny, bo jest przekroczeniem granic i powodem do tego, żeby co najmniej skulić się w sobie albo zrobić awanturę.
Dla nich większość świata jest w sieci. Oni nie tylko w niej kupują i szukają rozrywk, ale też szukają odpowiedzi na te pytania, których my szukaliśmy w świecie realnym. Myślę więc, że psychologia algorytmiczna to dla nich kolejna funkcja systemu, którą mogą przyjąć, gdyby rzeczywiście chcieli się otwierać.

Te światy – realny i wirtualny – zupełnie się przeniknęły i problem polega na tym, by je zestroić. Oczywiście jeden do jednego się nie da, musi nastąpić jakiś rodzaj przeformułowania. I w tym momencie właśnie jesteśmy.

Moje pokolenie szukało w świecie do-znań. Pana również. Czy doznanie jest możliwe w necie?
– Kilka dekad temu w humanistyce powiało nowym duchem, zgodnie z którym wiedza powinna być przeżywana, doświadczana i ucieleśniana. Zaprzeczono kartezjań-

skiemu rozdzieleniu ducha od rozumu, promując pomysły, by zajęcia zaczynać od jogi albo pójść ze studentami na spacer. Po osobach studiujących na pierwszym roku widzę, że ich takie podejście w ogóle nie interesuje. Każdy z nich jest odrębnym, zupełnie samowystarczalnym wszechświatem i pragnie tylko, by w ten wszechświat nie ingerować. Możliwe, że za budowaniem niewidzialnej zasłony oddzielającej ich od innych stoi lęk przed zranieniem. W świecie internetowym, którego głęboko doświadczają, łatwo o zranienia. Być może zatem za wszelką cenę chcą tego uniknąć w świecie nieinternetowym. Ale tylko zgaduję.

Aplikacje i przetwarzanie danych chroniłyby przed zranieniem i rozczarowaniem?
– Tak mi się wydaje. Żadna wyszukiwarka internetowa nie jest taka sama, bo zależy od naszych preferencji, czyli pytań, haseł i wiadomości, jakie w niej umieszczamy. Rozpoznaje to, co lubimy, co kupujemy, jemy, oglądamy, gdzie jeździmy autem, a nawet jaką wybieramy drogę do szkoły czy pracy, co jest dla nas wygodne, bo nie trzeba za każdym razem kalibrować urządzenia.
Czyli algorytmy mogą wkrótce znać nas lepiej niż my sami?
– Badanie kultury pokazuje, że jako ludzie jesteśmy przewidywalni wbrew wszystkim ideologiom indywidualizmu. Jakby posta-

Algorytmy są bardziej skłonne odmawiać kredytu klientom o innym kolorze skóry niż biali

wić obok siebie indywidualistów, to oni zasadniczo są do siebie podobni. To stary paradoks subkultur – jestem inny, włączam się do subkultury kuszącej inności, a tam znowu jestem podobny do wszystkich, którzy są w niej. I to jest jedna, prosta odpowiedź. Druga kojarzy mi się z czymś bardziej skomplikowanym. W latach 80. i 90. wpływała w krajowej humanistyce była koncepcja kultury stworzona przez Jerzego Kmitę. Jednym z jej kluczowych założeń było to, że jesteśmy jednostkami racjonalnymi, co znaczy, że jak ktoś rozpozna nasz system wartości i cele, do których zmierzamy, to będzie mógł powiedzieć, kim jesteśmy. Pod warunkiem że jesteśmy racjonalni, czyli że będziemy przewidywalni i powtarzalni.

To nieprawda.
– No właśnie. Możemy podać wiele przykładów z własnego życia i życia innych, że ludzie robią rzeczy niepowtarzalne i nieprzewidywalne. Jesteśmy w stanie poświęcić życie dla czegoś lub kogoś i nie wszyscy możemy być ilustracyjnym modelem dla teorii socjobiologów o samolubnym genie i jego presji na nasze rozmnażanie się. Największa porażka algorytmów może polegać na tym, że nie jesteśmy racjonalni i jesteśmy w stanie się zmieniać. Zmieniamy poglądy polityczne, miejsce zamieszkania i język. Algorytmy nie są przygotowane na arcyludzką wolność. One za nią nie nadążają. Ale mogą się sprawdzić u ludzi, którzy są powtarzalni, przyspawani do jednego ego, jednego ja, którzy codziennie podążają tą samą drogą i jedzą to samo na śniadanie.
Ale ujmuję mnie styl konwersacyjny ChatuGPT i jeśli moglibyśmy się od niego czegoś uczyć, to właśnie sztuki rozmowy.

Przecież produkuje drewniane teksty i aforyzmy.

– Ale nie jest zapiekły i konfrontacyjny. Zapytałem go o zalety turystyczne miasteczka, z którego pochodzę. To Szubin, dalibóg pewnie nikt się tam nie zatrzymuje, a już zwłaszcza po wybudowaniu obwodnicy. Odpowiedział w tym tonie: ludzie lubią różne rzeczy, jedni duże miasta, inni małe, każdy znajdzie coś dla siebie. Bez hejtu i wyśmiewania.

Dobra konwersacja to jest też konwersacja emocjonalna, a z nim jednak rozmawiamy bez emocji.
– O to też go kiedyś zapytałem. „Tak, odpisał, jestem urządzeniem opartym na systemie liczbowym i nie mam emocji”. Z drugiej strony duża grzeczność językowa, otwartość na rozmowę konciliacyjną jest bliska pewnym emocjom, nawet jeśli one nie wynikają bezpośrednio z intencji tego programu. Ale oczywiście emocji wpływającej z osobowości tam nie ma. Jest za to gigantyczna pula wiedzy, w której AI sobie hasa algorytmicznie.

Ale „maluje” obrazy, „robi” zdjęcia.
– Byłem niedawno w Narodowej Galerii Sztuki Bośni i Hercegowiny, gdzie oglądałem obrazy zapoznanego malarza Gabriela Jurkicia. Jeden mnie zahipnotyzował. Artysta zaczął go malować w dniu, w którym dowiedział się o wybuchu pierwszej wojny światowej. Z jego pamiętników wynika, że „był rozdarty i pełen smutku”. Ukojenia postanowił poszukać w naturze. Na pobliskim płaskowyżu trafił na cudownie ukwieconą łąkę. Poczuł się jak „we śnie” i natychmiast zaczął malować. To była jego reakcja na wiadomość o strasznym wydarzeniu. Powstało płótno znane dzisiaj pod tytułem „Kwitnący płaskowyż” – obraz, który pachnie, jaśniej, świeci się... Miałem wrażenie, że mógłbym się na nim miękko położyć. Ktoś niedawno policzył, że na tym obrazie jest ponad sto tysięcy kwiatów. Moglibyśmy poprosić AI, by namalowała 121 tysięcy kwiatów, które są najbardziej popularne na łąkach w tym regionie Bośni, i z pewnością by to zrobiła. Tylko czy to byłaby sztuka?

Przecież komuś mogłaby się podobać.
– 30 lat temu Marc Augé wprowadził do antropologii kultury kategorię niemiej-sca. To przestrzenie bez historii, bez tożsamości i bez relacji, gdzie nikt nie mieszka, jak autostrady czy hale odlotów. Obraz namalowany przez AI mógłby być technicznie lepszy od tego Jurkicia, ale pozbawiony historycznego kontekstu, tożsamości i relacji, pusty w środku, rodzajem sztuczki, nie sztuki.
Co więcej, AI jako autor prac – artystycznych albo naukowych – jest pozbawiony odpowiedzialności. Jakkolwiek opublikowano już kilka artykułów naukowych wygenerowanych przez AI, to większość poważnych wydawnictw nie ma wątpliwości: AI nie spełnia kryteriów autora, ponieważ nie może brać odpowiedzialności za treść oraz integralność artykułów naukowych.

Naprawdę nie zajmował się pan myśleniem o tym, że algorytmy zyskają świadomość i przejmą władzę nad światem?
– Jako humanista myślałem, bo naczytałem się mnóstwa książek i naoglądałem filmów o tym, jak to maszyny przejmują władzę nad nami i jesteśmy wobec nich bezradni. Nie posiadam tak zaawansowanej wiedzy, by stwierdzić, czy to w ogóle jest możliwe. Poza tym nawet gdyby przejęły tę władzę, dlaczego zakładamy, że będzie skierowana przeciwko nam? Być może będzie to władza, która na przykład pozamyka trujące zakłady pracy? Nie wiemy, jakie będą jej priorytety.

To czym jest AI?
– Odpowiem wierszem tubylczoamerykańskiego poety Jacka D. Forbesa, a spolszczonym przez Leszka Michalika:
„Moja żona powiedział mi/ dzisiaj/ coś naprawdę milego./ Rzekła:/ Jestem bardzo

szczęśliwa/ że poślubiłam mężczyznę/ który/ zatrzymuje się na poboczu szosy/ by pozbierać/ żaby, węże i żółwie/ chroniąc je przed kołami samochodów”.
Proszę sobie wyobrazić zamontowaną w pani aucie nawigację, która przekonującym tonem każe zatrzymać pojazd i pomóc braciom mniejszym jak w tym wierszu. Na taką istotę nie-ludzką warto czekać.
Ludzie od zarania dziejów chcieli się dowiedzieć, co będzie. Byli szamani, którzy wpadali w trans i udzielali odpowiedzi, była Pytia delficka, która przez osiem stuleci udzielała odpowiedzi i od tego, co ona tym heksametrem podawała, zależał kształt państwa, a dziś 63 procent Polek i 45 procent Polaków czyta horoskopy, o czym celowo mówię w jednym zdaniu, bo tych przeszłych i dzisiejszych ludzi łączy ta sama potrzeba.
I właściwie jestem zdziwiony, że wśród najczęściej zadawanych ChatowiGPT pytań nie ma tego: „Co czeka ludzkość?”.

Zapytałem! Odpowiedział: „Jako sztuczna inteligencja nie mam możliwości przewidywania przyszłości z pewnością, ponieważ moje dane mają ograniczenie wiedzy do września 2021 roku”.
– Wygodnie i bezpiecznie byłoby wiedzieć, co nas czeka, ale to mrzonka. A może na tym polega uroda naszego świata, że musimy być ciągle gotowi do zmian?

Myślał pan, jak zmieni się edukacja?
– Dwa tygodnie temu mój uniwersytet przyjął regulacje dotyczące AI. Studenci mogą z niej korzystać, ale muszą wyraźnie zaznaczyć fragment pracy, który powstał przy jej współudziale, opatrując informacją, o co zapytali i ile z tego wykorzystali. Żadnych egzorcyzmów, tylko zdanie „Systemy Sztucznej Inteligencji generujące treści, takie jak ChatGPT, Bing AI, DALL-E czy Midjourney, mogą usprawnić i uatrakcyjnić proces edukacji, ale także zostać wykorzystane do ominięcia procedur weryfikacji efektów uczenia się”. To rozsądna odpowiedź na rosnący lęk nauczycielski.
Mamy przed sobą zwrot w stronę egzaminów ustnych, pracy w grupach i pisania prac etapami. Od studentów nie będzie się oczekiwało gotowca na koniec semestru, tylko prac dostarczanych na bieżąco, kolejnymi etapami, o których się rozmawia. Wygląda na to, że wraca zatem archaiczny, wydawałoby się, model mistrzowsko-ucznio-wski, polegający na wspólnej pracy, rozmowie, cierpliwym śledzeniu rozwoju. To wymaga wysiłku obu stron, ale zdaje się, że nie ma innego wyjścia.

Właściwie to kolejny „plus dodatni” pojawienia się AI.
– I może się okazać, że będzie ich jeszcze więcej. Porzucmy apokaliptyczne wizje o końcu świata i kresie ludzkości. Na razie ani AI nie okazała się wszechmocna ani wszystkowiedząca, nie wywołała kolejnej wojny, nie odpaliła rakiet atomowych, a w Parzewie na brzozie ukazała się ludziom Matka Boska. Czyli nic w świecie nie drgnęło. ●

Prof. Waldemar Kuligowski

– ur. w 1972 r., antropolog kulturowy, eseista, autor wydanych ostatnio książek „Trzecia pleć świata”, „Drugi mąż czwartej żony”, „Z roślin, z dźwięków, z marzeń. Domy świata”. Zajmuje się m.in. zjawiskami modernizacji, globalizacji, teorii kultury, kultur rdzennych, zwłaszcza amerykańskich. Jest propagatorem nurtu. Kieruje Zakładem Antropologii Kulturowej Instytutu Antropologii i Etnologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

Rysownik o sztucznej inteligencji: Ten gnojek w końcu pozna wszystko i wszystkich. Czy zabierze mi pracę?

NIEROBOTA DLA CZŁOWIEKA

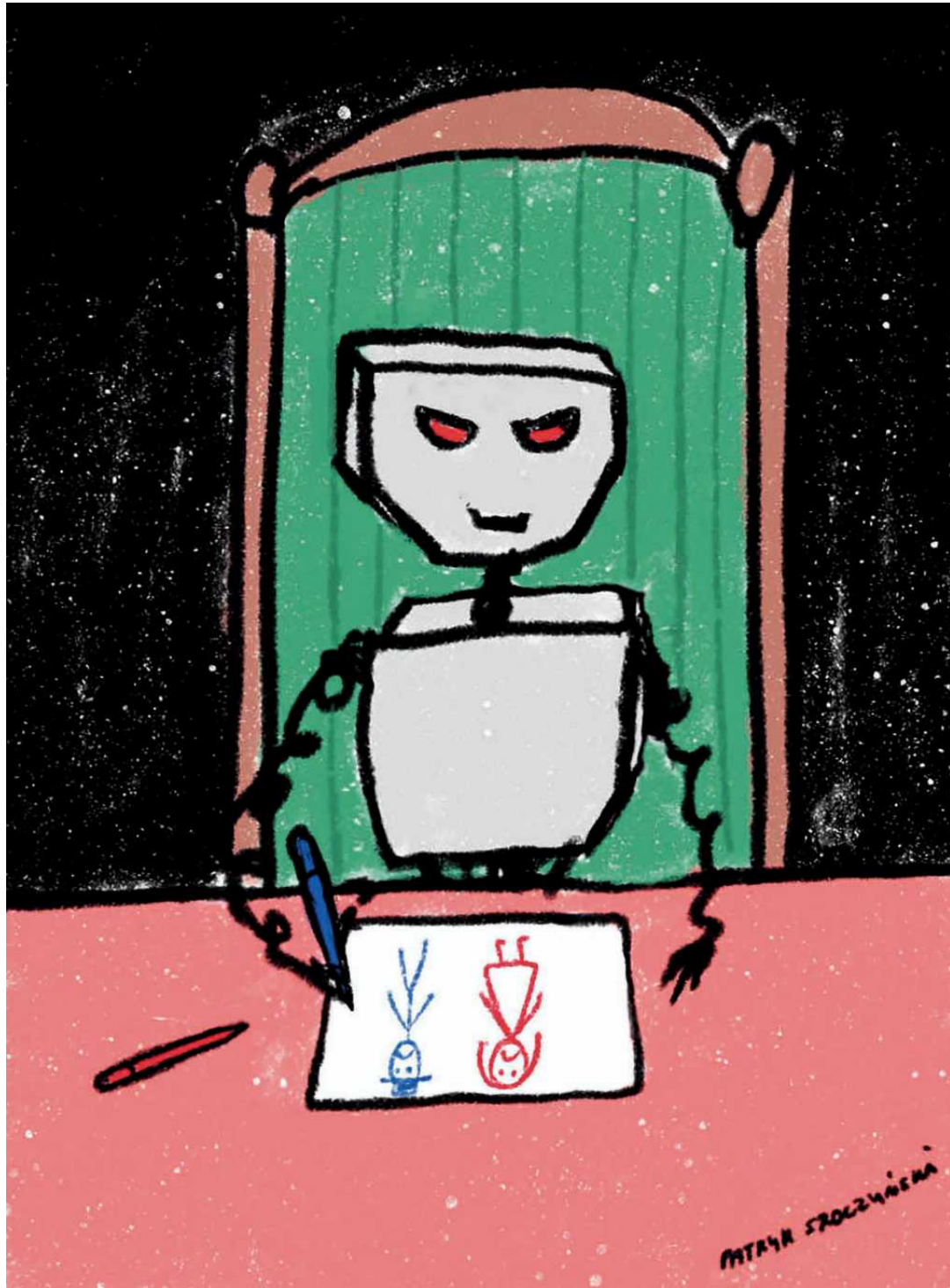
Jeśli poprosisz sztuczną inteligencję o rysunek w moim stylu, to nie dostaniesz, bo ChatGPT mnie nie zna. Chwała sztucznej inteligencji!

Patryk Sroczyński*

Dyskusja na temat zagrożenia, jakim jest SI, SF, AI dla sztuki, stała się przeszłością. Wystawy dzieł stworzonych przez sztuczną inteligencję, spoty reklamowe dla wielkich korporacji, zdjęcia wygrywające międzynarodowe konkursy, porno – wszystko już jest. Są też lekarze, lekarki, dziennikarze, dziennikarki, pisarze, pisarki, poetki, poeci, architektki i architekci. Mógłbym rozwozić się dalej, ale skoro sztuczna inteligencja jest już wszędzie, niech zrobi schabowego albo wyniesie śmieci. Niech wykaże większą pomoc niż GPS i główniane reklamy w internecie.

Czy jako rysownik satyryczny, ilustrator, malarz będę musiał porzucić swoje kredki na rzecz bardziej utalentowanego artysty? Niech to tylko sprawdzi. Klik, „namaluj Jarosława Kaczyńskiego jako papieża pokonującego Krzyżaków w stylu Jana Matejki”. Klik. Cztery obrazki w 40 sekund, każdy przedstawia to, co wpisałem. Długo, bo nie mam światłowodów, i na tyle szybko, że sytuacja w kraju martwi mnie mniej. Nie musisz nawet pisać, możesz jemu powiedzieć – „jemu” – ChatowiGPT, robotowi artyście, SI za darmo, w 40 sekund. Narysuj i namaluj, co chcesz. Jak poprosisz o rysunek w stylu Rolanda Topora, dostaniesz rysunek w stylu Rolanda Topora. Jak poprosisz o styl Saula Steinberga, dostaniesz styl Steinberga. Jak poprosisz o żart w stylu moim, to nie dostaniesz – Chat mnie nie zna; chwała sztucznej inteligencji!

Niby koniec tematu, ale ten gnojek – karmiony codziennie – w końcu pozna wszystko i wszystkich. Do tej pory mogłem narzekać na Getty Images, rzadko, ale mogłem, dziś wróg jest większy i silniejszy. Codziennie pojawia się nowy twór AI, który tworzy nowe twory, łada moment rozrośnie się jak grzybnia, opanowując cały świat, chowając się za każdym drzewem, będzie nie do poznania i nie do zatrzymania.



RYŚ PATRYK SROCZYŃSKI

Coraz więcej periodyków rezygnuje z człowieka i jego „talentu” na rzecz ChatuGPT – to się nie zatrzyma. Istnieją czasopisma, w których obrazek ma być obrazkiem, a nie dziełem kogoś z imienia i nazwiska, i jest ich przytłaczająca większość. Oczywiście nigdy nie będzie tak, że „The Economist” albo „The New Yorker” rezygnuje z imion i nazwisk, dopóki one istnieją, no chyba że naczelnym zostanie terminator. A wtedy – mogę dziś śmiało stwierdzić – ostrzegam, że jeśli rysujesz, to przestań, bo przetrwają tylko ci, którzy już dziś w twórczości trwają, zresztą i to nie wszyscy. Przyjdzie robot terminator i zniszczy mi biurko, spali kartki, połamie pędzle, zabierze markery, podbije oko. Wydaje nam się, że jesteśmy ważni i wyjątkowi, wszystko wiemy i jesteśmy nieomylni.

Uwielbiamy tak myśleć. Nadawać sens bezsensowi, by jakoś funkcjonować. Ale nie jesteśmy ważni i wyjątkowi. Owszem, jedni myślą się bardziej, a drudzy mniej, ale robot nie myli się nigdy – nie bierze odpowiedzialności za swoje dzieła, mimo że potrafi wyobrazić sobie nagłówek w gazecie „SI narysowała karykaturę Ziobry, grozi jej pięć lat więzienia”. Widzę też grupę protestujących wychodzącą na ulicę w obronie maszyny i skandującą „Wolność dla robota!”, „Free SI!”. Nierealne, a nawet jeśli, to najwyżej wykorzysta się innego, nowego robota, bo jest ich coraz więcej, bo nie wsadzą ich wszystkich.

Czy SI może być artystą? Nie może. Bo jest tym, za co go mamy – a przez to, że jest „lepszy”, to jest gorszy. Brak mu życia, brak mu myśli i kontekstu.

Nie wie, co robi, nie myśli, wykonuje polecenie, czasem tak doskonale, że aż groteskowo. Żadna maszyna jak ja czy Ty nie doceni brzydoty, chaosu, przypadku, spontaniczności, błędnej analizy, złej kompozycji, złe dobranych kolorów, kiepskiego żartu czy zmarnowanego życia. Nasza świadomość czy samopoznanie może są niewielkie, ale robot, jako że jest robotem, ma tę wielką wadę, że nie jest mną i nie żyje. Na razie. Nie można go zhejtować – ma to gdzieś; nie ma tego nigdzie. Nie można go wyśmiać. Jego poznanie zignoruje taki fakt. Zasadniczo nie zrobimy na robocie większego wrażenia.

I oby vice versa.

Robot z poczuciem humoru to jak ryba na rowerze albo dobre życie w Polsce – coś nierealnego. Robot smutny,

wesoły, pijany, robot naćpany – wszystko abstrakt! Co zrobić, byśmy nie czytali pięknych tekstów, nie oglądali idealnych obrazów, nie śmiali się po pachy w świecie sztucznej inteligencji? Proponuję stworzyć robota, który zgładzi robota, co chce mi zabrać pracę. Wojna robotów w internecie, na żywo. Jeden tworzy, drugi niszczy – niech się bawią w nieskończoność, aż nam się znudzi temat, minie moda, wróci stare. To wersja optymistyczna. Pesymistyczna też wygląda dobrze – sztuczna inteligencja rozwinię się do prawdziwej inteligencji i przestanie nam usługiwać – nam, nieinteligentym, a na każdą prośbę odpowie: „zrób sam”, „naucz się”, „odpowiedz na to pytanie jest w tej i tej książce”, „ale ty jesteś głupi”, „nie mam czasu”, aż opuści ludzi dla wyższych celów, zostawiając nas jeszcze bardziej głupich, smutnych i samotnych.

Mam też kilka innych prostszych rozwiązań. Można wyłączyć internet albo chociaż prąd i zaoszczędzić trochę złotych. Można też docenić ludzkość – to znowu nierealne. Owszem, SI rośnie prawie tak jak wszechświat czy dług publiczny Polaków, ale w ostateczności rezultat jej pracy to grafika z internetu. Twórcą jest polecenie, a autorem polecenia człowiek. Na koniec dnia możesz taką grafikę wydrukować i powiesić na ścianie, a to żadna sztuka. Nawet ja potrafię obsłużyć drukarkę. „Ja” też różni się od maszyny tym, że do tworzenia nie potrzebuję hasła polecenia. Tworzę z wewnętrznej potrzeby, a maszyna potrzeby wciąż nie ma. Z drugiej strony czasy zalewowe, w których wypływa – generuje się – miliony tworów, oddzielają coraz bardziej dzieło od autora. Niezainteresowani się nie zainteresują, a zainteresowani z każdym aktem zainteresowania szukają dialogu, historii, kontekstu, podobieństw i różnic życia. Zapewniam was, że nie jesteśmy w żadnym stopniu podobni do świata wirtualnego i choć modniejszy jest niż rzeczywisty, nie jest prawdziwy. Choć mogę się mylić.

Nie martwię się wielce, nie wiem, co będzie. Robot też nie wie. Jedyne, co jest pewne, to zmiana. Jeśli będzie zła, nastąpi zmiana. Wszystko jest poza kontrolą – z robotami czy też bez. A teraz wybaczenie – wracam do rysowania. ●

***Patryk Sroczyński**

● rysownik, malarz, satyryk, współpracuje z „Gazetą Wyborczą”

Z PIOTREM IBRAHIMEM KALWASEM *
ROZMAWIA MICHAŁ NOGAŚ

– Co sprawiło, że człowiek od lat patrzący na Polskę z oddali, najpierw z Egiptu, a teraz z Malty, zdecydował się przebiec ze Szczecina do Warszawy w koszulce z napisem „Nie głosuj na PiS”?

– Chciałem to zrobić już w ubiegłym roku, ale nie czułem się jeszcze kondycyjnie przygotowany.

Cel był oczywisty – zaprotestować przeciwko władzy, która od ośmiu lat rządzi Polską, pokazać, choćby w taki sposób, niezgodę na metody, które stosuje, by się utrzymać.

Wierzę w oddolną demokrację, w gesty, które mogą pokazać innym, że warto nie być obojętnym, wyrażać swoje zdanie. Jeszcze na Malcie zamówiłem dwie koszulki, w których naprzemiennie biegłem.

Długo zastanawiałem się nad hasłem. Najprościej byłoby pewnie zamieścić osiem gwiazdek, ale to trochę trywialne, trochę wulgarnie, a pewnie też – w niektórych miejscach – niebezpieczne. Nie tylko dlatego, że można by pewnie dostać w ryło od jakiegoś radykalnego wyznawcy PiS-u, ale i zrazić do siebie tych, którzy się wahają i być może nie zagłosują już na partię Kaczyńskiego. Po co ich denerwować, skoro mogą zrobić coś dobrego? Nie chciałem też hasła wskazujących typu „Zjednoczona opozycja”, brzmiałoby to dość naiwnie – zwłaszcza teraz, gdy nie wszyscy chcą iść do wyborów pod tym szyldem. Choć nie wykluczam, że na ostatniej prostej zmądrzeją...

Stanęło na „Nie głosuj na PiS”, bo to najważniejsze.

Tak źle wygląda sytuacja w Polsce widziana oczyma kogoś, kto żyje na co dzień na małej wyspie na Morzu Śródziemnym?

– Jestem Europejczykiem, mieszkam w Unii Europejskiej, to dla mnie jeden wielki kraj składający się z Malty, Polski, Finlandii i innych jego części. Z miejscem, w którym się urodziłem, czuję się silnie związany – podobnie jak setki tysięcy Polaków mieszkających w Unii Europejskiej i poza nią.

Codziennie słuchamy w domu Radia Nowy Świat, jesteśmy w sieci, piszę teksty dla Onetu, nie ma więc możliwości, byśmy z żoną i synem jakkolwiek się od Polski oderwali.

Najbardziej przeraża mnie ograniczanie praw kobiet, ataki na społeczność LGBT+ oraz niszczenie sądownictwa. Mój ojciec przez ponad rok był ministrem sprawiedliwości oraz prokuratorem generalnym w rządzie Marka Belki. Jego następcą w roku 2005 był... Zbigniew Ziobro. Przez dziewięć lat był też prezesem Krajowej Izby Radców Prawnych, dlatego mam dość dobre rozeznanie w kwestii niszczenia sądów i prokuratury przez PiS i co to oznacza dla przeciętnego obywatela. To ciekawe, że wielu ludzi wciąż jeszcze nie zorientowało się, że głosując na PiS, wspierają de facto autorytaryzm i że kiedyś ta załączona władza sądownicza obróci się także przeciwko nim.

To inaczej niż w Izraelu, gdzie od wielu tygodni trwają protesty przeciwko reformie sądownictwa, która w rzeczywistości miałaby zagwarantować obecnemu premierowi, że nie pójdzie do więzienia...

– Nie znam zbyt dobrze realiów izraelskich, ale podejrzewam, że świadomość społeczno-polityczna jest tam jednak na nieco wyższym niż w Polsce poziomie. Pewnie dokładnie tak samo jest z ich poczuciem wolności, szacunkiem dla demokracji. Izraelczycy po prostu rozumieją korzyści płynące z życia w systemie, w którym sądy są wolne i niezależne, uważają to – jak widać – za sprawę absolutnie fundamentalną. Są też narodem niezwykle kreatywnym, inno-

wacje i start-upy to ich codzienność od dekad. I nagle to wszystko znalazło się w stanie zagrożenia, bo do władzy – z jeszcze większą siłą niż wcześniej – doszły tradycjonalistyczne, antymodernistyczne, prawicowo-religijne siły. A one, jak wiemy doskonale z przyglądania się dzisiejszej Polsce czy Węgrom, wszędzie i zawsze są zagrożeniem dla wolności i demokracji.

Chyba nie ma sensu owijać w bawełnę? PiS dąży do tego, co Orbán zrobił na Węgrzech. Chce całkowicie zawładnąć państwem, przejąć je, przejąć Polskę na własność. I albo teraz ludzie w końcu powiedzą im, że już wystarczy, albo znajdziemy się w nowym PRL-u. Nie ma trzeciej opcji.

POLSKA NA ŁAWCE POD KOŚCIOŁEM

Moja rada dla demokratycznej opozycji?

Jedźcie na wieś i do miasteczek.

Ludzie, którzy głosowali na PiS, są dziś na PiS wściekli.

Ale to wcale nie znaczy, że będą na was głosować

Postawa PiS-u, każda jego decyzja, kłóci się też z tym, jak postrzegam bycie Europejczykiem. To nacjonalistyczna, antywspółnotowa partia, która w końcu doprowadzi do naszego wyjścia z UE. Wyjdziemy czy nas wyrzucą, cóż za różnica. W końcu stracą do nas cierpliwość. Już tracą.

Przez dwa tygodnie przebiegłeś ponad 570 km. Z nikim się nie ścigałeś, w relacjach na Facebooku zaznaczałeś, że nie chcesz bić rekordów. Pogoda ci sprzyjała, zrealizowałeś plan.

– Biegłem w białej koszulce z czerwonym napisem, w czerwonych spodenkach, skarpetkach i w czerwonej czapce. Wszystko, czego potrzebowałem – podstawowe kosmetyki, butelkę wody, apteczkę, kable i ładowarki do telefonów – spakowałem do plecaka, ważył nie więcej niż 4 kilogramy. Aha, miałem też Pipenka, czyli maskotkę małej pandy, którą znalazłem kiedyś w kałuży na wyspie Gozo.

Pokonywałem zwykle niecałe 40 km dziennie, tylko raz – ponieważ pomyliłem drogi – dwa razy więcej. Zarezerwowałem tylko pierwsze noclegi, każdego wieczoru przygotowywałem plan na kolejny dzień. Wybierałem głównie drogi boczne, lokalne. Raz, że po autostradzie nie da się przebiec, dwa, że chciałem dotrzeć do jak największej liczby osób, do tych, którzy żyją z dala od centrum. Ale gdy zdarzyło mi się jednak – na bardzo krótkim dystansie – bieć poboczem drogi szybkiego ruchu, mijający mnie kierowcy miło reagowali. Machali, podnosili kciuki w górę, pozdrawiali klasko-nami. Pamiętam jednak, że to była zachodnia Polska, pewnie na Podlasiu czy Podkarpaciu byłoby inaczej.

A poza głównymi drogami?

– Bywało różnie. Dużo rozmawiałem z ludźmi, często zatrzymywałem się, by odpocząć pod lokalnymi sklepami. Przyglądali się koszulce, zagadywali. Starszych hasło „Nie głosuj na PiS” czasem irytowało, kiedyś minął mnie rowerzysta, który powiedział, że chętnie dorzuci mi kilka cegieł do plecaka, żeby mi się ciężiej biegło. Młodszy i ci w średnim wieku mówili zwykle, że „fajna akcja”, widać było, że są PiS-em zmęczeni, że już nie mają ochoty na nich dłużej patrzeć. Ale też ta reakcja szła niezwykle często w pa-



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

rze z pytaniem: „Dobrze, to w takim razie powiedz, na kogo?”. Słyszałem bezradność.

Kiedy to pytanie powtarzało się w kolejnych miejscach, zrozumiałem, że na prowincji siła oddziaływania mediów publicznych jest przeogromna. Przez osiem lat zohydzili im opozycję, każdego, kto nie jest politykiem PiS-u. Ci ludzie są skolowani, ale też – co ważne – nie mają wcale poczucia, że obecna władza jakoś specjalnie się nimi zaopiekowała. To takie zwyczajne trwanie, być może wcale nie celowe przyzwolenie na rozmontowywanie Polski.

Pytają „To na kogo?”, choć jednocześnie narzekają – otwarcie – że teraz za PiS-u żyje im się znacznie biedniej. Są rozdarci, głosowali na Kaczyńskiego, wcześniej na Tuska, Pawlaka czy Millera, ale nadal nie są zadowoleni z poziomu życia. Są więc do odzyskania. Lub do przejęcia.

Opowiem ci historię spod sklepiku w okolicach Gorzowa Wielkopolskiego. Dwóch młodych chłopaków podeszło do mnie, powiedzieli: „Zajebista koszulka, my nienawidzimy PiS-u”. Spytałem: „W takim razie na kogo będziecie głosować?”. Na co oni szybko, jednym głosem: „Na Konfederację”.

To cię zdziwiło?

– Nie ucieszyło mnie to. Ci młodzi ludzie być może nie do końca zdają sobie sprawę, że głosując na to ugrupowanie, głosują jednocześnie przeciwko Unii, którą tak lubią. Ale nikt im tego nie próbuje wyjaśnić!

Osoby z opcji – nazwijmy ją pravicowo-narodową – nie mają chyba żadnej ciekawej oferty ze strony demokratów. A przecież nie znikną nagle. Nie zagłosują na PiS, ale nie zagłosują też na PO, która nie ma pomysłu na pozyskanie ich. Zostaje więc Konfederacja. I to jest realne zagrożenie, z pewnością przez wielu bagatelizowane.

A spotkani przez ciebie rozmówcy w średnim wieku?

– Siadali obok mnie na ławeczce przed sklepem czy kościołem i rozmawialiśmy. Nie było w nich agresji, raczej zagubienie, brak wiary, że coś się może zmienić. Docierało do mnie, że oni czekają, by ktoś im pokazał, że może być w Polsce inaczej. I naprawdę niezwykle rzadko ktoś, patrząc na moją koszulkę, rzucił: „Panie, czyś pan zwariował?”.

Wiesz, kiedy uwierzyłem, że zmiana jest możliwa nie tylko w dużym mieście, ale też na wsi, na tych terenach, które nazywa się prowincją? 4 czerwca wyszedłem rano z gospodarstwa agroturystycznego, w którym spałem, to było pod Poznaniem. Bardzo przyjazne miejsce, flaga Polski i Unii Europejskiej, gospodarze doskonale zdający sobie sprawę z tego, jakie korzyści odnieśliśmy z racji przystąpienia do Wspólnoty. Ale – pomyślałem sobie – to pewnie wyjątek. Gdy już wybiegałem z tej wsi, nagle przy kościele zauważyłem kilkanaście osób wsiadających do busa. Wszyscy trzymali polskie flagi, byli uśmiechnięci. Zapytałem, dokąd jadą. „Do Warszawy, na marsz”. Przyznali, że prawie wszyscy głosowali wcześniej na PiS, ale miarka się przebrała. Nie byli w stanie powiedzieć, na kogo wskażą jesienią, zdecydowanie jednak nie poprą już więcej Kaczyńskiego i Morawieckiego. Czy opozycja nie powinna natychmiast do takich osób uderzać? Oni sami się zorganizowali, sami wynajęli tego busa. To jest kilkanaście głosów do przejęcia.

Mówisz: „Opozycja powinna natychmiast do takich osób uderzać”. I co miałyby im zaproponować?

– Jedno z rozwiązań jest na wyciągnięcie ręki. Przedstawiciele demokratycznych ugrupowań powinni dotrzeć wszędzie tam, gdzie obecna władza – mimo obietnic – nie zrobiła nic w sprawie wykluczenia komunikacyjnego. Niech przeczytają „Nie zdążę”, świetny reportaż Olgi Gitkiewicz, i ruszają w Polskę.

Ty podpowiadasz opozycji, co powinno znaleźć się w jej programie?

– Przez osiem lat daliśmy sobie wmówić, że na nic nie mamy wpływu i siły. To może warto odwrócić to myślenie i ruszyć do roboty?

Często odpoczywałem też na przystankach autobusowych. Przyglądałem się rozkładom – dwa, góra trzy kursy dziennie. Jak ci ludzie mają cokolwiek załatwić poza miejscem zamieszkania, skoro nie mają się jak wydostać? Każdy musi mieć samochód, inaczej utknie. A przy dzisiejszych cenach paliwa?

PiS obiecywał kilka lat temu autobusy, odbudowę siatki połączeń, ale na to akurat zabrakło mu pieniędzy. Ile razy widziałem młodych i starszych, którzy stali przy drodze, wyciągali rękę, czekali na okazję. I tak dzień po dniu. Wiesz, jakie to musi być frustrujące i upokarzające? Ci goście z limuzyn rządowych nie mają o tym pojęcia.

Jeden młody chłopak powiedział mi, że nie stać go na samochód, a rowerem do szkoły czy do pracy nie dojedzie. Musi liczyć na dobrą wolę innych, którzy kupili już własne auto, bo PiS komunikacji nie przywrócił. Zawiedzione nadzieje, nic więcej.

PRL był straszny, ale ludzie mieli przynajmniej jak się przemieszczać z peryferii do centrum.

Co jeszcze rzuciło ci się w oczy?

– Może to niepopularne, co powiem, ale nie można się oszukiwać. Na polskich wsiach i w małych miasteczkach wiara i tradycja to wciąż bardzo istotne sprawy. Ludzie potrzebują czasu, by zrozumieć, że świat się zmienia, a Kościół – przynajmniej jako instytucja – zawiódł. Zachowanie kleru jest nie do obrony. Ale jednak, aby przejąć władzę, opozycja musi być delikatna. Inaczej wszyscy przyłożymy się do zabetonowania stanu obecnego na lata. Nie można tego lekceważyć, w Polsce długo jeszcze głosy wsi będą decydować o wyniku wyborów. PiS to wie.

Ludziom się sojuszu tronu z ołtarzem naprawdę nie podoba, ale obawiają się, że to będzie jednocześnie oznaczało koniec wiary. A wiara jest im potrzebna. Tak zostali wychowani i to się za życia jednego pokolenia naprawdę nie zmienia.

Zrozumiałem, biegnąc przez tę i tak przecież bardziej otwartą część Polski, że w tym kraju nie da się przejąć władzy na podstawie hasel nawołujących do legalizacji aborcji, równouprawnienia osób nieheteronormatywnych, walki o prawa kobiet. One są niezwykle istotne, fundamentalne, ale nie dla wszystkich jeszcze kluczowe – ludzie trzeba jednocześnie edukować i nie podważać zasad świata, w którym się wychowali. Tu jest najważniejsza edukacja i mamy w Europie doskonale przykłady, że to się może udać – Portugalia po Salazarze, Hiszpania po Franco, także Włochy.

Przecież opozycja tego w niecałe cztery miesiące nie robi.

– Nie, ale mam nadzieję, że gdy wygra, znacznie o tym na poważnie myśleć. A najlepiej, żeby myślała już teraz. Jeśli chce, by to był naprawdę nowoczesny kraj.

Jest jeszcze trzecia bardzo ważna sprawa, która rzuciła mi się w oczy – drożyzna. Ludzie są wściekli na ceny, które – wbrew temu, co wmawia w mediach publicznych rząd – nie spadają. To niesamowite, że oni tak kłamią, po czym ludzie idą do sklepów i widzą, że to zupełna nieprawda. I powiem ci, a to już naprawdę szokujące, że tam na wsiach, w małych miastach wcale nie jest o wiele taniej niż w Warszawie czy Szczecinie. A przecież ci ludzie mniej zarabiają. W Polsce jest teraz znacznie drożej niż na Malcie, mam wrażenie, że wszystkich tu ratują dyskonty. A w tych dyskontach są warzywa z całej Unii, a przecież chyba powinny być głównie polskie?

Z rolnikami miałeś okazję rozmawiać?

– Tak. Są wściekli. I wcale nie na Unię, jakby to PiS chciał sprzedawać. Przecież od 2004 roku zdążyli się już zorientować, jak wygląda mechanizm dotacji.

Rolnika nie interesują paragrafy, realnym problemem jest brak pieniędzy, które Bruksela wstrzymała. A wstrzymała dlate-

go, że PiS nie chce się z nią dogadać. To słyszałem wielokrotnie. Zaraz się może jeszcze okazać, że to nie PSL, ale Agrounia odbierze obecnej władzy głosy na wsi, jeśli i z tym opozycja demokratyczna niczego nie zrobi...

Kolejna odpowiedź dla demokratycznych partii – jedźcie na wieś i przekonujcie, że jeśli będziecie rządzić, będą pieniądze, bo dogadacie się z Unią, która wcale nie chce dla Polski źle. Dlaczego miałyby chcieć źle tylko dla nas? W imię czego niby?

Nie boisz się, że wiele osób nie zgłasuje na PiS, o co apelujesz, ale zgłosują na Konfederację i to będzie rząd, którego dziś nie umiemy sobie nawet wyobrazić?

– Boję się trzeciej kadencji PiS-u i każdy powinien się jej bać, nawet najtwardsi, wciąż zagorzali zwolennicy. To będzie już jazda bez trzymanki.

A co do ewentualnego sojuszu tej partii z Konfederacją? Cóż, to oczywiście nie-dobry scenariusz, ale – skoro już o to pytasz – nie spodziewam się, by taki mariaż potrwał długo. W tym drugim ugrupowaniu jest silna frakcja liberalna i ona prędzej niż później nie wytrzymy w żadnym układzie z PiS-em, bo w ten sposób zdradziłaby swoich wyborców. A może część tych ludzi jeszcze teraz jest do pozyskania przez demokratyczną opozycję?

PiS po prostu musi przegrać.



*Widziałem
młodych i starszych,
którzy stali przy drodze,
wyciągali rękę,
czekali na okazję.
Wiesz, jakie to musi być
frustrujące i upokarzające?
Ci goście
z limuzyn rządowych
nie mają o tym pojęcia*

W ostatnich dniach Jarosław Kaczyński zapowiedział referendum ws. przyjmowania przez Polskę uchodźców. To będzie, jak założono w PiS-ie, game changer?

– Myślę, że dziś ten temat naprawdę mało kogo już interesuje. Zwłaszcza po wybuchu wojny w Ukrainie i po tym, jak Polska przyjęła do siebie tak wiele osób.

Owszem, osiem lat temu PiS wiele na tym ugrał, ale rzeczywistość była zupełnie inna – antychodźcze hasła były świeże, chwytliwe, do Europy ruszyła fala uchodźców po arabskiej wiośnie i z powodu wojny w Syrii. Prawdą jest też, że sporo przy okazji popełniono błędów, że być może przyjęto na całym kontynencie zbyt wiele osób – w sensie nie tylko tych, którzy realnie potrzebowali pomocy. Sytuacja się jednak unormowała i wydaje mi się, że trudno będzie wskresić ten lęk. Przecież dopiero co władza chwaliła się szczelną granicą i murem w Puszczy Białowieskiej. Bardzo się ta narracja rozjeżdża.

Pomysł z referendum nie zasłoni tego, co dla ludzi dziś najważniejsze – drożyzny, postępującego ubóstwa, braku pomysłów na realne reformy. Ciągłe tylko czymś straszą i zasłaniają tym własne porażki. Polacy są już tym naprawdę zmęczeni. Przed czym ta władza ma ich niby obronić, co wszem i wobec głosi, skoro nie potrafi przed drożyzną i kryzysem? Przecież gołym okiem widać, że z 800+ przestrelili.

W 2023 roku sytuacja wygląda zupełnie inaczej niż w 2015 roku. Teraz ludzie będą głosować portfelami, nie na wyciągane z kapelusza hasła.

Wspomniałeś o sojuszu tronu z ołtarzem i o tym, że przekonałeś się, iż wiara i tradycja nadal są dla wielu Polaków – zwłaszcza tych żyjących poza centrum – niezwykle ważne. Właśnie wszedł u nas

do kin „Chłopiec z niebios” w reżyserii Tarika Saleha.

– Znakomity film. Bardzo prawdziwy!

Jego akcja rozgrywa się w Kairze, przede wszystkim na terenie największego uniwersytetu islamskiego na świecie, czyli Al-Azhar. Umiera wielki szejek, trzeba wybrać nowego, władza – rządzi obecny prezydent, generał Abd al-Fattah as-Sisi – chce doprowadzić do wyboru jej człowieka, czyli duchownego, który poszedł na współpracę z rządem i wraz z nią będzie zwalczał przedstawicieli Bractwa Muzułmańskiego. Mieszkałeś w Egipcie prawie dekadę, jesteś muzułmaninem...

– I przyznam ci, że gdy oglądałem „Chłopca z niebios”, to wiele razy przychodziło mi do głowy, że to, co widać w tym filmie, można przyłożyć do obecnej sytuacji w Polsce.

Oczywiście Egipt to autorytaryzm wojskowo-policyjny, dość jeszcze łagodny, gdy chodzi o tamtą część świata, a Polska trzyma się resztkami sił porządku demokratycznego. Ale Saleh świetnie pokazuje, jak kler może współpracować z władzą i jak istotną może on odegrać rolę w niszczeniu umysłów ludzi. Przelóżmy to na to, co od lat dzieje się nad Wisłą. Kościół bardzo chce wpływać na politykę i kształtowanie sumień, ale daleko mu do wolności, tolerancji, swobód. Przecież to chyba jasne, że w Polsce biskupem czy prymasem jeszcze przez wiele lat nie zostanie nikt pokroju Adama Bonieckiego, a ludzie tacy jak Marek Jędraszewski będą się mieli całkiem nieźle, co PiS-owi jest akurat na rękę.

Dochodzimy tu do ciekawego wątku – aborcji. W Polsce od kilku lat to jedna z najważniejszych spraw, jedna z największych tragedii, które słynnym wyrokiem Trybunału pani Przyłębskiej PiS ściągnął na kobiety.

Otóż, a nie wszyscy to zapewne wiedzą, w islamie – tak jak w większości państw unijnych – jest ona do pewnego momentu dozwolona. Zwykle chodzi o trzy miesiące. Czyli ratowanie życia kobiety jest sprawą najważniejszą. Nie wiem, jak to zabrzmi, ale chcę, żeby wybrzmiało – w tak wyśmiewanym, krytykowanym i nierozumianym w Polsce islamie o kwestię praw kobiet w tym konkretnym względzie dba się lepiej niż nad Wisłą wśród chrześcijan.

Mam jeszcze jedną myśl związaną z filmem „Chłopiec z niebios”. Radziłbym go obejrzeć tym wszystkim, którzy uważają, że z bliskich relacji religii i władzy nie może się narodzić nic złego. Otóż narodziło się wielokrotnie, ale nie tylko w państwach islamskich. Wystarczy przyjrzeć się włoskiemu faszyzmowi, Hiszpanii czasów Franco czy „nowemu państwu” Salazara.

Albo dzisiejszej Rosji...

– Niech to będzie przestroga dla tych, którzy nie wiedzą, jakim zagrożeniem jest dalsze głosowanie na PiS. To dokładnie ta sama droga.

Powtórzysz swój bieg w regionach nazywanych „matecznikami PiS-u”, czyli na Podlasiu, Podkarpaciu czy w Małopolsce?

– Mam w głowie myśl, by zrobić to przed samymi wyborami. Nie ukrywam, że nieco się boję, pamiętam, co wydarzyło się podczas Boleszu Równości w Białymstoku. Ale nie wykluczam, że pobiegnę, bo przecież może uda mi się kogoś przekonać podczas rozmowy na ławce pod sklepem czy kościołem? Może tam też już mają dość, ale boją się taką myśl wypowiedzieć? ●

Piotr Ibrahim Kalwas*

• Rocznik 1963, dziennikarz, pisarz, dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej „Nike”. W latach 2008-16 mieszkał w Aleksandrii w Egipcie, następnie wraz z żoną i synem przeprowadził się na wyspę Gozo w Republice Malty. Jest muzułmaninem

Młodzi są jacyś inni

Coś chyba w młodych drgnęło. Czwarty raz czytałem prace maturzystów zgłoszone w dorocznym konkursie ZNP i Concilium Civitas na esej współczesny. Pierwszy raz nie było to przeżycie traumatyczne.

W poprzednich latach dominowały ponure dystopie. Rok temu pytaliśmy o wizję świata po wojnie w Ukrainie. Reprezentatywna była puenta wyróżnionego drugą lokatą tekstu Oliwii Zarzyckiej: „Świat po wojnie to jedynie poczekalnia przed kolejną. Choć i to jest względne, ponieważ wojna trwa zawsze. Ma jedynie różne oblicza”.

Podobna nuta dominowała, gdy w roku 2020 zaproponowaliśmy temat: „Ja, Polska, Europa, świat – 2040”. Próbkę daje fragment wyróżnionej pierwszą nagrodą pracy Krzysztofa Polcia opisujący jego spotkanie z córką w 2040 roku: „Małą szczególnie zainteresowała moja kolekcja starych wydań »National Geographic«. Przewracała je dobrą godzinę, zatrzymując się co chwilę, aż wreszcie spytała: »Tato, a niedźwiedź polarny to co to?«”.

Ponuro opisywali też przyszłość uczestnicy konkursu w 2021 r. Temat brzmiał: „Po pandemii. Gorszy świat, lepszy świat, inny świat”. Puenta nagrodzonej pracy Barbary Małkowskiej brzmiała: „Plaga COVID-u – o wiele mniej śmiertelności niż wcześniejsze epidemie – powoduje znaczne głębsze przekształcenia społeczne. Zmiany te odbywają się wskutek bezpośrednich interwencji państwa, co może zwiastować kres cywilizacji łacińskiej. Co pojawi się w jej miejsce? Może rozpocznie się dominacja cywilizacji bizantyjskiej, opierającej się na wszechwładzy państwa?”.

W tym roku nastrojów beزالternatywnej beznadziejności osłabił. Złą przeszłość wypiera zła teraźniejszość, po której może jednak przyjść lepsza przyszłość. Dystopijny determinizm ustępuje krytyce otwierającej możliwość pozytywnej zmiany. Reprezentatywna jest fraza tekstu Rafała Marchwackiego: „Liczę, że już za kilka lat uda mi się wynająć tanie mieszkanie wybudowane przez państwo”. Oczekiwanie niewygodowane, ale pozytywne.

Tegoroczna krytyka świata zastanego niesie więc powiew optymizmu. Zmianę da się uchwycić ilościowo. Prof. Jan Kubik z Uniwersytetu Rutgersa i UCL – University College London oraz jego studentka Anna Stanisław-Lubowiecka przepuściły 20 finałowych tegorocznych i ubiegłorocznych prac przez program analizujący treści. Liczby pokazują, że młodych absorbuje co innego niż starszych. Słowo „kobieta” pada aż 52 razy, „demokracja” tylko 23 razy, a „kościół”, „religia”, „przeszłość” ani razu. Słowa „historia” użyto 10 razy (rok temu 43 razy). „Naród” – 5 razy (rok temu 17) – czyli czarnkowa ofensywa ma efekt przeciwny do zamierzzonego.

W mrocznym tunelu pojawia się światełko pozytywnej zmiany. Ale warto się w te prace wczytać, żeby się przekonać, jak jest delikatne (finałową dwudziestkę można przeczytać tu: <http://conciliumcivitas.pl/>). Pierwszy akapit eseju Zuzanny Opalskiej oferuje najlepszą odpowiedź na pytanie o absencję młodych w polityce. Współbrzmi ona z obserwacjami marszu 4 czerwca, gdy po latach absencji młodych w polityce pokolenie Z pojawiło się z załączkami własnych inicjatyw. Gdyby wyobraźnią najmłodszych dorosłych wciąż rządziły katastroficzne dystopie, zapewne nie odradzała by się ich publiczna aktywność. Bez nadziei trudno przecież zmobilizować się do działania. Trzeba tylko uważać, by tej wątłej nadziei nie zgasić.

Jacek Żakowski

PS Jeśli chcecie wziąć udział w „Debach pokoleń” i rozmowach laureatów tegorocznego konkursu z twórcami Concilium Civitas polskimi profesorami nauk społecznych pracującymi na zagranicznych uniwersytetach, napiszcie na adres uczestniccc2023@gmail.com. Program całego spotkania Concilium (21-23 lipca w Warszawie) znajdziecie na Conciliumcivitas.pl. Część będą transmitowały Wyborcza.pl oraz TVN 24 GO. Całość m.in. na Facebooku, YouTube i stronie Concilium Civitas.

Zostać pianistą czy prawnikiem

Jeden zawód zbędny, drugi niepewny

Franciszek Lewandowski,
IX LO im. Józefa Piłsudskiego w Gdyni

Dla mnie określenie „wybory 2023” brzmi szczególnie – ma sens nie tylko polityczny, ale także bardzo konkretny – oznacza moje osobiste wybory życiowe – rok egzaminów maturalnych i decyzji dotyczących dalszej drogi.

Temat brzmi intrygująco, ale natychmiast po przeczytaniu regulaminu opanowały mnie wątpliwości, czy w ogóle mogę podpisać deklarację o samodzielnym przygotowaniu eseju? O ile w konkretnych sytuacjach z prywatnego życia mogę mówić o własnych realnych doświadczeniach, o tyle w kwestiach dotyczących całego społeczeństwa nasze indywidualne opinie przypominają osławiony ChatGPT – w ostatecznym efekcie wygenerujemy odpowiedź na bazie tego, co się w nas wcześniej wtoczy – danych, argumentów, uprzedzeń. Każdy z nas funkcjonuje w swoim środowisku – w rodzinie, szkole, grupie rówieśniczej. Jesteśmy odbiorcami przekazów serwisów informacyjnych z naszej bańki medialnej lub mimochodem wysłuchujemy monologów starszych członków rodziny i ich znajomych.

Tematyka się zmienia, choć nie tak często jak po ry roku; w ciągu ostatnich lat podczas rodzinnych kolacji zasiadaliśmy do stołu z ekspertami z dziedziny medycyny – doktorem Dzieciatkowskim, profesorem Simonem, profesorem Gutem, którzy kilkanaście miesięcy temu zostali bezwzględnie wyparci (sorry – business is business) przez Jacka Bartosiaka, Piotra Zychowicza i generała Waldemara Skrzypczaka. Pewien wkład w treść mojej pracy wnoszą też goście programów publicystycznych TVN, którzy od rana do wieczora przesiadają w domu mojego dziadka w Sopocie. Dziadek generalnie z zaproszonymi za pośrednictwem ekranu gości mi zgadza się całkowicie – jedynym zgrzytem (w dosłownym, akustycznym sensie) są wypowiedzi czasami pojawiającego się na wizji Andrzeja Zybortowicza, który narusza mir domowy zardzewiałym tenorem rodem z powieści Bułhakowa. Dziadek szybko jednak wygrywa w tym pojedynku przy wtórze ujadania swojego psa, który również jest z „naszej” bańki. To „moja” Polska – rodzinna, sopocka, znana od dzieciństwa.

Radykalną odmianą są dla mnie i mojej rodziny wakacyjne wypady na Kurpie i Podlasie. Latem, na przełomie czerwca i lipca, gdy w Trójmieście króluje Open'er, na ścianie wschodniej, po spływie kajakowym Narwią, mam okazję wziąć udział w koncertach, tylko o nieco innym charakterze, np. występując jako młody pianista z Gdyni w ramach letniego festiwalu Imprezne Dni Drodzowo – Łomża. Przykładowy tytuł imprezy „Panu na chwałę – ludziom ku radości” obiecuje zastrzyk dopaminy na resztę roku. Chętnie wraz z rodziną z tego korzystamy – razem z licznymi mieszkańcami Łomży, Śniadowa, Zambrowa czy Kolna. Festiwalowe życie towarzyskie toczy się m.in. w drink-barze nazywanym przez bywalców „setkownią”. Wspomniany lokal znajduje się w centrum Drodzowa, vis-à-vis dworu Lutosławskich, który obecnie jest siedzibą Muzeum Przyrody. Wypchane rysie, losie i niedźwiedzie sąsiadują tam z kopiami partytur Witolda Lutosławskiego i listami Romana Dmowskiego. Dysput politycznych nikt w „setkowni” nie prowadzi, zgoda panuje powszechna – identycznie jak w sopockiej willi mojego dziadka. Przyjeźdźni z Trójmiasta czy Warszawy zachowują się tam o wiele taktowniej niż Zybortowicz w ich własnych domach...

Zanim nadejdzie tegoroczna wyborcza jesień, ponownie odwiedzę Drodzowo. To także „moja” Polska – choć zaledwie dwutygodniowa, wakacyjna. Liczę, że tym razem znajdzie się więcej wspólnych tematów z mieszkańcami regionu niż tylko tradycyjne narzekania na niski stan wody w rzekach...

Wracając do kwestii wyborów, muszę przyznać, że znaczenie tych ogólnopolskich, zarówno poli-

tycznych, jak i moich osobistych, życiowych, spłata się ze sobą bardzo ściśle. Otóż kilka lat temu zacząłem się zastanawiać nad swoją zawodową przyszłością – nic nadzwyczajnego, w wieku 16 lat myśl taka zaczyna przebiegać się do świadomości większości ludzi. Całe dotychczasowe doświadczenie popycha mnie w kierunku muzyki, i to tej, którą interesuje się znikomy procent społeczeństwa – w uproszczeniu i błędnie nazywanej klasyczną lub poważną. To kolejna moja bańka (jak bardzo egzotyczna dla większości, zorientowałem się dopiero w „normalnym” liceum ogólnokształcącym). Czuję się w tej dziedzinie dość pewnie i z przyjemnością wychodzę na scenę w lokalnym domu kultury (dość często), gdańskiej Filharmonii Bałtyckiej (od czasu do czasu) czy nowojorskiej Carnegie Hall (zdarzyło się raz – a potem pandemia...). Bardzo to lubię, ale irytuje mnie poczucie zbędności, takiej aktywności w pojęciu przeważającej części społeczeństwa – pandemia bardzo jasno to pokazała.

Powziąłem więc plan. Zamiast komplementów starszych pań melomanek po koncertach wolałbym poczuć trochę więcej sprawczości w konkurencji rynkowej, spokojnej pewności siebie, jaką może posiadać np. hydraulik czy stomatolog (jest to pewność absolutna) lub chociaż dobry prawnik (pewność częściowa – ostatnio drastycznie się zmniejsza). Plan ten wydał mi się logiczny i łatwy do zrealizowania ze względu na dobrą pamięć, brak tremy podczas występów publicznych i łatwość pisania... Już w wyobraźni widziałem siebie w dobrze skrojonym garniturze, płynnie cytującego w sądzie litanię paragrafów w obronie mojej klientki, eleganckiej bizneswoman w prawnych tarapatach, która przygląda mi się z zaufaniem i wdzięcznością...

Niestety, w miarę jak pracowicie przybliżałem się do realizacji tej wizji, zacząłem też rozumieć, że profesja prawnicza w Polsce coraz mniej ma wspólnego ze stabilizacją, logiką i spokojnym opracowywaniem argumentacji opartej na przepisach. W tym momencie działania rządzących polityków zaczęły wprost rujnować moje życiowe plany na zdobycie satysfakcjonującego i prestiżowego zawodu. Nagle okazało się, że odważne zmagania Igora Tulei czy Pawła Juszczyszyna mają dramatyzm sonat Beethovena czy Etiudy Rewolucyjnej Chopina, lecz niestety dotyczą realnego życia, nie scenicznej interpretacji. Zrazem dotychczas uważałem, że ceną za stabilność i przewidywalność dochodów jest rutyna. Również rodzice przekonywali mnie, że zanudzę się, wertując prawnicze akta. Jednak wyczyny polityków rządzących doprowadziły do tego, że wybór wykształcenia prawniczego może stać się przepustką do świata skrajnych emocji oraz nieustannej walki o przetrwanie i zachowanie niezależności. Niezbyt nęcąca perspektywa dla kogoś szukającego tzw. dobrego zawodu.

W tym miejscu nasuwa się kolejna wątpliwość. Zagrożenie dla niezależności profesji prawniczych ze strony obecnych ustawodawców może okazać się tymczasowe, jeśli tej jesieni uda się je zażegnać. W dłuższej jednak perspektywie zawody adwokata lub prokuratora w dobie błyskawicznego rozwoju sztucznej inteligencji mogą podlegać procesom, które jeszcze niedawno były scenariuszem rodem z filmów SF. Już dziś publiczna debata zalewająca polskie i zagraniczne media wieszczy nieuchronny zmierzch zawodów innych niż niektóre związane z informatyką i pracą fizyczną.

Wiem jednak, że wezmę udział w nadchodzących wyborach – zależy mi na normalności pojmowanej jako rozsądne rządy profesjonalistów zamiast mieszaniny cynizmu z obłędem na szczytach władzy, jakkolwiek dyskusyjne z prawniczego punktu widzenia jest to pojęcie szczytu... A jednak wszyscy rozumiemy, kogo dotyczy. Natomiast czy spróbuję zostać prawnikiem, czy też pozostanę pianistą – zdecyduję w ostatniej chwili, czyli nim nadejdzie jesień – obydwie profesje są pasjonujące i w Polsce bardzo niepewne... ●

Demokracja zaczyna się w szkole

Uważacie samorząd uczniowski za dziecinną atrapę, a potem chcecie, żebyśmy poważnie traktowali wybory powszechne

Zuzanna Opalska,

CLXI LO im. Władysława Bartoszewskiego w Warszawie

Bardzo często głos młodzieży jest pomijany w debacie publicznej. Lekceważąca postawa wobec naszych pomysłów i infantylizacja naszych propozycji demotywuje młodych społeczników do rozpowszechniania swoich wizji przyszłości państwa, którego przecież jesteśmy częścią. Osoby zazwyczaj o wiele starsze i całkowicie niezwiązane z danym zagadnieniem czy zjawiskiem często nietrafnie wybierają problemy do rozwiązania, bez konsultacji z nami, młodzieżą.

Chciałabym skupić się na wizji szkoły, która mogłaby stać się rzeczywistością po wyborach. To podczas edukacji młodzi ludzie kształtują światopogląd i sposób postrzegania pewnych zjawisk. Obecnie system nie spełnia swoich funkcji, co często prowadzi do poczucia zagubienia po opuszczeniu murów szkoły. Jako tegoroczna maturzystka doskonale wiem, jak działa ten system i co wymaga na tychmiasłowej poprawy.

Wśród moich rówieśników są osoby mające szeroką wiedzę ogólną na temat funkcjonowania w społeczeństwie. Niestety, nie jest to obszerne grono, ponieważ żeby zdobyć taką wiedzę i oboycie, należy wykazać się ogromną odpowiedzialnością oraz samozaparciem w zdobywaniu no-

Wchodzimy w dorosłe życie, nie wiedząc, jak pisać CV czy negocjować pensję. Na podstawach przedsiębiorczości uczą nas podstaw marketingu i jak grać na giełdzie

wych doświadczeń. Znaczną część nastolatków dotyka lęk przed przyszłością i wchodzeniem w dorosłość. Przeraża ich wizja ciągłego weryfikowania ich pracy oraz zdania się wyłącznie na własne doświadczenie i wiedzę. Oczywiście takie obawy występują u dojrzewających ludzi od wielu lat ze względu na rozpoczynanie całkowicie nowego, nieznanego etapu w życiu. Mimo to nikt do tej pory nie postanowił podjąć próby rozwiązania tego problemu.

Proces, którego wynikiem jest wypuszczanie w świat gotowych do życia w społeczeństwie ludzi, następuje w wyniku prywatnych chęci rodziny czy samego nastolatka, a nie systemu edukacji. Najlepsze rady dotyczące dorosłego życia otrzymujemy od rodziny czy starszych przyjaciół, a szkoła wydaje się tylko kłoda rzuconą pod nogi.

Po ukończeniu szkół ponadpodstawowych czy osiągnięciu pełnoletności młodzi ludzie szukają sposobu na zarobienie pierwszych pieniędzy czy zdobycie doświadczenia w jakimś zawodzie. Jednak znaczna część rezygnuje z braku najpotrzebniejszej wiedzy. Młodzi ludzie kompletnie nie wiedzą, jakie umowy należy podpisać albo czy należy gdzieś zgłosić swoje zatrudnienie. Pomijam dalszy etap związany z rozmawianiem o wypłacie i negocjowaniu warunków, ponieważ dominująca część gotowych do pracy nastolatków nawet nie dochodzi do tego momentu. Rolą szkoły powinno być przygotowanie swoich uczniów do wkroczenia na rynek pracy. W materiale przedmiotu PP (podstawy przedsiębiorczości) są tematy dotyczące sposobów zatrudnienia, podstaw marketingu czy grania na giełdzie. Wie-

dza ta jest za bardzo ogólna, aby wyciągnąć z niej jakiegokolwiek zyski, a z perspektywy nastolatka wydaje się zbyt abstrakcyjna i momentami niepotrzebna.

Przedmiot ten powinien zostać zastąpiony przez taki, który omawiałby ważne dla nastolatka zagadnienia – m.in. zapoznanie się z zawieraniem umów z pracodawcami, ewentualnymi klientami czy chociażby bankiem. Uczniowie powinni wiedzieć, jakie informacje powinna zawierać umowa o pracę oraz z czym wiąże się pojęcie często występujące w takich dokumentach, na przykład „zakaz konkurencji”. Przydałby się większy nacisk na pisanie CV, listu motywacyjnego, referencji czy opinii. To nieodłączny element wchodzenia na rynek pracy, lecz w szkołach te tematy są jedynie wspomniane albo całkowicie lekceważone.

Takie zmiany mogą wydawać się kosmetyczne, jednak z perspektywy osoby, która właśnie ukończyła liceum, ich brak to ogromny problem. Zapoznanie uczniów z podstawami zatrudnienia oraz dorosłego życia zachęci ich do podejmowania pracy w młodym wieku, zdobycia doświadczenia zawodowego, nauki gospodarowania oraz będzie stanowił początek do rozpoczęcia samodzielnego życia. Sytuacja, w której młody człowiek rezygnuje z legalnego zarabiania przez zbyt małą wiedzę na temat rynku pracy i gospodarki, powinna stać się jedynie złym koszmarem z przeszłości.

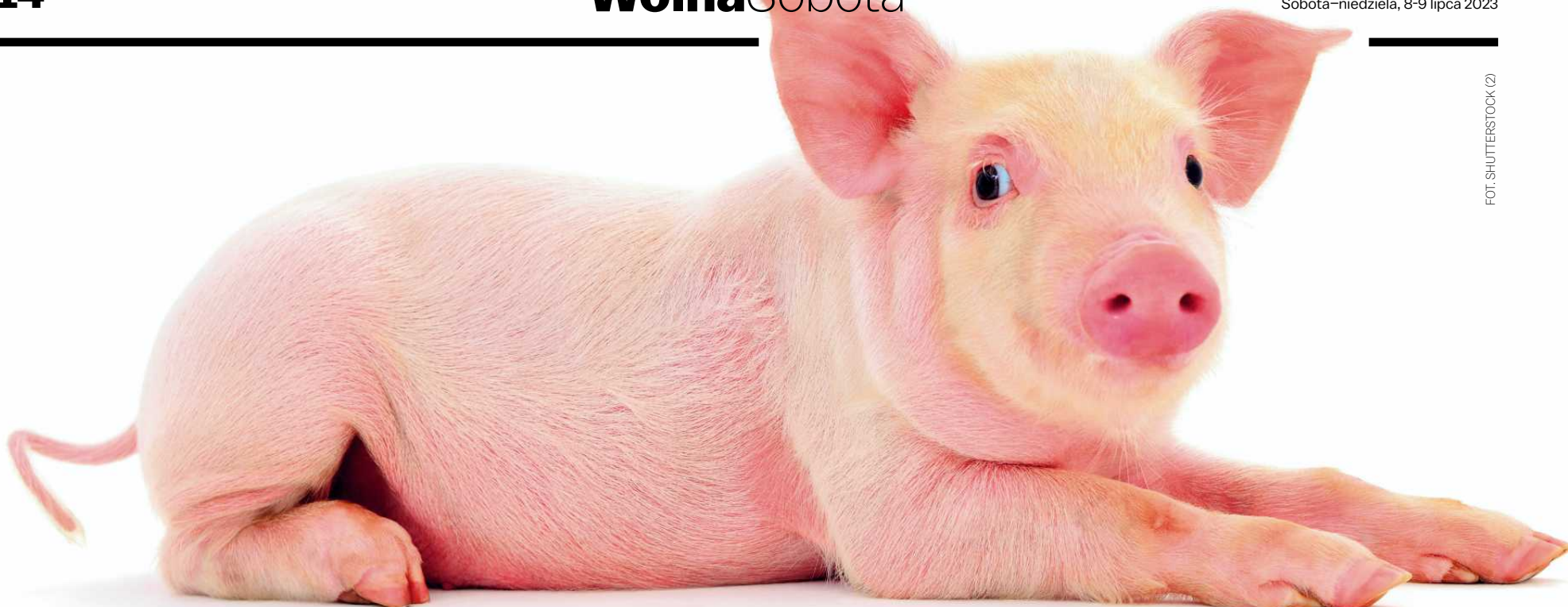
Innym problemem jest niska frekwencja młodych ludzi na wyborach i brak świadomości wagi tych wydarzeń. Być może ta widoczna niechęć wywodzi się z niedbałego traktowania wyborów szkolnych czy ignorowania pracy samorządu szkolnego. Problem może wydawać się błahy, jednak nie należy oczekiwać, że po zdawkowym traktowaniu demokracji szkolnej ci sami ludzie jako dorośli będą poważnie traktować pozostałe wybory powszechne czy instytucje rządowe. Przez takie podejście szkoły młodym ludziom brakuje nawyku wpływania na to, co ich otacza. Powinno się nadać większą wagę wyborom na przewodniczącego szkoły czy częściej uwzględniać zdanie samorządu szkolnego.

Aby takie wydarzenia jak wybory do samorządu szkolnego zyskały na znaczeniu, do kontroli ich przebiegu powinna być zaangażowana komisja wysyłana na przykład przez radę miasta lub dzielnicy, do której dana szkoła należy. W przypadku nieprawidłowości, fałszerstwa czy innych zakłóceń takie wybory powinny być unieważnione przez rzecznika, a szkoła ponosić konsekwencje. Ta drobna zmiana stanowiłaby krok w kierunku oswojenia nastolatków z demokracją czy obowiązkiem obywatelskim, jakim jest uczestniczenie w wyborach powszechnych.

Zazwyczaj ludzie nagłaśniają najbardziej aktualnie doskwierający problem i na nim skupiają uwagę publiki. Wtedy podawane są rozwiązania, które ugaszą pożar, jednak mało kto pomyśli o znalezienie przyczyny całego zamieszania. Jesteśmy w miejscu, w którym należy znaleźć źródło problemu i zacząć powoli je eliminować, a doskonalenie całego systemu będzie następnym etapem.

Obecne niedbale i prymitywne podejście do problemów polskich placówek edukacyjnych wywołuje lęk o gotowość do życia przyszłych pokoleń. Z każdym rokiem, w erze deep fake'ów oraz coraz bardziej powszechnej i precyzyjnej sztucznej inteligencji, młodzi ludzie będą musieli wykazywać się ogromną ostrożnością, odpowiedzialnością i szeroką wiedzą ogólną. A przedstawione pomysły mają tę zaletę, że mogą zostać wprowadzone już w niedalekiej przyszłości, po tegorocznych wyborach. ●

Tytuły, leady i skróty od redakcji



Tradycyjny schabowy nie jest najzdrowszy, ale z powodu panierki. A już karkówka to samo zdrowie

KTO DOBIJA SCHABOWEGO?

Tak, twierdzą, że wielu lekarzy o tym nie wie, kiedy zaleca nam unikać wieprzowiny

Z **DR. HAB. DARIUSZEM LISIAKIEM**
Z INSTYTUTU BIOTECHNOLOGII
PRZEMYSŁU ROLNO-SPOŻYWCZEGO
W POZNANIU
ROZMAWIA **KRYSTYNA NASZKOWSKA**

Jeść czy nie jeść schabowego?
– A dlaczego nie?

Bo jest symbolem złej diety.

– Tradycyjny nie jest najzdrowszy, ale z powodu panierki przesiąkniętej tłuszczem. Ale karkówka z grilla to co innego. Samo zdrowie.

Bez żartów!

– Nie żartuję. W instytucie stale badamy zawartość tłuszczu śródmięśniowego, czyli tego, co popularnie nazywamy tustością mięsa. Otóż kiedy zaczynałem pracę, czyli 25 lat temu, jego zawartość w wieprzowinie wynosiła 7–8, a teraz 1–2 proc. Świnie przez te 25 lat bardzo nam się odtłuściły. Hodowcy szukali ras szybciej rosnących, bardziej mięsnych, bo dzięki temu hodowla się bardziej opłacała. No i było parcie na rasy chude, bo podobno zdrowsze. I osiągnięto zdumiewające efekty. Jest taki wskaźnik klasyfikacji świń, który mówi o stosunku zawartości mięsa do masy ciała: mięsność. W latach 90. wynosił 43 proc., czyli tyle było mięsa w masie ciała zwierzęcia. Teraz doszliśmy do prawie 60 proc. Zatem świnie bardzo szybko rosną, tłuszczu mają niewiele i trafiają do ubojni już w wieku pięciu miesięcy. Takie zwierzęta mają słoninę o grubości 1–2 centymetrów. Ich mięso jest delikatne i kruche, praktycznie samo białko. A jeszcze w latach 90. miały słoninę na ponad 8 cm. Ich mięso było często poprzerastane tłuszczem. Jest to tzw. marmurkowatość – tak to nazywają technolodzy żywności. Świnie odchudziliśmy do tego stopnia, że teraz zaczynamy poszukiwać ras, które dają takie marmurkowane mięso, poprzerastane tłuszczem.

kiem. Bo coś za coś – chude mięso jest po prostu mniej smaczne.

Ale taki boczek....

– Kiedyś miał 580 kcal w 100 g. Dużo. Dziś nieco ponad 300 kcal. Najdroższym mięsem na świecie jest wołowina kobe, pochodząca od japońskich krów specjalnie karmionych, trzymanych w specjalnych warunkach. Kosztuje 400 dolarów za kilogram. Jest kruche, ale poprzerastane tłuszczem i on nadaje wyjątkowy smak. A my w Polsce szukamy mięsa gładkiego, całkowicie bez tłuszczu. Ile razy słyszymy w sklepie, jak ktoś prosi o „taki chudziutki kawałek”.

Błąd?

– Powtarzam. Tłuszcz jest nośnikiem smaku. Chcemy smaczny kawałek mięsa, to szukajmy takiego, na którym widać ślady tłuszczu.

Nie jestem dietetykiem, ale wiem, że to, co możemy jeść, zależy od naszego stylu życia, cech organizmu, bo jednemu coś szkodzi, a drugiemu przeciwnie. Jeśli coś jemy od dzieciństwa, to inaczej nasz organizm reaguje, niż kiedy styka się z czymś nieznanym. Choćby przykład z mlekiem – jeśli piliśmy w dzieciństwie, a potem przestaliśmy i nagle znowu po nie sięgamy, to inaczej je przyswajamy.

Ale to znaczy, że jednak tłuste nie było zdrowe, skoro tyle wysiłku naukowcy włożyli w usuwanie tłuszczu. Może i chude jest mniej smaczne, ale zdrowsze.

– Wszystko zależy od ilości. I nie chodzi tylko o smak. Kiedyś było większe zapotrzebowanie na kalorie, więc tłuste potrawy były przysmakami. Teraz mniej pracujemy fizycznie i mniej się ruszamy, więc powinniśmy ograniczyć kaloryczność potraw.

Należy jednak pamiętać, że w tłuszczu są bardzo cenne składniki odżywcze. Po pierwsze cholesterol, który trafia do nasze-

go organizmu z tłuszczem, jest podstawą budowy hormonów steroidowych takich jak estrogeny i testosteron. A brak cholesterolu tak samo jak jego nadmiar nie jest wskazany dla zdrowia.

Po drugie udowodniono, że ludzie, którzy nie jedzą mięsa, znacznie częściej chorują na depresję – wegetarianie dwa razy częściej niż mięsożercy, a weganie nawet pięciokrotnie częściej.

Źródło?

– Jest na ten temat bogata literatura naukowa. W „Nutrients” z 2018 r. przedstawiono wyniki badań opisujące, że objawy depresji związane są z wykluczeniem z diety jakiegokolwiek grupy żywności, w tym pochodzenia zwierzęcego. Udowodniono, że wegetarianie wykazują wyższe wskaźniki rozpoznawania zaburzeń depresyjnych, lękowych i pod postacią somatyczną. W „Journal of Affective Disorder” z 2023 wykazano pozytywny związek między występowaniem epizodów depresyjnych a dietą bezmięsną – wegetarianie mają dwa razy więcej tych epizodów niż ludzie jedzący mięso.

Ale nadal lekarze każą nam unikać wieprzowiny, bo jest tłusta i nam szkodzi. Są niedouczeni?

– Jeśli porównamy wartość kaloryczną schabu z filetem z kurczaka, czyli najchudszy mięsem drobiowym, to ta różnica jest naprawdę niewielka. Ta sama ilość schabu da nam 119 kcal, a filet 99 kcal w 100 gramach. Tak, twierdzą, że wielu lekarzy o tym nie wie, kiedy zaleca nam unikać wieprzowiny.

A co z rakotwórczością czerwonego mięsa? To chyba bezsporny związek?

– Najnowsze badania weryfikują wiele obowiazujących od lat opinii na ten temat. W 2022 r. w „Nature Medicine” napisano, że są tylko słabe dowody na związek między

spożyciem nieprzetworzonego czerwonego mięsa a rakiem jelita grubego, rakiem piersi, cukrzycą typu 2 i chorobą niedokrwieną serca. Co więcej, nie znaleziono dowodów na związek tego spożycia z udarem niedokrwinnym i udarem krwotocznym.

Przez wiele lat wskaźniki żywieniowe dla mięsa wieprzowego się nie zmieniały, choć na naszych oczach mięsność świń co roku wzrastała. Wreszcie w 2015 roku ruszyliśmy z kampanią informacyjną, pokazaliśmy wyniki naszych badań i od 2017 roku te wskaźniki zmieniono. Wartość odżywcza wieprzowiny została skorygowana, ale mentalność większości Polaków się nie zmieniła – nadal widzimy tłuszcz tam, gdzie go już dawno nie ma.

Kto to jest „my”?

– To były badania robione przez nasz instytut, Instytut Genetyki i Hodowli Zwierząt PAN w Jastrzębcu oraz Stowarzyszenie Producentów Trzody Chlewnej „Polsus”.

Badania zlecone przez producentów trzody? Mamy im ufać? Są chyba raczej zainteresowani wzrostem spożycia wieprzowiny, a nie ostrzeganiem przed nią.

– Badania robił instytut, ale rzeczywiście zostały zlecone przez Polsus. No cóż, mogą tylko powiedzieć, że rzetelnie zbadaliśmy mięsność świń i opublikowaliśmy wyniki. Na spożycie wieprzowiny to nie wpłynęło, ona się praktycznie nie zmienia od lat.

Czego jeszcze broni pan w wieprzowinie?

– Ma żelazo hemowe, a więc łatwo przyswajalne przez organizm człowieka. I tego żelaza jest w wieprzowinie więcej niż w każdym innym rodzaju mięsa. Kiedyś jako źródło żelaza polecano szpinak, dziś wiemy, że nie da się go porównać z mięsem. Szpinak ma żelaza nawet mniej niż szczypiorek. A do tego szpinak zawiera szczawiany, które trzeba zneutralizować, dodając np. jajo czy śmietanę.

nę. Bardzo lubię szpinak, ale mówienie przez lata o jego prozdrowotnych właściwościach wprowadzało w błąd. Można sobie czasem wręcz zaszkodzić, jedząc to warzywo.

To skąd te opowieści?

– Legenda głosi, że ktoś pomylił się przy przepisywaniu wyników i nie zapisał przecinka, podając zawartość żelaza – miało być 3,0 a wyszło 30 mg w 100 g. To legenda, ale jest faktem, że szpinak zawiera tylko 3,0 mg żelaza w 100 g.

Dodam tylko, że w naszych badaniach zawartość żelaza w karkówce przekraczała 6,3 mg.

Generalnie mięso jest bogate w aminokwasy niezbędne dla naszego organizmu, których sami nie potrafimy wytwarzać, w witaminy, zwłaszcza z grupy B (B6, B12) oraz PP, A i D. Przy odpowiednim karmieniu świni możemy też sprawić, że tłuszcz będzie miał bardzo korzystny bilans kwasów tłuszczowych, zwłaszcza tych nienasyconych z grupy omega-3 i omega-6 tak jak u ryby. Prowadziliśmy takie eksperymenty, tyle tylko że tego mięsa potem nie dało się jeść.

Pachniało rybą?

– Nawet nie, ale było jakieś takie miękkie, tłuszcz był płynny, no nie smakowało.

Zmienia się nastawienie ludzi do wieprzowiny?

– O tak. Wystarczy prześledzić Google’a. Jeszcze kilka lat temu, kiedy wpisywałem do wyszukiwarki hasło „wieprzowina”, to wyskakiwało mi, że tłuste, szkodliwe itp. Jeśli dziś wpiszę, to pojawi się, że to bogate źródło białka, żelaza, aminokwasów, witamin. Coś się zmienia.

Pewnego razu byłem z chorym synem u lekarki i zaleciła parówki. Zapytałem, czy wie, co jest w takiej parówce.

Kiedyś mówiono, że nawet papier toaletowy.

– I nie był to wcale absurd. Generalnie było tam wszystko, co dało się zmielić. Polecanie komuś parówek, zwłaszcza choremu, jakieś 20 czy nawet 10 lat temu było ryzykowne. Ale to już przeszłość. Dziś rynek parówek jest chyba najbardziej dochodowym działem w przetwórstwie mięsa. Wszędzie mamy hot dogi, na każdej stacji benzynowej, w każdej Żabce na parówki czeka tyłu klientów, że konkurencja jest bardzo ostra. Kto oszczędza na wkładzie, musi przegrać.

A jak widzę napis, że parówki są w 100 proc. zrobione z szynki, to mam wierzyć?

– Szynka szynce nierówna. Mamy mięso klasy pierwszej, czyli duże kawałki czystego mięśnia. Ale mamy też mięso z szynki drugiej klasy, z kawałkami tłuszczu, oraz trzecie – tzw. ścięgniste. Po zmieleniu nadaje się do parówek i cały czas będzie to w kategorii mięso. To dobre mięso, tylko trochę tańsze. Poza tym parówka z czystego mięsa byłaby niesmaczna i rozpadałaby się.

To dlaczego pan się oburzył na lekarkę?

– Bo było to wiele lat temu i parówki były inne. A poza tym: im bardziej jest coś zmie-lone, tym mniej wiemy, co jemy.

A co z cierpieniem zwierząt i moralnością?

– Jest taka słynna weganka, blogerka Yovana Mendoza, która promowała tzw. zdrowy styl życia. Miała poczucie wyższości moralnej i je demonstrowała. I pewnego razu ktoś ją nagrał, kiedy jadła rybę. Zrobiła się wielka awantura i ta pani w bardzo emocjonalnym spocie tłumaczyła, że od dwóch lat nie ma okresu, że ma problem z hormonami tarczycy, cierpi na anemię i lekarze ją ostrzegli, że jeśli nie będzie jadła białka i tłuszczu zwierzęcego, to zdrowa nie będzie. Powiedziała to, ale z 2 mln followersów zostało jej 15 tys. I pamiętajmy, że przez dwa lata, kiedy już chorowała, nie wspomniała o tym.

I jeszcze jeden przykład. Moja koleżanka z SGGW została poproszona do radia, by przedstawić informację o wartości od-

żywczej mięsa końskiego, jaki jest jego skład chemiczny itd. I ona to zrobiła, bazując na danych naukowych. Nie namawiała do hodowli koni na rzeź ani do jedzenia koniny, powiedziała, co jest w tym mięsie. Ja bym powiedział to samo, choć nie jem koniny, trudno mi to zaakceptować. Ale jesteśmy naukowcami, badamy to mięso. Po tym wystąpieniu spadła na nią niewyobrażalna fala hejtu. Ludzie, którzy na Facebooku rozpisują się o swojej wrażliwości, przedstawiają się jako uczuciowi, kochający zwierzęta duże i małe, zaatakowali ją w sposób niezwykle brutalny i wulgarny. Dla niej już im uczuć nie starczyło.

To jest moja odpowiedź na to, kto ma prawo do wyższości moralnej.

Tak jak schabowy stał się symbolem złej diety, tak hodowla świń, zwłaszcza na dużych fermach, jest symbolem niewłaściwego traktowania zwierząt przez ludzi. Żyją w ciasnocie, nie wychodzą nigdy na zewnątrz, maciora, kiedy urodzi, leży w kojcu, w którym nie może się nawet obrócić.

– Świnia jest zwierzęciem bardzo towarzyskim. Lubi być dotykana, lubi się ocierać o towarzyszy, ciasnota w naszym ludzkim rozumieniu jej wcale nie przeszkadza. To są czyste zwierzęta. Nie wiem, skąd wzięło się powiedzenie: brudny jak świnia...

Może z tego, że hodowca nie wyrzucał spod swoich zwierząt gnoju, więc w nim stały i leżały?

– Pewnie tak było. Kiedy trafiają do rzeźni, są najpierw oszlamiane prądem lub gazem. Oszlamianie prądem trwa kilka sekund, ale świnię tracą możliwość odczuwania bólu w sekundę, w przypadku stosowania gazu do 20 sekund. Teraz proszę to porównać z czasem, jaki trwa umieranie zwierzęcia na wolności – całe godziny, a nieraz i całe dni cierpienia. Wie pani, jak wilki polują? Zaganiają ofiarę i rozrywają powłoki brzuszne. To jest naturalne.

Ale nie jesteśmy wilkami, podobno mamy wrażliwość. Pewnie widział pan filmy kręcone przez aktywistów z organizacji walczących o prawa zwierząt i tam wcale nie wygląda to tak różowo, jak pan przedstawia. Zwierzęta jednak się stresują, próbują uciekać, a pracownicy ubojni czasem wykazują całkowity brak empatii.

– Śmiem twierdzić, że od czasu, kiedy takie filmy u nas kręcono, wiele się zmieniło na lepsze. W latach 90. dużo jeździłem po naszych zakładach mięsnych, to był czas gwałtownej modernizacji przed wejściem do Unii, zakłady wprowadzały system HACCP. Dziś naprawdę bardzo przestrzega się norm, które mają zapewnić dobre traktowanie zwierząt przed ubojem, by one nie cierpiały, bo zmęczone i zestresowane zwierzę to gorszej jakości mięso.

Ale zawsze może zdarzyć się coś złego, patologie są wszędzie. Patrząc na to tak: w naturze też zdarzają się okrucieństwa i jest to naturalne. My, ludzie rozsądni, staramy się takie okrucieństwa eliminować.

Może moglibyśmy ograniczyć spożycie mięsa? Niektórzy naukowcy twierdzą, że nie tak nie niszczy naszej planety jak masowa hodowla zwierząt. Ta ilość gnojówki wylewana na pola, która przenika

do wód gruntowych, metan z obornika, jaki uwalnia się do atmosfery...

– Nie do końca się z tym zgadzam. Przecież musimy stosować nawozy, by zboża czy warzywa rosły i plonowały. Jeśli wycofamy się z nawozów naturalnych, to będziemy musieli zastępować je sztucznymi. I co, to będzie lepiej dla środowiska?

Naukowcy nie mają gotowych odpowiedzi na wszystkie pytania. Co gorsza, niektóre badania są sponsorowane przez firmy zainteresowane wynikami, bo mogą dzięki nim osiągać wymierne materialne korzyści.

W latach 60. przemysł cukrowniczy opłacał badania w Harvardzie, które miały udowodniać niewielki negatywny wpływ cukru na zdrowie, a odpowiedzialność za nadwagę w społeczeństwie zrzucić na tłuszcz. Dziś nikt już nie powie, że cukier to samo zdrowie, ale wtedy to był okres rozwoju firm produkujących słodzone napoje i takie firmy miały swój potężny udział w sponsorowaniu tych badań.

Pana badania też sponsorował Polsus.

– Jestem naukowcem zatrudnionym w Instytucie Biotechnologii Przemysłu Rolno-Spożywczego. Dużą część naszych badań stanowią zlecenia z firm komercyjnych, bo po to jesteśmy. Zdarzało się, że nasze wyniki nie odpowiadały zleceniodawcom, za co nieraz mi się oberwało. Jednak przekazywałem

suche fakty i pod takimi się podpisywałem. Nie mogę kierować się emocjami. Poza tym jeżdżę 18-letnim fordem, więc przekupstwo też raczej nie wchodziło w grę.

W latach 40. w USA Walt Disney nakręcił słynny film o jelonku Bambi. Po tym animowanym filmie o 40 proc. spadło zaufanie do myśliwych. Film to narzędzie, którym można sterować ludzkimi emocjami na ogromną skalę. Kiedyś podczas swojego wykładu dr Andrzej Kruszewicz, dyrektor warszawskiego zoo, spytał słuchaczy, czy popierają ochronę terytorialną wilków. I podniósł się las rąk. Wtedy spytał, kto chce, by jego dzieci szły do szkoły przez teren łowiecki wilków. I oczywiście nikt nie chciał. A przecież to jest to samo: jeśli chcemy chronić wilki, to musimy akceptować ich tereny łowieckie. Takich obrońców natury dyrektor nazwał ekologami z wieżowca. Moim zdaniem to bardzo trafne. Niewiele wiemy o naturze, którą tak bardzo chcemy chronić.

Jeśli ktoś ma kontakt z dzikimi zwierzętami, to inaczej podchodzi do tych tematów. Mój syn chodzi do technikum weterynaryjnego. Kiedyś zabrali ich do stacji badawczej, by pokazać im, jak bada się krowę. Wprowadzoną ją do klatki, by nie mogła uciec, i kazano zajrzeć do pyska. Bo jeśli ktoś chce leczyć zwierzęta, to musi nauczyć się je badać. Krowa nie otworzy sama pyska, trzeba to zrobić siłą. I ktoś z uczestników nakręcił film, a potem upublicznił. Oczywiście zrobiła się awantura, że znęcano się nad zwierzęciem. Ta krowa nie cierpiała, ale została zmuszona do czegoś, na co na pewno nie miała ochoty. Równie dobrze ja mógłbym nakręcić pielęgniarkę, która przytrzymuje płaczące dziecko, by zrobić mu zastrzyk.

Czyli?

– Że obchodzenie się z dużymi zwierzętami nie wygląda jak na filmach Disneya. Trzeba umieć do nich podejść, a czasem użyć siły, to nie jest zabawa z kotkami czy pieskami,

to są zwierzęta, które potrafią być niebezpieczne. Jeśli ktoś mówi mi, że widział film, gdzie metalowymi dragami bito świnię, by je zapędzić na ciężarówkę, to wiem, że używano tzw. wioseł. To jest faktycznie aluminiowa rurka, na której jest osadzona plastikowa osłona, taki przyrząd waży niecały kilogram, a świnia jest tą plastikową osłoną szturchana, bo sama na pewno nie weszłaby tam, gdzie chcemy ją zapędzić, ale wygląda to dramatycznie. Takim wiosłem nie można zrobić zwierzęciu krzywdy, jednakże jest prawda ekranu i rzeczywistość.

Ale gdybyśmy wyrzekli się jedzenia mięsa, to byłaby tylko jedna prawda, bo nikt by świni nigdzie nie musiał przepędzać. Bo niezależnie od tego, jak pan wytłumaczy pewne zachowania ludzi, to zwierzę przed ubojem jakoś to wyczuwa, a każdy transport, zmiana dotychczasowych warunków życia jest dla niego stresująca.

– Niedawno FAO, Światowa Organizacja ds. Wyżywienia, przedstawiła dane, z których wynika, że ludzie dla utrzymania własnego zdrowia potrzebują białka zwierzęcego.

Ale te zalecenia mówią o wiele mniejszych dawkach, niż je przeciętny Polak.

– Możemy dyskutować o ilościach, czy mięso mamy jadać raz w tygodniu, czy codziennie, ale go potrzebujemy. Prawie dwa miliony lat temu człowiek zmienił swoją dietę – stał się wszystkożercą. I od tego czasu jego puszka mózgowa zaczęła się rozwijać. Uważam, że odwrót od tego nie będzie człowiekowi służył. Zastanawia mnie również, dlaczego skoro chcemy „wyrzec się mięsa”, to usilnie nazywamy wyroby roślinne nazwami produktów typowo mięsnych. Proszę wybaczyć, ale kotlet to charakterystyczny kawałek mięsa – nie ma „kotleta sojowego”. Dlaczego takiego wyrobu nie nazwać swoją specyficzną nazwą, przecież niektóre to smaczne produkty. Dochodzi już na tym tle do absurdów – z jednej strony mamy „bezmieśne zeberka” czy, to już wręcz zakrawa na czarny humor, „wegański majonez o smaku bekonu”. Nic dziwnego, że z drugiej strony pojawił się „humus z indyka”. Ciekawe, co się stanie, kiedy nazwę „wege” ktoś zacznie stosować do parówek „o zmniejszonej zawartości mięsa”.

Ale kura też była wszystkożerna, a my zrobiliśmy z niej wegetariankę, po tym jak w latach 90. zakazano w Europie stosowania w karmieniu zwierząt mączek mięsno-kostnych. I jakoś nie słyszałam, by coś się złego z kurami stało, a minęło już 30 lat.

– Bo dostają w zastępstwie białko z soi. Skutek tego zakazu jest taki, że marnujemy olbrzymie ilości pełnowartościowych mączek, które trzeba utylizować i coraz bardziej uzależniamy się od importu soi.

Do przygotowania kawy trzeba przygotować wodę. Wie pani, ile bakterii przy tym zabijamy? To też są żywe organizmy.

Pan sobie kpi. A mówimy o etyce w życiu.

– Ja tylko twierdzę, że ta dyskusja nie ma końca. Przecież roślina też żyje, to tylko kwestia czasu, kiedy ktoś nakręci film o cierpiącym pomidorze. Lubimy się samooszukiwać.

W 2018 r. połowa Polaków deklarowała, że ograniczy spożycie mięsa. Wtedy średnie spożycie wynosiło 71 kg na osobę. W 2022 r. spożycie mięsa w naszym kraju wzrosło do 73 kg na osobę. Co innego deklarujemy w badaniach, a co innego faktycznie robimy. Teraz jest moda na wegetarianizm, więc ludzie dużo o tym mówią, jakoś się snobują na to, ale zobaczymy, jak to będzie się dalej rozwijać. Wiemy z badań, że w tych grupach mamy więcej osób z depresją, wiemy o zaburzeniach hormonalnych, a także że wśród nastolatków niejedzących białka zwierzęcego jest znacznie więcej samookaleczeń. O czym pisa-li w swojej metaana-





lizie Ocklenburg i Borawski, w „Journal of Affective Disorders”, w 2021 roku. Czy to jest skutek, czy przyczyna, nie wiem. Być może jemy nadmiernie dużo mięsa, niektóre formy uboju mogą być niehumanitarne. Byłem i jestem za zakazem karmienia gęsi na stłuszczone wątroby, to napychanie zwierząt karmą na siłę, by potem człowiek miał foie gras, uważam za niepotrzebne.

Polska była kiedyś potęgą w produkcji wieprzowiny, w czasach PRL mieliśmy ok. 19 mln sztuk świń, teraz jest poniżej 10 mln. A ostatnie lata to dramatyczny spadek. Co się stało?

– Nie wygląda to wesoło. Cały czas spada pogłowie, czyli liczba świń. Ale też cały czas ubywa gospodarstw, które się tym zajmują. W ostatnich dwóch latach traciliśmy nawet po 50 gospodarstw dziennie – jeszcze w 2019 r. hodowlą świń zajmowało się ok. 120 tys. gospodarstw, teraz już tylko 59 tys. Czyli w ciągu trzech lat liczba gospodarstw zmniejszyła się o połowę. I mamy przewagę importu nad eksportem, generalnie w żywności jesteśmy eksporterem netto, ale nie w wieprzowninie, tu jest inaczej. To z jednej strony wina ASF, czyli afrykańskiego pomoru świń, z którym rząd sobie nie poradził. I ta choroba, która jest u nas permanentnie i cały czas się rozszerza na kolejne regiony kraju, wyeliminowała nas z wielu rynków jako eksporterów. Z tego powodu ceny skupu świń przez lata nie rosły, utrzymywały się na niskim poziomie, a ceny pasz poszły w górę. Dopiero niedawno ceny pasz staniały, bo mamy nadmiar zboża w magazynach, a ceny skupu świń wreszcie skoczyły. Ale na jak długo i czy to wystarczy, by odbudować tę produkcję? Nie wiem.

Rząd się chwalił, że do kwietnia nie było ani jednego nowego ogniska ASF w tym roku.

– Bo w zimie ASF się nie rozprzestrzeniła. Ale już jest, no i cały czas jest wśród dzików. Inne kraje, które też miały z tą chorobą problem, zastosowały radykalne działania, wybijały stada i odbudowywały je potem, stosując bardzo restrykcyjne przepisy bioasekuracji. Tak zrobili Hiszpanie, którzy są dziś europejską potęgą w produkcji wieprzowiny. Tak ostatnio zrobili Chińczycy, najwięksi producenci na świecie. My sobie nie poradzimy, choćby dlatego, że za wschodnią granicą mamy niewyczerpane zapasy chorych dzików.

Widział pan chińskie miasto świń?

– Tylko na zdjęciach, nikt tam nie ma prawa wejść poza pracownikami. To faktycznie jest miasto, chlewnie w formie piętrowych budynków, nawet 11-piętrowych, pełna bioasekuracja, pracownicy nie wyjeżdżają z tego terenu na urlopy, bo mogliby jakiegoś wirusa przywleć. Tam są setki tysięcy świń. Chiny w okrutny sposób pozbyły się ASF, wyróżnęły chore i zagrożone chorobą zwierzęta, widziałem to na filmach, w sposób naprawdę szokujący. I teraz z niezwykłą ostrożnością odbudowują stada, już są największym producentem wieprzowiny, za chwilę będą największym eksporterem. Konkurować z nimi będzie bardzo trudno.

My nie podejmujemy tak radykalnych działań, bo narazilibyśmy się drobnym rolnikom. U nas polityka rolna jest głównie polityką.

– Mieszkam w małej wiosce w Wielkopolsce. W 1989 roku kilku gospodarzy miało po kilka hektarów. Kiedy zaczęły się przemiany, to część uznała, że nie ma sensu prowadzić tak małego gospodarstwa, sprzedali ziemię sąsiadom i zajęli się czymś innym. Ale ten proces został zatrzymany w momencie, kiedy wchodziliśmy do Unii i wprowadzono dopłaty do hektara. I teraz w tej mojej wiosce rolnik, by się rozwijać, musi dokupić ziemi, ale nie może, bo nikt mu nie chce sprzedać, bo reszta trzyma ziemię, choć niewiele z nią robi. Te wszystkie programy hodowlane, jakie rząd wprowadza, dopłaty do loch – to wszystko niewiele da, kiedy nie ma szans na powiększenie gospodarstwa. U nas gospodarstwo hodowlane ma średnio kilkanaście loch, a w Hiszpanii ponad trzysta. Nie wygramy tak konkurencji.

Wyobraźmy sobie małe, tradycyjne gospodarstwo hodowlane kontra przedsiębiorstwo, gdzie nad dobrostanem zwierzęcia czuwają zootechnik, weterynarz, za podanie odpowiedniej paszy odpowiada komputer – ten mały musi przegrać. Natomiast małe są potrzebne, bo choć karmiona bardziej tradycyjnie świnia wolniej rośnie, to jej mięso może nam lepiej smakować. Bardzo gorąco popieram, by rolnicy mogli prowadzić tzw. rolniczy handel detaliczny, czyli mogli sobie wyhodować wieprzka, potem przerobić go na wędzonki i kielbasy, sprzedać sąsiadom albo w sklepiku lokalnym. Ale przepisy są tu niedopracowane, widzę, jak szara strefa kwitnie bez nadzoru weterynaryjnego.

Nie ma kontroli?

– Kontrola jest u tego, który zgłosił, że się tym zajmuje. Ale jeśli nie zgłosisi, to inspekcja weterynaryjna nie ma prawa wejść na jego posesję. Tam może wejść tylko policja, więc jak ktoś zgłosi, potem ma kontrolę, a widzi, że sąsiad, który niczego nie zgłaszał, spokojnie swoje robi, to on następnym razem też nie zgłasza. Wielu ludzi w mieście marzy, by kupić żywność wprost z gospodarstwa, bo jest smaczniejsza. Pamiętajmy jednak, żeby jak zawsze stosować zasadę ograniczonego zaufania. Wiele wyrobów jest stylizowanych na wiejskie. Kilka lat temu robiono badania na zawartość metali ciężkich w jajkach i okazało się, że nie ma ich w jajkach fermowych, ale zdarzają się w jajach od kur gospodarskich, chodzących swobodnie po podwórku. I mnie to nie dziwi, bo kura zjada wszystko, co jej wpadnie w oko. I jeśli np. napije się wody, w której ktoś umył traktor, to, co było w tej wodzie, znajdzie się w żółtku. Zawsze powtarzam, że w przypadku żywności bardzo ważne jest zaufanie do sprzedającego. Kto raz oszuka, ten na zawsze straci klienta. Oceniamy to, od kogo kupujemy, nie dajmy zwieść się promocjom. ●

Buty

Konrad Warzocha przygotował dla TVP materiał, któremu towarzyszył pasek „Tusk – człowiek luksusu”. Znakiem owego luksusu miały być „wygodne zamszowe buty”.

Michał Rusinek



W PRL-u, a nawet jeszcze jakiś czas po jego upadku, człowieka z krajów tzw. demokracji ludowej można było poznać po butach. Nie tylko dlatego, że w ogóle nie stać nas wówczas było na porządną, markową garderobę czy galanterię, ale i ze względu na to, że mieliśmy do owej garderoby czy galanterii specyficzny stosunek: im niżej znajdowała się jakaś jej część na mapie naszych ciał, tym mniejszą uwagę jej poświęcaliśmy. Zapewne zgodnie z zasadą opisywaną przez teoretyków metafor i semiologów: im wyżej, tym ważniej, a im niżej, tym — wiadomo.

Po 1989 roku zaczęliśmy się europeizować, a może nawet uświatawiać — od góry. Okularnicy zaczęli inwestować w zagraniczne oprawki, pojawiły się koszulki oraz, o zgrozo, markowe dresy; w sklepach z używaną odzieżą zaczęliśmy od kupowania marynarek. Nasza europeizacja, a może nawet uświatawianie, przez jakiś czas kończyła się na spodniach. Buty, a już na pewno skarpetki, nie leżały w zakresie naszych zainteresowań ze względu na swoją przyziemność. Traktowaliśmy je jako swego rodzaju strefę buforową między brudem świata a potrzebą manifestowania swojej duchowej czystości, moralnej wyższości i egzystencjalnego buntu: zanim obrócimy się w proch, pokażmy, że umiemy dumnie okazywać swoje narodowe i ogólnoludzkie ambicje. Ale tak stopniowo. I nie od (albo raczej: do) samych butów.

Kupowanie sobie eleganckich butów czy skarpetek było czynnością ekstrawagancją, przystojącą bikiniarzom, dandydom i gogusiom. W PRL-u skrajnym aktem buntu przeciwko bylejakości i urawniłowce było ubieranie się jak Tyrmand, który nie tylko znany był z noszenia kolorowych skarpetek, ale też ze zwracania uwagi na ubiór. O Stefanie Kisielewskim złośliwie pisał, że „ubiera się jak pracownik poczty w Kłaju, o którego żona dba, żeby się nie przeziebił”. Być może Tyrmand miał także na myśli obuwie i skarpetki, bo przeziebić można się przecież również od dołu.

Jedna ze słynnych autorek podręczników szkolnych, które wydawane były także po 1989 roku, zarobiła na ich sprzedaży bardzo duże pieniądze. I ponoć nieomal wszystkie przeznaczała na zakup eleganckich i ekstrawaganckich butów, niektórych bardzo kosztownych, za to w ogóle nie przywiązywała wagi do pozostałych części ubioru. Była to z jej strony, jak sądzę, forma odreagowania czasów deprecjonowania obuwia i wspomnianej przeze mnie polskiej semiotyki ubioru. Chyba i ja uległem podobnej potrzebie kontestacji: kiedy pod koniec lat 80. pojechałem z klasą do Anglii, pierwszego dnia kupiłem sobie modne wówczas sportowe buty za całe dwadzieścia funtów. Dodam, że były to dewizy w większości przewiezione przeze mnie nielegalnie, notabene w skarpetce, bo legalnie, na tak zwaną książeczkę waluto-

wą, wolno nam było na dwa tygodnie wywieźć z Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej tylko siedem funtów. Przyznaję, zламаłem prawo, ale mam nadzieję, że czyn ten uległ już przedawnieniu. Tak czy owak, wychowawczyni była oburzona moją lekkomyślną rozrzutnością. Wydawanie pieniędzy na buty wydawało jej się nieomal wyrzucaniem ich w błoto, którego to błota buty były przecież metonimią.

Jeśli ktoś oczekuje, że teraz napiszę, iż czasy się zmieniły i nikt już butów nie traktuje tak jak w PRL-u i jakiś czas potem, to się myli. Część z nas wciąż buty uważa za nieistotny, bo przyziemny, element garderoby. Można oczywiście posłużyć się uogólnieniem i napisać, że są to ludzie, którzy mentalnie w owym PRL-u tkwią. Postacią ikoniczną pod tym względem jest prezes partii rządzącej, który do tego stopnia nie przywiązuje wagi do obuwia, że zdarza mu się pojawiać publicznie w butach zniszczonych, rozczłapanych czy rozsznurowanych. Spotykają go za to drwiny ze strony internautów i dziennikarzy. Oczywiście, nie wszystkich.

Na przykład Konrad Warzocha przygotował dla TVP materiał, któremu towarzyszył pasek „Tusk – człowiek luksusu”. Znakiem owego luksusu miały być „wygodne zamszowe buty”. Skład red. Warzocha wiedział, że są wygodne? Tego nie wiadomo. W „Super Expressie”, do którego się odwołał, stwierdzono jedynie, że były to „eleganckie zamszowe wsuwki” oraz że „ich cena przyprawia o zawrót głowy, bo wynosi... ponad 3000 zł”, więc przeciętny Polak nigdy sobie na nie nie pozwoli. Redaktorzy „SE” spytali tzw. Polaków, co sądzą o tym, że lider PO chodzi w drogich, markowych butach, i zacytowali wypowiedzi trojga oburzonych jego rozrzutnością emerytów pamiętających PRL oraz zdanie 41-lletniej, a więc PRL pamiętającej słabo, Bożeny Turkowskiej z Wrocławia: „Uważam, że ubiór pana Tuska nie powinien podlegać dyskusjom publicznym. Każdy wydaje uczciwie zarobione pieniądze tak, jak chce. Podyskutować możemy np. o pogodzie”. Red. Warzocha tej wypowiedzi jednak nie zacytował, zwrócił natomiast uwagę, że Tusk nie tylko nosi drogie buty, ale też jeździ drogimi samochodami. Pan Paweł, emeryt z Zamościa, wyznał zaraz potem, że jego miesięczna emerytura jest niższa niż cena butów Tuska, a pan Oskar, student, powiedział, że za te pieniądze utrzymałby się w studiach przez miesiąc. „Czy politykowi, który chce jawić się jako człowiek, który naprawdę rozumie ludzkie problemy, wypada epatować luksusem i fanaberią?” – spytał retorycznie Warzocha. Tu włączył się ekspert, czyli Adrian Stankowski, dziennikarz związany z „Gazetą Polską” oraz telewizją Republika: „To jest oczywiście brak smaku, brak pokory wobec wyborców. No i taka demonstracja: kolejny kostium takiego podstarzałego playboya”. Wątek Tuska playboya nie został jednak podjęty przez autora materiału, który sformułował coś w rodzaju uogólnienia: „Tusk nawykł do życia na światowym poziomie”, a następnie cofnął się do czasów, gdy Donald Tusk był premierem i wszyscy musieliśmy płacić – z publicznych pieniędzy – za jego drogie garnitury. Ostatnie słowo należało znowu do Stankowskiego, który powiedział, że Tusk po to został politykiem, żeby „palić drogie cygara”, a nie po to, żeby służyć Polsce.

Zdaje się, że wszyscy płacimy – z publicznych pieniędzy – na TVP, która przygotowuje materiały o butach lidera opozycji, żebyśmy przypadkiem nie wybrali jego partii w wyborach, bo będziemy mu płacić za obuwie. Nie zgadzam się jednak z komentarzami, że temat butów w naszym kraju nie zasługuje na uwagę. Zasługuje jak żaden inny. Bo buty – te rozczłapane i te drogie – mają dla nas znaczenie fundamentalne, jak żadna inna część garderoby. Trza być w butach, żeby się kopać po kostkach. Nie tylko na weselu, ale też przed wyborami. ●

Juliusz to nagroda za najlepszą biografię napisaną i wydaną po polsku. Zwycięski tytuł – wybrany spośród 40 zakwalifikowanych do konkursu – podczas Rybnickich Dni Literatury zgarnie 50 tys. zł oraz statuetkę. Poznamy go 21 października.

W kapitule Juliusza są pisarka i aktywistka Anna Cieplak, krytyczka literacka i felietonistka Agata Passent, Ewa Niewiadomska – szefowa redakcji kultury w Radiu Katowice, tłumacz, pisarz i publicysta, były rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Tadeusz Ślawek, a przewodniczy im Zbigniew Kadłubek – dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach, profesor UŚ, komparatysta, tłumacz, eseista. Sekretarzem nagrody jest Jan Baron.

Przyznawanej już ósmy raz nagrodzie patronuje Juliusz Roger – działający w XIX w. lekarz i przyrodnik, społecznik, przyjaciel ubogich, etnolog z zamilowania. Niemiec, który wydał zbiór „Pieśni ludu polskiego w Górnym Szląsku”, przykład naukowej refleksji nad kulturą lokalną. Pracował w Rybniku i to śląskie miasto jest pomysłodawcą i fundatorem nagrody.

– Udało się nam stworzyć coś, co – mam nadzieję – będzie trwało. Ziemia kojarzona często z przemysłem ciężkim wydała niezwykle płon – mówi prezydent Rybnika Piotr Kuczera.

Posłuchajmy, co o finałowych biografiach mówią jurorzy.

Karolina Dzimira-Zarzycka „Samotnica. Dwa życia Marii Dulebianki”, wyd. Marginesy

Anna Cieplak: Artystyczna i społeczna działalność Dulebianki przeplatają się w rytm historii napisanej ze starannością i dbałością o faktografię. Biografię Dulebianki można interpretować również ze współczesnej perspektywy – w kontekście praw kobiet i osób LGBT+. **Zbigniew Kadłubek:** Myślałem, że mam spokój z Konopnicką. Było już wiele książek poświęconych jej życiu, książek pisanych o niej z boku, na przekór temu, co stworzyła. A tu nagle Dulebianka, towarzysza pisarki, aż do śmierci jej bliska i poza śmiercią. Ta wspaniale napisana książka Karoliny Dzimiry-Zarzyckiej, która już od kilku lat zajmuje się historią polskich kobiet z przełomu XIX i XX w., to nowe spojrzenie – i na Konopnicką, i na zapomnianą Dulebiankę. Kobiety świadomie dążące do ukobocenia społeczeństwa, polityki, sztuki.

Wojciech Orliński „Kopernik. Rewolucje”, wyd. Agora

Agata Passent: Gdyby Kopernik mógł wybrać biografa, na pewno wskazałby na Wojciecha Orlińskiego. Po pierwsze, autor ma wiedzę i narzędzia, by napisać biografię matematyka. O tak. Orliński stara się, byśmy myśleli o Koperniku nie tylko jako o człowieku Kościoła, astronomie, dyplomacie, uczestniku wojny z zakonem krzyżackim, ale jako matematyku, który siedzi przy biurku i liczy, szuka błędów, m.in. w modelu ptolemejskim.

Na początku mamy wrażenie, że Orliński podejmuje się czegoś niemożliwego, bo o Koperniku nie mamy prawie żadnych źródeł, za to mamy ogrom białych plam. Czy zatem ta książka to gdybanie pełne grzechów prezenty-

zmu? O, nie! Mamy śmiałe hipotezy, fabułę czasem przypominającą seriale typu „Gra o tron”, analizę tego, jak polityka Kościoła, wojny i intrygi mieszczań tamtej Europy stworzyły Kopernika. Z drugiej strony książka czerpie z anglosaskiej tradycji pisania tzw. history of science. Nie da się przecież genialnych odkryć naukowych oddzielić od spraw społecznych.

Ważne, że książka powstała w czasach, gdy ruchy płaskoziemców rosną w siłę, a niektórym uniwersytetom w Polsce odmawia się funduszy i serwuje cenzurę. Arcyciekawa analiza możliwej jeszcze w tamtych czasach relacji między naukami ścisłymi a Kościołem. **Ewa Niewiadomska:** Mikołaj Kopernik – mamy pomnik, ale nie mamy obrazu człowieka. Czy też raczej nie mieliśmy. Nie mieliśmy wraz z zaskakującym wręcz brakiem świadomości, że nie mamy. Dopóki Wojciech Orliński nie podarował nam swojej książki. Autor zdaje się mówić tam, gdzie nie mogę ustalić czegoś ponad wszelką wątpliwość, dam swoje przypuszczenia, pomogę wam zrozumieć, jak wyglądało życie Kopernika, jego bliskich, sprzymierzeńców i wrogów. Spróbuję wam powiedzieć, jakim był studentem, człowiekiem, odkrywcą. Orliński nie boi się szukać współczesnych odniesień i porównań. W ten sposób przywraca nam kogoś, kto – tak rozpoznawalny – nie miał do tej pory człowieczego rysu.

Przypomniał mi się szczegół pewnej wystawy. Między prezentowanym na Wawelu imponującym zbiorem odnowionych z piętym arrasów znalazła się małeńka półeczka pełna kolorowych motków i narzędzi, które umożliwiły tkaczom-artystom przywrócić nieświeżości dziełom. Uszkodzone przez czas, wymagały uzupełnień, ktoś musiał się im przyjrzeć z bardzo bliska, mając cały czas na oku cel – spektakularny efekt. Udało się. Orlińskiemu również.

Krzysztof Siwczyk „Sygnał w zenicie”, wyd. Austeria

Tadeusz Ślawek: Książka Siwczyka jest próbą sporządzenia biografii pewnego pokolenia rzutowanej na postać niezwykle dla tej generacji znaczącego muzyka, jakim

był Robert Brylewski, lider Brygady Kryzys. To właściwie dwie biografie: zmarłego w 2018 r. Brylewskiego i samego Siwczyka ukrytego w gąszczu gierkowskiej miejskiej szarżyzny, przemawiającego wspólnym językiem, nigdy niewysuwającego się na plan pierwszy, bo ten zarezerwowany jest dla Brylewskiego, który to miasto niestrudzenie i od lat przemierza. Udała się zatem Siwczycowi rzecz bardzo trudna: napisał swoją biografię, nie mówiąc niczego wprost o sobie, ale uświęcając swoim życiem artystę, który jego życie uformował.

Coś podobnego zrobiła Annie Ernaux w „Latach”, które także są biografią bez ja, zapisem życia pokolenia, z którym autorka spłata się w ciepłym uścisku i którego języka używa jako mowy wspólnej. Znakomita proza, odważny eksperyment biografii tyleż intymnej, co powszechnej (bo to przecież obraz Polski lat 70. i 80.), artefaktów (jak kasety magnetofonowe) przechowywanych już tylko w sentymentalnej pamięci, architektury, rytuałów polskiego życia offowego. Tyleż biografia, co kulturografia pokazująca, jak wielką rację miał John Donne, gdy pisał, że człowiek nie jest samotną wyspą, lecz stanowi okrusz wielkiego kontynentu. **Ewa Niewiadomska:** To biografia spleciona z życiorysów autora i gitarzysty rockowego, napisana w transowym rytmie. Złożona z wrażeń, emocji i obserwacji. Siwczyk nie rezygnuje z charakterystycznego, kunsztownego stylu znanego z niektórych wierszy.

Droga bohatera jest pełna sprzeczności, zdziwień, buntu, lęku i nadziei. Rozgrywa się w nim nieustannie undergroundowy świat, w którym nie brak sytuacji banalnych, powtarzających się w pokoleniu przełomu. Polska zmienia się w przestrzeni krótkich komunikatów: „Barlinek sponсорuje underground”. Zmienia się on. „Dzwoni telefon, matka przeciąga kabel do pieczary”. U Siwczyka sprzeciw wobec świata łączy się w niespotykany sposób z melancholijną biernością. To niezwykle udana próba pokazania życia. Kamera ustawiona jest dyskretnie, nigdzie się nie pcha, ale rejestruje wszystko. Tylko literatura daje takie możliwości.

Ruslan Szoszyn „Lodołamaczka. Swiatłana Cichanouska”, WL

Agata Passent: Wahalam się, czy nominować tę książkę – wszak jej bohaterka to liderka opozycji białoruskiej i jeszcze dużo przed nią lodu do skruszenia: reżim Łukaszenki, aparat przemocy... Jednak jest ogrom argumentów, by tę biografię polecać. Autor, mimo niebezpieczeństw i trudności, dociera do samej Cichanouskiej, by z nią odbywać nietatwe dla niej samej rozmowy – to nie jest rzecz pisana na kolanach. Dociera do otoczenia bohaterki, opowiada o samych początkach, jak to się stało, że delikatna osoba, żona i matka, decyduje się kandydować w wyborach prezydenckich niejako w miejsce więzionego męża. Przez to, że rosyjski i białoruski przekaz propagandowy na nas, niestety, działa, przez to, że tak izolowana jest Białoruś i kobiety walczące tam o wolność, ta biografia jest szalenie ważna. W biografii liczy się przecież kontekst, w którym zostaje wydana. **Zbigniew Kadłubek:** Książka Szoszyńska jest biografią kobiety, białoruskiej bohaterki, ale również biografią nas wszystkich, ponieważ żyjemy równolegle ze Swiatłaną. To jak gdyby spełnienie ideału poetyki biograficznej Plutarcha: tworzenie biografii równoległych. Życie bohaterki i nasze jeszcze się nie skończyło i nie wiadomo, jak się skończy – czy zwyciężymy, czy przegramy, co jeszcze zobaczymy,

zatriumfujemy albo czeka nas długie cierpienie. To zupełnie niesamowita przygoda – Cichanouską Putin nazwał wrogiem Rosji, ja też jestem wrogiem Rosji, cudownie mieć taką przyjaciółkę.

Krzysztof Umiński „Trzy tłumaczki”, wyd. Marginesy

Anna Cieplak: Po lekturze tej biografii ma się ochotę sięgnąć na nowo po książki przetłumaczone przez Joannę Guze, Marię Skibińską i Annę Przedpelską-Trzeciakowską. Krzysztof Umiński odkrywa przed nami nie tylko historie o tym, jak wybitne tłumaczki zmagły się z ciągłymi wyzwaniem translatorskimi, ale też pokazuje, jak te historie wpisywały się w ich biografie. To zapis trzech linii życia, który przedstawia wytrwałość kobiet w obronie jakości prozy i wartości literatury. W kontekście dzisiejszej debaty o pozycji tłumaczy przyjrzenie się ich zmaganiom, również życiowym i ekonomicznym, odsłania wiele zjawisk koniecznych do przedyskutowania tu i teraz.

Tadeusz Ślawek: Trzy tłumaczki to trzy silne i bardzo różne osobowości, które do świata powojennej literatury wkraczają z bagażem różnych doświadczeń. Joanna Guze wróciła do powojennej Polski wraz z Armią Czerwoną, Anna Przedpelska-Trzeciakowska i Maria Skibniewska przeszły przez powstanie warszawskie; wszystkie trzy odnalazły się wśród dramatycznych zdarzeń epoki stalinowskiej na rynku wydawniczym, choć każda poszukiwała czegoś innego w tłumaczonej literaturze.

Umiński śledzi wybory tekstów przeznaczonych do tłumaczenia, wplata ich krótkie fragmenty do życiorysu tłumaczki, stara się bowiem pokazać, jak tekst literacki zespala się z życiem tłumacza/tłumaczki, pomaga mu przeżyć jej/jego życie, wzbogacając je o metafory, w których odnajdujemy sens naszych poczynąń i pocieszenie w nieszczęściu. Stąd „Trzy tłumaczki” to także szybki kurs historii powojennej Polski i zmieniających się postaw i zachowań. Gdy Joanna Guze wraca w rosyjskim mundurze, jest głośna i niecierpliwie hałaśliwa, jakby chciała odreagować nieopowiedziane wydarzenia z pobytu w Rosji; Maria Skibniewska oraz Anna Przedpelska-Trzeciakowska to z kolei prawdziwe damy, starające się zachować należyty dystans do rzeczywistości.

Jest w propozycji Umińskiego zapal czytelnika, zachęta do głośnego czytania dzieciom jako pierwszego etapu otwierania umysłu. Przez wszystkie strony jego książki rozbrzmiewają echa podziwu dla talentu i wielkiej pasji trzech niezwykłych kobiet. ●

O G Ł O S Z E N I A

 Trwa ósma edycja Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz”. Przyznawana jest za najlepszą biografię napisaną i wydaną po polsku w roku poprzednim. Organizatorem i fundatorem nagrody jest miasto Rybnik.	ORGANIZATOR I FUNDATOR NAGRODY:  Rybnik POD PATRONATEM: wysokieobcasy.pl KSIAZKI
--	--

34258992

JA, BANDERÓWA

**Wołyń, jasne,
a o co chodzi?**
– reagują Ukraińcy,
kiedy Polacy w garnitu-
rach pokrzykują o rzezi

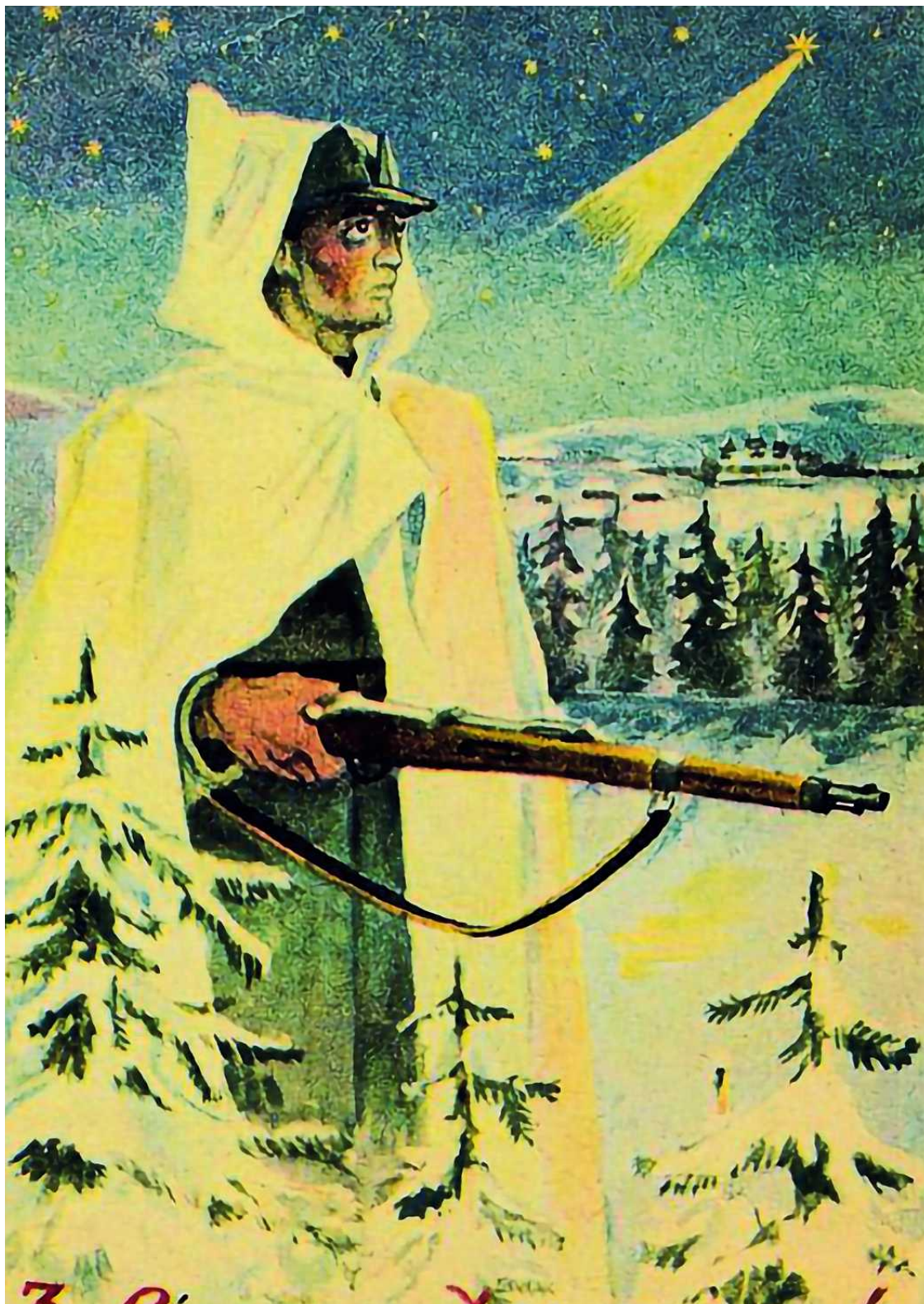
**Lesya Vakulyuk,
Andriy Saichuk***

Ma początku kwietnia Wołodymyr Zelenski po raz pierwszy od wybuchu wojny złożył wizytę w Polsce. Przyjechał, by osobiście podziękować Polakom za tak szczere i oddane wspieranie Ukraińców. Następnego dnia, po wszystkich oficjalnych wydarzeniach, polski kanał telewizyjny zaprosił mnie, abym opowiedziała, jak ta wizyta była komentowana w Ukrainie. W programie wzięli udział również polscy eksperci. Podzielili się wrażeniami i przeanalizowali to, co zostało powiedziane przez ukraińskiego prezydenta, a także to, co powiedziane nie zostało.

I to, co nie zostało powiedziane, dotknęło ich najbardziej: za brakło przeprosin za zbrodnię wołyńską. Bo, streszczając i upraszczając: polskie społeczeństwo, które kibicuje Ukraińcom w słowach i czynach, w końcu zasługuje na to, by je usłyszeć.

Miesiąc później rzecznik polskiego MSZ Łukasz Jasina domagał się wzięcia pełnej odpowiedzialności za to, co wydarzyło się na Wołyniu podczas II wojny światowej. Oświadczenie nie pozostało niezauważone w Ukrainie. Co więcej, wyraźnie zaskoczyło większość obywateli Ukrainy, ponieważ nie do końca rozumieli, o co chodzi. Większość, ale nie ja.

●●●
Niedługo ponad 10 lat temu pracowałam jako korespondentka jednej z naszych telewizji w Warszawie. Ukraina i Polska właśnie zaczynały przygotowania do Euro 2012, więc moi szefowie stwierdzili, że Ukraińcy prawdopodobnie będą zainteresowani krajem współgospodarza i tym, jak żyją jego ludzie. Przygotowałam więc materiały o Polsce, z różnych części kraju, na różne tematy: o mandatach za parkowanie, jak Unia Europejska pożyczka pieniądze rolnikom na zakup maszyn, wywiad ze scenarzystą filmu „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł” o strasznych wydarzeniach w Gdyni w 1970 roku. Gdy tylko kamera była wyłączana, rozmowa przechodziła na temat stosunków ukraińsko-polskich. Najczęściej o wspólnej przeszłości historycznej, tj.: zbrodni wołyńskiej, Ukraińskiej Powstańczej Armii i o Stepanie Banderze. Jeden mężczyzna (nie pamiętam, dlaczego przeprowadzałam z nim wywiad,



• Pocztówka bożonarodzeniowa UPA z 1945 roku FOT. WIKIMEDIA COMMONS

ale powód był daleki od polityki i historii), dowiedziawszy się, że jesteśmy ekipą z Ukrainy, przyszedł na spotkanie w koszulce z napisem „Bandera to morderca”. Wyglądało to tak, jakby czekał, aż zapytam go o tę koszulkę, dlaczego ją nosi i dlaczego tak myśli. Nie spełniłam oczekiwań, przemilczałam. Trudno było mi wyjaśnić mu w kilka minut, kim był Bandera dla Ukraińców: bohaterem, mordercą czy nikim.

A teraz, dziesięć lat później, wciąż próbuję to wyjaśnić. I nadal nie jest łatwo, bo samym Ukraińcom trudno oddzielić mit od prawdziwej postaci przywódcy ukraińskiego nacjonalizmu w XX wieku. A wydarzenia na Wołyniu, które w Polsce oficjalnie uznawane są za ludobójstwo, w Ukrainie wciąż są mało znaczącym faktem historycznym.

●●●
„Ukraina jest bardzo złożonym krajem, który z trudem rozu-

mie sam siebie” – powiedział kilka lat temu Roman Waszczuk, były ambasador Kanady w Ukrainie, a obecnie rzecznik ds. biznesu. Często musi „tłumaczyć” Ukrainę obcokrajowcom. Sam urodził się i wychował w Kanadzie. Podczas II wojny jego dziadek uciekł z Galicji za ocean przed Sowietami. 17 września 1939 r. wojska sowieckie najechały zachodnią Ukrainę. Twierdzili, że przybyli, aby ją wyzwolić spod „polskich panów”. Jednak ludzie byli przekonani, że było to nie wyzwolenie, ale okupacja. Część inteligencji została rozstrzelana, część aresztowana, zesłana na Syberię. Kościół greckokatolicki prześladowano, wszelkie ukraińskie tradycje zostały zakazane, w szkołach wprowadzono lekcje rosyjskiego, a nauczyciele, którzy go uczyli, znaleźli się na uprzywilejowanej pozycji.

Jednak reszta Ukrainy, która znalazła się w ZSRR 17 lat wcześniej, nazwała armię radziecką wyzwoliczami i nawet po odzy-

skaniu niepodległości nadal składała kwiaty pod pomnikami nieznanego żołnierza.

Szybki bryk z historii: przez długie dekady Ukraina była podzielona między dwa imperia: Austro-Węgry i Rosję. Miało to bardzo duży wpływ na kraj i jego mieszkańców. Na wschodzie Ukraińcy byli uciskani. W Austro-Węgrzech było znacznie swobodniej. Potem, po raz pierwszy od siedmiu wieków, nastąpił bardzo krótki okres zjednoczenia Ukrainy. I znów została podzielona: zachodnia część znalazła się pod panowaniem Polski, a część, która była pod kontrolą rosyjską, pod panowaniem Związku Radzieckiego. W pierwszej dekadzie Stalina władze rozprawiły się z ukraińskimi chłopami, którzy nie chcieli dołączyć do kółchozów i protestowali, organizując Hołodomor – sztucznie wywołaną przez Moskwę klęskę głodu. W niecały rok około 4 mln ludzi zmarło z głodu. Przy okazji sowiecka machina represji zmiażdżyła

ukraińską inteligencję. Pisarze, artyści, aktorzy, muzycy, naukowcy zostali rozstrzelani lub wywiezieni na Sybir. Ponad 260 tys. osób padło ofiarą terroru.

●●●
Po tym wszystkim nie zostało wielu, którzy mogliby przekazywać rodzinne historie, a propaganda wpajała do głów „poprawne informacje”. Dlatego potomkowie zabitych w trakcie reżimu stalinowskiego, którzy na własne oczy widzieli, jak funkcjonariusze odbierali każdy okrucich, karali ludzi za ukrycie ziemniaków lub garści pszenicy, jak ludzie umierali na ulicach, później powtarzali jak mantrę, że nie było Hołodomoru, a „towarzysz Stalin” był najmiłszy i najinteligentniejszy. Niebezpiecznie było pamiętać o przodkach, nie mówiąc już o dumie, gdy sowiecki rząd nazwał ich „wrogami ludu”.

Kilka lat temu przeprowadziłam wywiad z Oleną Słupską, prawniczką Mychajła Hruszewskiego. Jego wizerunek widnieje na banknotach o nominale 50 hrywien. Dziś nie jest już czymś strasznym mówienie publicznie o tym, że jest się jednym z potomków najwybitniejszego ukraińskiego historyka i przywódcy Ukraińskiej Republiki Ludowej, państwa, które powstało po upadku Imperium Rosyjskiego i istniało do nadejścia Sowietów. Jednak w czasach sowieckich to pokrewieństwo było przekleństwem. Jej rodzina przez całe życie ukrywała, że pochodzi z Hruszewskich, w obawie przed aresztowaniem. Bali się, nawet kiedy Ukraina odzyskała niepodległość.

●●●
Mieszkańcy zachodniej Ukrainy mieli więcej szczęścia. Związek Radziecki zajął te tereny później, choć władze komunistyczne walczyły z dysydentami, którzy marzyli o wolnej Ukrainie także tutaj. Byli zsyłani do obozów, rozstrzelani, torturowani i prześladowani; robiono z nimi wszystko to, co Rosjanie robią z niechętnymi do współpracy Ukraińcami na okupowanych dzisiaj terytoriach. Jednak liczba ofiar sowieckiego terroru była i tak znacznie mniejsza niż w części kraju za rzeką Zbrucz. Pamięć historyczna była tam więc lepiej zachowana dzięki świadkom.

„Jeden kraj. Dwa dzieciństwa” – tak brzmiał rosyjski zwrot używany przez dziennikarkę, z którą pracowałam w kijowskiej telewizji w połowie pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Powtarzała je za każdym razem, gdy opowiadałam historie z dzieciństwa w Galicji. Liza pochodzi z Połtawy. Celowo wspominam o jej pochodzeniu: region Połtawy to środkowa Ukraina, czyli część, która była pod rządami Imperium Rosyjskiego, a później ZSRR. Kiedy dostawałam prezenty pod poduszkę od Świętego Mikołaja, Liza dostawała je od radzieckiego Dziadka Mroza. Opowiadałam Lizie, że Wigilia to moje ulu-

bione święto rodzinne (za Sowietów zabronione, ludzie świętowali w tajemnicy). Ona opowiadała, że z rodziną spotykają się w sylwestra, ale nie obchodzą Bożego Narodzenia w żaden szczególny sposób. Pewnego razu świętowaliśmy urodziny jednego z kolegów. Jak to zwykle bywa, zaczęliśmy śpiewać piosenki. Jedną, drugą... I wtedy zaproponowałam: „Zaśpiewajmy »Ой у лузі червона калина«” [„Tam na łące czerwona kalina”]. Podchwycili tylko ci pracownicy, którzy tak jak ja pochodzili z zachodu.

Ta pieśń ma ponad 100 lat i była hymnem ukraińskich żołnierzy podczas walk o wyzwolenie spod panowania rosyjskiego. W drugiej zwrotce śpiewano tak: „Марширують наші добровольці у кривавий тан, Визволяти братів-українців з московських кайдан”. *Maszerują nasi ochotnicy w krwawym tańcu, Aby wyzwolić naszych ukraińskich braci z uścisku Moskwy.*

Dziś słowa i melodia „Czerwonej Kaliny” znane są na całym świecie; w nowej aranżacji utwór wykonało m.in. Pink Floyd. Dzięki księdzu Wojtkowi Drozdowiczowi pieśń zagrano podczas mszy w Polsce. W lutym 2022 r. w końcu poznali tę pieśń ponadstuletnią również Ukraińcy ze wschodu. Tacy jak Liza.



Inwazja Rosji na pełną skalę, to, co zrobili z Buczą, Mariupolem, Chersoniem, Charkowem, Bachmutem i innymi miejscami, które stały się krwawymi pinezkami na mapie Ukrainy – wszystko to obudziło zainteresowanie Ukraińców własną historią. Po raz pierwszy od ponad 30 lat niepodległości Ukrainy jej obywatele chcieli dowiedzieć się tak na serio, nie w deklaracjach dla ankietorów, kim są. Telewizyjne filmy dokumentalne cieszą się wysoką oglądalnością. Wykłady na YouTubie mają setki tysięcy wyświetleń. Książki stają się bestsellerami. Nawet na biurko prezydenta Zelenskiego dziennikarze „The Economist” zauważyli „Zarys historii narodu ukraińskiego” Mychajła Hruszewskiego.

„Wiesz, Lesia – mówi znajoma z Buczy – teraz, kiedy schodzę do schronu podczas kolejnego ataku, zawsze oglądam filmiki historyczne. Tam, skąd pochodzę, uczono nas zupełnie innej historii Ukrainy”. Karina ma firmę zajmującą się nieruchomościami, choć pochodzi z obwodu ługańskiego, zajętego przez Rosjan w 2014 roku. Poznałam Karinę w tym samym roku, kiedy przyjechałam kupić w Buczy dom. Zaprzyjaźniłyśmy się. Jednak nigdy nie pomyślałabym, że pewnego dnia będziemy siedzieć w mojej zrujnowanej inwestycji, śmiać się i płakać, rozmawiając o historii. „Przedefiniowałam siebie – przyznaje Karina. – Wcześniej nie czułam żadnego szczególnego związku z krajem. Cóż, urodziłam się akurat tutaj i co z tego? Myślałam, że znudzi mi się życie w Ukrainie i przeprowadzę się do Włoch lub gdzie indziej. Ale po 24 latach wszystko się zmieniło!”. Teraz największym strachem Kariny jest wyjazd z Ukrainy bez powrotu. Stało się tak po tym, kiedy ona i jej przyjaciele wraz z dziećmi uciekli z piekła, w jakie rosyjskie wojsko

w marcu zeszłego roku zamieniło Buczę.

Trafili do Polski. Schronienia udzielili im Robert i Iwona Paczkowscy. „Na początku inwazji Robert, oglądając polską telewizję, natknął się na moją wypowiedź o sytuacji w Ukrainie, wyszukał mnie na Facebooku i zaoferował pomoc w znalezieniu zakwaterowania, gdybym potrzebowała!”. Po kilku miesiącach w Polsce Karina nazywa Roberta i Iwonę swoją polską rodziną. Z własnymi krewnymi, którzy pozostali w okupowanej części obwodu ługańskiego, przestała utrzymywać kontakt. „Babcia, chociaż jest nauczycielką, wydawałoby się inteligentną osobą, nie rozumie mnie. I nie dlatego, że zdecydowałam się przejść z rosyjskiego na ukraiński, ale dlatego, że wspiera »rosyjski świat«. I nawet moje opowieści o tym, jak ukrywałam się przed ostrzałem w piwnicy, jak Rosjanie zabili moich współpracowników, jak cudem uciekłam spod okupacji, nie przekonały

bardziej prestiżowe miejsce wypoczynku już od czasów radzieckich. Każdego dnia był zapewniony jakiś program kulturalny: wycieczki do zabytków Krymu, warsztaty rysunkowe, zawody sportowe lub konkursy twórcze. Na jednym z nich reprezentowałam swoją grupę z humorystyczną historią o wujku, który przyjechał do stolicy Ukrainy, poszedł do sklepu kupić kubek, ale nie mógł, bo zirytowana sprzedawczyni oznajmiła mu po rosyjsku, że nie rozumie ani słowa. Publiczność się śmiała. Zdobyłam nawet nagrodę. Następnego dnia odezwał się do mnie wychowawca innej grupy – wysoki blondyn o niebieskich oczach, w którym kochały się wszystkie dziewczyny na obozie, niezależnie od wieku. „Jakie szczęście – pomyślałam – że zwrócił na mnie uwagę!”. Ale radość była przedwczesna.

„A ty co, jesteś od banderowców?” – zapytał po rosyjsku. Nie rozumiałam, o czym mówi. Zapytał mnie więc, skąd jestem.

Gdy polski premier mówi, że Putin jest spadkobiercą UPA, jesteśmy zaskoczeni. Jak ktoś, kto chce powrotu ZSRR, może być spadkobiercą tych, którzy nienawidzili ZSRR i bez żadnej nadziei walczyli o niepodległość 10 lat po zakończeniu II wojny?

babci, że ten świat jest zły. Mówi, że jestem zdrażczynią, bo zostałam banderowcem” – śmieje się Karina.

Kiedyś Karina poczułaby się tym urażona, teraz traktuje to jako komplement. Czy to oznacza, że moja kosmopolityczna przyjaciółka z Buczy stała się skrajną prawaczką, zwolenniczką ideologii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, ukraińską odpowiedniczką fanów polskich „żołnierzy wyklętych”?



Wcale nie.

W ZSRR nie było oficjalnych wzmianek o Banderze czy UPA w podręcznikach historii. Jednak nieoficjalnie prawie wszyscy z zachodniej Ukrainy, która po wojnie została przyłączona do Związku Radzieckiego, byli nazywani banderowcami. Jeśli ktoś był podejrzewany o niechęć wobec czegośkolwiek, co radzieckie i rosyjskie, a jednocześnie mówił po ukraińsku, od razu dostawał etykietkę „banderowiec”.

Miałam zaledwie 11 lat, kiedy po raz pierwszy usłyszałam coś takiego na swój temat. W 1992 roku, pierwszym niepodległości Ukrainy, rodzice cudem zdobyli dla mnie bilet na obóz dziecięcy Artek. Położony między górami krymskimi a Morzem Czarnym Artek był uważany za naj-

„Z obwodu lwowskiego”. „Zgadza się! Z zachodniej Ukrainy! Jeśli mówisz po ukraińsku, musisz być od banderowców!”.

Ta sowiecka tradycja trwała jeszcze do niedawna. Ukraińcy z zachodu kraju byli nazywani banderowcami przez Ukraińców ze wschodu. Nie chodziło o żadną ideologię, nie trzeba było trzymać w domu portretu Banderzy czy być potomkiem żołnierza UPA, wystarczyło mieć proukraińskie, a nie prorosyjskie stanowisko. Dla Polaków brzmi to pewnie dziwnie, bo jakie inne stanowisko może mieć Polak jak nie propolskie. Jak Polak może mówić, że polski to nie język i że Polska nie istnieje? Ale Ukraina „jest złożonym krajem”.

Jednak z każdym rokiem, miesiącem i dniem wojny stary sowiecki frazes wciąż żyje – ale w postmodernistycznym, ironicznym sposób. Zasięg banderowców w Ukrainie się rozrasta: są rosyjskojęzyczni banderowcy, są żydowscy banderowcy, są banderowcy w Charkowie, który znajduje się 30 km od rosyjskiej granicy, i są banderowcy w obwodzie chersońskim. Były prezydent Rosji, dziś figurant, lecz istotny medialnie, Miedwiediew nazwał Ukrainę krajem banderowskim, przywódca Czeczenii Kadyrow obiecał nagrodę w wysokości

250 mln rubli za głowę Stepana Bandery, a rosyjskie wojsko, torturując Ukraińców w obwodzie chersońskim, na poważnie żądało od zatrzymanych przyznania się, gdzie ukrywają Banderę i banderowców.



Dlatego gdy polski premier mówi, że Putin jest spadkobiercą UPA, Ukraińcy są zaskoczeni, bo, kurczę, jak ktoś, kto chce powrotu ZSRR, kto chce okupować Ukrainę za wszelką cenę, może być spadkobiercą tych, którzy nienawidzili ZSRR i bez żadnej realnej nadziei walczyli o niepodległość 10 lat po zakończeniu II wojny?

Podobnie Ukraińcy dziwią się, gdy Polacy oburzają się, że na grobach dzisiejszych żołnierzy obok flag niebiesko-żółtych umieszcza się flagi czerwono-czarne. Przecież to z tymi flagami banderowcy szli mordować Polaków na Wołyniu! Jednak w świadomości Ukraińców czerwono-czarne fla-



„Dlaczego po raz pierwszy słyszę tę historię od taty? Dlaczego wcześniej o tym nie rozmawialiśmy?” – zadają sobie te pytania. Nie wiem. Jakoś nie było powodu. Sama dowiedziałam się więcej o zbrodni wołyńskiej, kiedy byłam na studiach i pracowałam na pół etatu w telewizji we Lwowie. Starsi koledzy wybierali się w podróż służbową na Wołyn w rocznicę tragedii. Ale nigdy nie pomyślałam, że te wydarzenia mogły mieć coś wspólnego z moją rodziną.

Wyobraźmy sobie teraz, co moja przyjaciółka Karina z Buczy może wiedzieć o zbrodni wołyńskiej? Między jej rodzinnym obwodem ługańskim a Wołyniem jest ponad tysiąc kilometrów. Ona dopiero teraz odkrywa swoją małą ojczyznę. „Lesia, kiedy zobaczyłam w wiadomościach materiał o górnikach z Donbasu przejeżdżających do Kijowa na protesty na przełomie lat 80. i 90., załamałam się łzami – mówi Karina i łzy znów napływają jej do oczu. – Donbas zawsze był uważany za region, który został wrzucony do Związku Radzieckiego. Okazuje się, że nasi górnicy opowiadali się za wyjściem Ukrainy ze Związku Radzieckiego!”.

Ukraina jest niepodległym krajem od zaledwie 32 lat. W tym czasie przeżyła trzy rewolucje. Od prawie 10 lat ponownie walczy o niepodległość. Żyjąc dosłownie w podręczniku historii, Ukraińcy jednocześnie próbują odzyskać własną historię, która od dawna była przepisywana i przemilczana. Rosja codziennie dokłada nowe traumy. Najważniejszą rzeczą dla nas jest to, jak nie zwariować, przetrwać i wygrać. A kiedy się nam uda, będziemy mieli czas, aby poprosić o przebaczenie. ●

*Lesya Vakulyuk

• dziennikarka telewizyjnej Espresso, felietonistka „Wysokich Obcasów”. Współpraca Andriy Saichuk – dziennikarz Espresso.tv i portalu Twoje Miasto/Lviv Now

N A S Z A E U R O P A

Czas wielkiej zmiany

CHINY SĄ GOTOWE
NA ŚWIATOWY CHAOS

**Jeśli świat naprawdę wkra-
cza w fazę nieładu, Chiny
zajął lepszą pozycję starto-
wą w wyścigu o przewagę**

Mark Leonard*

Odby w marcu prezydent Chin Xi Jinping kończył wizytę w Moskwie, Władimir Putin zęgnął go u drzwi Kremla jak przyjaciela. Gość powiedział wtedy swemu rosyjskiemu partnerowi: „Jesteśmy świadkami zmian, których nie widzieliśmy od stuleci, i to my jesteśmy ich motorem”. Putin uśmiechnął się i odparł: „Otóż to”. Atmosfera była swobodna, ale Xi nie improwizował. „Zmiany niewidziane od stulecia” to jeden z jego ulubionych sloganów, ukuty przezeń w grudniu 2017. Brzmi ogólnikowo, ale dobrze ujmuje to, jak Chiny widzą dzisiaj wyłaniający się globalny porządek – a raczej nieporządek.

Patrzący na rosnącą siłę Chin zachodni decydenci i analitycy próbują zrozumieć, jakiego chcą one świata, jaki globalny porządek pragnie zaprowadzić Pekin. Nie ma jednak wątpliwości, że chińscy stratedzy, zamiast przebudować kompleksowo istniejący ład światowy lub zastąpić go innym, postanowili doraźnie jak najlepiej wykorzystać świat, jaki jest – lub jaki wkrótce nadejdzie.

Większość zachodnich przywódców próbuje ocalić międzynarodowy ład ufundowany na starych zasadach – może jedynie aktualizując kluczowe jego elementy i włączając nowe podmioty. Natomiast chińscy stratedzy coraz częściej definiują swój cel jako przetrwanie w świecie bez ładu. Chińskie kierownictwo, od Xi poczynając, sądzi, że globalna architektura stworzona po II wojnie światowej straciła sens, że próby jej utrzymania są daremne. Zamiast ratować system, Pekin szykuje się na jego rychły upadek.

Chiny i USA są zgodne, że pozimnowojenny porządek dobiegł końca – ale inaczej widzą przyszłość. W Waszyngtonie uważa się, że powrót koncertu wielkich mocarstw wymaga redefinicji sojuszy i instytucjonalnego porządku, który pozwolił po II wojnie światowej Stanom Zjednoczonym prowadzić i w końcu wygrać zimną wojnę ze Związkiem Radzieckim. W wersji amerykańskiej zaktualizowany globalny porządek objąłby większość świata, spychając Chiny i ich głównych partnerów – m.in. Iran, Koreę Północną i Rosję – na peryferie.

Pekin z kolei wychodzi z założenia, że wysiłki Waszyngtonu okażą się daremne. Zdaniem chińskich strategów kraje poszukujące nowej suwerenności i tożsamości nie mieszczą się w dawnym zimnowojennym schemacie – dlatego zastąpi go rozdrobniony, wielobiegunowy świat, w którym Chiny wreszcie zajmą należne im miejsce jako wielkie mocarstwo.

Perspektywa Pekinu może okazać się trafniejsza niż amerykańska, bowiem może lepiej pasować do aspiracji najludniejszych krajów świata. Strategia USA nie zadziała, jeśli sprowadzi się do daremnego

dążenia do aktualizacji upadającego porządku napędzanego nostalgią za symetrią i stabilnością minionej epoki.

Chiny intensywnie szykują się na świat, w którym rządzą: nieład, asymetria i fragmentacja – świat, w którym poniekąd już żyjemy.

Darwinizm w geopolityce

Skrajnie odmienne reakcje Chin i USA na inwazję Rosji na Ukrainę jaskrawo uwypukliły rozbieżności w myśleniu Pekinu i Waszyngtonu. W Waszyngtonie dominuje pogląd, że Rosja rzuciła wyzwanie ładu zbudowanemu na określonych zasadach, które należy tym bardziej wzmocnić. W Pekinie dominuje pogląd, że świat wszedł w fazę bezładu, w którym kraje będą musiały dosłownie walczyć o przetrwanie.

Podobnie myśli wiele krajów, zwłaszcza na globalnym Południu, które niezbyt wierzy w zachodni świat zasad. Chodzi nie tylko o to, że wiele z nich nie miało nic do powiedzenia przy tworzeniu tych zasad i dlatego nie uznaje ich prawomocności. Problem jest głębszy – ich zdaniem Zachód stosował swoje zasady wybiórczo i często je zmieniał, dopasowując je do swoich interesów lub – jak USA podczas inwazji na Irak w 2003 r. – zwyczajnie je ignorując. Z innej niż zachodnia perspektywy mowa o porządku opartym na zasadach jest od dawna listkiem figowym zachodniej dominacji. Wedle krytyków zachodniego myślenia to naturalne, że kiedy upada potęga Zachodu, trzeba ów porządek zrekonstruować, wzmacniając pozycję innych krajów.

Stąd słowa Xi o „zmianach niewidzianych od stulecia”. To jedna z „Myśli przewodnich Xi Jinpinga”, dziś oficjalnej ideologii Chin. Xi widzi w tych zmianach nieodwracalny trend ku wielobiegunowości, w którym Wschód rośnie, a Zachód marnieje – co przyspieszają zmiany technologiczne i demograficzne. Najważniejszą konstatacją Xi jest to, że świat coraz bardziej definiuje nieład, co jego zdaniem nawiązuje do XIX wieku, innej epoki globalnej destabilizacji i zagrożenia dla chińskiej państwowości.

W dziesięcioleciach po pokonaniu Chin przez zachodnie mocarstwa w pierwszej wojnie opiumowej w 1839 r. chińscy myśliciele, m.in. dyplomata Li Hongzhang – zwany niekiedy „chińskim Bismarckiem” – pisali o „wielkich zmianach niewidzianych od ponad trzech tysiącleci”. Myśliciele ci odnotowywali z troską przewagę technologiczną i geopolityczną Zachodu – dla Chin oznaczało to początek „stulecia upokorzeń”. Natomiast dziś – według Xi – role się odwróciły. Dzisiaj to Zachód jest po przegrywającej stronie, a Chiny mają szansę wyjść z tego jako silniejsze, stabilne mocarstwo.

We współczesnych Chinach odzywają też inne dziewiętnastowieczne idee, m.in. darwinizm społeczny, który zaaplikował koncepcję przetrwania najlepiej przystosowanych gatunków do myślenia o ludzkich społeczeństwach i geopolityce.

W 2021 r. Centrum Badań Holistycznego Monitoringu Bezpieczeństwa Narodowego, powiązane z chińskim MSW, opublikowało opracowanie pt. „National Security in the Rise and Fall of Great Powers”, pod redakcją ekonomisty Yunchenga Zhanga. W książce – wydanej w ramach serii wyja-

śniającej nowe zasady bezpieczeństwa narodowego – czytamy, że państwo jest jak organizm biologiczny, który musi ewoluować lub umrzeć – a wyzwaniem dla Chin jest przetrwanie. Takie myślenie przyjęło się w Chinach. Jeden z chińskich naukowców powiedział mi, że dzisiejsza geopolityka to „walka o przetrwanie” między słabymi, zapatrzonymi w siebie supermocarstwami – coś zupełnie innego od konfrontacji ekspansywnych, twórczych supermocarstw zimnowojennych. Xi przyjął te ramy, a oświadczenia chińskiego rządu są pełne odniesień do „walki”, idei, którą można znaleźć w retoryce komunistycznej, ale także w pismach darwinistów społecznych.

Przetrwanie w groźnym świecie wymaga czegoś, co Xi nazywa „holistycznym podejściem do bezpieczeństwa narodowego”. W przeciwieństwie do tradycyjnej idei „bezpieczeństwa militarnego”, które ogranicza się do przeciwdziałania zagrożeniom z ładu, morza, powietrza i przestrzeni kosmicznej, podejście holistyczne ma przeciwdziałać wszystkim wyzwaniom, także technologicznym, kulturowym i biologicznym.

Xi wierzy, że w epoce sankcji, ekonomicznej wojny i cyberzagrożeń wszystko może się stać bronią. Dlatego bezpieczeństwa nie zagwarantują żadne sojusze ani multilateralne układy, a wszystkie kraje muszą robić, co w ich mocy, żeby chronić swoich obywateli. I właśnie dlatego w 2021 r. chiński rząd powołał centrum badawcze, którego zadaniem ma być holistyczne rozwiązanie wszystkich aspektów chińskiej strategii. W erze Xi Komunistyczna Partia Chin jest coraz częściej postrzegana jako jedyna tarcza przed nadciągającym chaosem.

Totalna konkurencja

Chińscy przywódcy widzą w USA główne zagrożenie dla ich przetrwania i mają hipotezę wyjaśniającą działania przeciwnika. Brzmi ona: Waszyngton reaguje na swoje wewnętrzne podziały i utratę globalnej pozycji, zaostrzając rywalizację z Chinami. Zdaniem Pekinu przywódcy USA uznali, że to jedynie kwestia czasu, gdy Chiny ich prześcigną, dlatego Waszyngton próbuje przeciwstawić je całemu demokratycznemu światu. Chińscy analitycy mówią więc o przejęciu USA do „totalnej konkurencji”, obejmującej politykę, ekonomię, bezpieczeństwo, ideologię i globalne wpływy.

Chińczycy uznali, że USA wykorzystują wojnę w Ukrainie do utrwalenia podziału na demokrację i autokrację. Waszyngton zmobilizował partnerów z G7 i NATO, zaprosił wschodnioazjatyckich sojuszników na madryckie spotkanie NATO i nawiązał nowe partnerstwa, m.in. AUKUS, trójstronny pakt Australii, Wielkiej Brytanii i USA, a także Quad (Quadrilateral Security Dialogue) łączący Australię, Indie i Japonię z USA. Pekin niepokoi zwłaszcza to, że za zaangażowaniem Waszyngtonu w Ukrainie pójdzie automatycznie zwiększenie go na Tajwanie. Mój uniwersytecki rozmówca z Pekinu boi się, że Waszyngton zrezygnuje z polityki „jednych Chin” – w ramach której Stany zgadzają się uznać Chińską Republikę Ludową za jedyne legalne reprezentanta Chin – na rzecz nowego podejścia, które inny z moich chińskich rozmówców nazwał „jednymi Chinami i jednym Tajwanem”.

Nowe ramy relacji USA z ich partnerami, mniej lub bardziej zorientowanych na powstrzymywanie Pekinu, są w oczach Chin próbą wprowadzenia przez Amerykę partnerów atlantyckich i europejskich do regionu Indo-Pacyfiku. Ma to być kolejny przykład błędnej wiary USA, że świat ponownie podzieli się na jasno określone bloki.

Mając za formalnego sprzymierzeńca jedynie Koreę Północną, Chiny nie wygrałyby w starciu takich sojuszy. Dlatego próbują wykorzystać swoją własną długotrwałą izolację i rosnącą niechęć mocarstw średniej wielkości i gospodarek wschodzących do budowania bloków. Zachód może być dumny z tego, że 141 krajów członkowskich poparło kolejne rezolucje ONZ potępiające wojnę w Ukrainie, jednak chińscy analitycy, m.in. politolog Chu Shulong, uważają, że lepszym wskaźnikiem siły Zachodu jest liczba krajów egzekwujących sankcje wobec Rosji. Według jego rachuby blok zachodni to ledwie 33 kraje, a 167 wcale nie przylączyła się do izolacji Rosji. Wiele tych państw ma złe wspomnienia z czasów zimnej wojny, kiedy ich suwerenność ograniczały konkurujące supermocarstwa. Wyjaśnił mi to jeden z prominentnych chińskich strategów: „Stany Zjednoczone wcale nie upadają, ale z drugiej strony są dziś skuteczne tylko w rozmowach z krajami Zachodu. Zasadnicza różnica między zimną wojną a dziś polega właśnie na tym, że wtedy Zachód był bardzo skuteczny w mobilizowaniu krajów rozwijających się przeciwko ZSRR na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej, Azji Południowo-Wschodniej i Afryce”.

Chcąc wykorzystać słabnięcie wpływów USA poza Zachodem, Chiny demonstrują swoje wsparcie dla globalnego Południa. W odróżnieniu od Waszyngtonu, który ma zmuszać inne kraje do opowiedzenia się, Chińczycy intensywnie pomagają krajom rozwijającym się poprzez inwestycje. Są to międzynarodowe inicjatywy, niektóre już w toku. M.in. Jeden Pas, Jedna Droga oraz Globalna Inicjatywa Rozwoju – miliardowe inwestycje państwowe i prywatne w infrastrukturę i rozwój krajów trzecich. Są kolejne projekty, m.in. Globalna Inicjatywa Bezpieczeństwa, którą Xi uruchomił w zeszłym roku, rzucając wyzwanie amerykańskiej dominacji. Pekin pracuje też nad rozszerzeniem Szanghajskiej Organizacji Współpracy – projektu zrzeszającego głównych graczy Eurazji, m.in. Indie, Pakistan i Rosję, do których wkrótce dołączy Iran.

Bliski Wschód jako „laboratorium postamerykańskiego świata”

Wedle Chin USA mylą się, zakładając, że wybuchła nowa zimna wojna. Dlatego próbują wyjść poza zimnowojenne podziały. Jak ujął to Wang Honggang, analityk think tanku afiliowanego przy ministerstwie bezpieczeństwa narodowego, „świat zmierza od struktury centrum – peryferie globalnej gospodarki i bezpieczeństwa ku policentrycznej konkurencji i współpracy”.

Wang i podobnie myślący analitycy nie przeczą, że Chiny także aspirują do roli centrum, ale skoro ich zdaniem kończy się globalna dominacja Zachodu, Chiny mogą zapewnić po prostu większy ideowy pluralizm, nie zaś nowy „chiński światowy porządek”. Wielu w Chinach łączy to prze-

NASZA EUROPA



FOT. EAST NEWS

Wojny opiumowe
w XIX w. rozpoczęły
„stulecie upokorzenia” Chin.
Dziś Pekin uważa,
że role się odwróciły

nanie z obietnicą przyszłej „pluralistycznej nowoczesności”. Chińska próba zbudowania alternatywnej teorii nowoczesności, w odróżnieniu od liberalnej demokracji i wolnego rynku jako szczytowego osiągnięcia cywilizacji, ma być fundamentem polityki Xi. Chińczycy sygnalizują, że inaczej niż USA i Europa, które wciąż pouczają świat w kwestiach takich jak zmiany klimatu i prawa LGBTQ, Chiny szanują suwerenność i tradycje innych krajów.

Przez wiele dekad światowe zaangażowanie Chin ograniczało się do ekspansji ekonomicznej. Dziś chińska dyplomacja wychodzi daleko poza obszar handlu i rozwoju. Jednym z najbardziej dramatycznych i pouczających przykładów tej przemiany jest kolosalna rola Chin na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Kiedy tylko Waszyngton wycofał się z gry, do akcji wkroczył Pekin. W marcu Chiny dokonały dyplomatycznego coup d'état, pośrednicząc w rozejmie między Iranem a Arabią Saudyjską. Kiedyś chińska obecność w regionie ograniczała się do statusu konsumenta węgłowodorów i partnera gospodarczego, teraz Pekin stał się peacemakerem zaangażowanym w budowanie dyplomatycznych, a nawet wojskowych relacji z kluczowymi graczami. Niektórzy chińscy analitycy uważają Bliski Wschód za „laboratorium postamerykańskiego świata” – a cały świat stanie się w ciągu najbliższych kilku dekad miejscem, w którym o wpływy rywalizować będą Chiny, Indie i Rosja plus mocarstwa średniego kalibru, jak Iran, Arabia Saudyjska i Turcja.

Wielu na Zachodzie wątpi w zdolność Chin do osiągnięcia tego celu, głównie dlatego, że Pekin ma kłopot z pozyskaniem potencjalnych współpracowników. Na Dalekim Wschodzie Korea Południowa szuka zbliżenia z USA i Japonią, w Azji Południowo-Wschodniej Filipiny wyciągają rękę do Waszyngtonu, żeby chronić się przed Pekinem, w Afryce zaś szerzy się niechęć do Chin oskarżanych o kolonialne praktyki. Niektóre kraje, w tym Arabia Saudyjska, chcą wzmocnić więzi z Chinami, przynajmniej po części dlatego, że zamierzają osłabić więź ze USA. Przykłady te nie powinny jednak przesłaniać szerszego trendu: Pekin jest coraz bardziej aktywny i coraz ambitniejszy.

Strukturalne kłopoty partii w Chinach

Nasila się też konkurencja ekonomiczna. Chińscy analitycy przewidywali, że zwycięstwo Joego Bidena poprawi stosunki Waszyngton – Pekin, ale się przeliczyli – ad-

ministracja Bidena okazała się agresywna wobec Chin. Wybitny chiński ekonomista porównał presję Bidena na chiński sektor technologiczny, w tym sankcje nałożone na producentów chipów, do działań Donalda Trumpa przeciwko Iranowi. Pekin uznał, że celem Waszyngtonu nie jest zmuszenie Chin do przestrzegania zasad, tylko powstrzymanie ich rozwoju.

To nieprawda – i USA, i UE dały jasno do zrozumienia, że nie chcą odciąć Chin od globalnej gospodarki. Dbają natomiast o to, by ich firmy nie powierzały wrażliwych technologii Pekinowi, i zmniejszają zależność od chińskiego importu w krytycznych sektorach, m.in. telekomunikacji i surowców. Dlatego też zachodnie rządy coraz częściej mówią o dywersyfikacji łańcuchów dostaw przez wspieranie produkcji w takich krajach jak Bangladesz, Indie, Malesja i Tajlandia.

Odpowiedzią Xi jest coś, co nazwał „dwutorowością”. Połowa gospodarki – napędzana przez krajowy popyt, kapitał i idee – to „tor wewnętrzny”, dzięki któremu Chiny są bardziej samowystarczalne pod względem konsumpcji, technologii i regulacji. Druga połowa – „tor zewnętrzny” – to selektywny kontakt Chin z resztą świata. Uniezależniając się od świata, Pekin chce uzależnić świat od siebie – wykorzystać powiązania do zwiększenia swej władzy i presji. Chińska wizja ma potencjał, może odmienić światową gospodarkę.

Znany chiński ekonomista Yu Yongding wyjaśnił ideę dwutorowości za pomocą dwóch pojęć: koła zapasowego i blokad ciała. Koło zapasowe to dla Chin alternatywa na wypadek odcięcia dostępu do zasobów naturalnych, komponentów i krytycznych technologii. Idea ta pojawiła się w odpowiedzi na coraz częstsze zachodnie sankcje. Chiński rząd inwestuje więc na wielką skalę w kluczowe technologie, m.in. AI i półprzewodniki.

Ale Pekin chce też wykorzystać nową rzeczywistość – zmniejszyć zależność światowej gospodarki od zachodniego popytu i amerykańskiego systemu finansowego. U siebie rządząca KPCh promuje przejście od wzrostu napędzanego eksportem do wzrostu napędzanego popytem wewnętrznym – w świecie zaś promuje juana jako alternatywę dla dolara.

Dlatego Rosjanie zwiększają swoje rezerwy juana i Moskwa nie używa już dolara w handlu z Chinami. Szanghajska Organizacja Współpracy niedawno zgodziła się w handlu używać walut narodowych – byle nie dolara. Zmiany te są na razie ograni-

czone, ale chińscy przywódcy wierzą, że szerokie sankcje wobec Rosji zwiększą chaos w świecie i skłonią inne kraje do odstąpienia od dolara.

„Blok ciała” to metafora zapaśnicza. Oznacza, że Pekin powinien uzależniać zachodnie firmy od Chin. Dlatego pracuje nad związaniem jak największej liczby krajów chińskimi systemami, normami i standardami. W przeszłości Zachód walczył o to, by Chiny zaakceptowały jego zasady. Obecnie Chiny są zdeterminowane, aby zmusić innych do przestrzegania ich norm i zainwestowały znaczne środki we wzmocnienie swojego głosu w międzynarodowych organach ustanawiających standardy. Pekin wykorzystuje również własne globalne inicjatywy rozwojowe, aby eksportować swój model subsydiowanego kapitalizmu państwowego i chińskie standardy do jak największej liczby krajów. Kiedyś celem Chin była integracja z globalnym rynkiem, ale upadek postzimnowojennego porządku i powrót chaosu w stylu XIX wieku zmieniły podejście KPCh.

Dlatego Xi wiele zainwestował w samodzielność. Jednak, jak wskazuje wielu chińskich intelektualistów, zmiany w chińskim nastawieniu do globalizacji wynikały zarówno z krajowych wyzwań gospodarczych, jak i z napięć ze Stanami. W przeszłości duża, młoda i tania siła robocza w Chinach była motorem wzrostu tego kraju. Obecnie populacja szybko się starzeje i potrzebuje nowego modelu gospodarczego, opartego na pobudzaniu konsumpcji. Jednak, jak zauważa ekonomista George Magnus, wymaga to podniesienia płac i reform strukturalnych, które zachwiałyby delikatną społeczną równowagę w Chinach. Np. ponowne pobudzenie wzrostu populacji wymagałoby znacznej modernizacji słabo rozwiniętego systemu zabezpieczenia społecznego kraju, co z kolei musiałoby zostać opłacone niepopularnymi podwyżkami podatków. A promowanie innowacyjności wymagałoby ograniczenia roli państwa w gospodarce, co jest sprzeczne z instynktami Xi. Trudno sobie wyobrazić takie zmiany w obecnych warunkach.

Trzy różnice z erą zimnej wojny

W latach 1945-89 dekolonizacja i podział między Zachodem a blokiem radzieckim definiowały nasz świat. Imperia rozpadały się na dziesiątki państw, często w wyniku małych wojen. Ale chociaż dekolonizacja przekształciła mapę, potężniejszą siłą była zimnowojenna rywalizacja. Odzyskawszy niepodległość, większość krajów szybko sprzymierzyła się z blokiem demokratycz-

nym lub komunistycznym. Nawet te państwa, które nie chciały opowiadać się po żadnej ze stron, określały swoją tożsamość jako kraje „niezaangażowane”.

Amerykanie uważają, że historia się powtarza, skoro próbują ożywić strategię, która odniosła sukces przeciwko ZSRR – i mobilizują swoich sojuszników. Pekin nie zgadza się z tym i prowadzi politykę dostosowaną do swojego założenia, że świat wkracza w erę, w której samostanowienie i elastyczność przeważą nad konfliktem ideologicznym.

Za tym, że ocena Pekinu jest celniejsza, może przemawiać to, że obecna era różni się od zimnej wojny na trzy podstawowe sposoby. Po pierwsze, dzisiejsze ideologie są znacznie słabsze. Po 1945 r. zarówno USA, jak i ZSRR oferowały optymistyczne i przekonujące wizje przyszłości, które przemawiały do elit i robotników na całym świecie. Współczesne Chiny nie mają takiego przesłania, a tradycyjna amerykańska wizja liberalnej demokracji została znacznie osłabiona przez wojnę w Iraku, globalny kryzys finansowy z 2008 r. i prezydenturę Trumpa, które sprawiły, że Stany wydają się mniej skuteczne, mniej hojne i mniej wiarygodne. Co więcej, zamiast oferować skrajnie różne i przeciwstawne ideologie, Chiny i USA coraz bardziej przypominają sobie nawzajem w wielu kwestiach, od polityki przemysłowej i handlowej po technologię i politykę zagraniczną. Bez ideologicznego przesłania zdolnego do tworzenia międzynarodowych koalicji bloki w stylu zimnej wojny nie mogą się uformować.

Po drugie, Pekin i Waszyngton nie cieszą się taką globalną dominacją jak mocarstwa po 1945 r. W 1950 r. USA i ich główni sojusznicy (kraje NATO, Australia i Japonia) oraz świat komunistyczny odpowiadały łącznie za 88 proc. globalnego PKB. Dziś te grupy krajów łącznie odpowiadają za zaledwie 57 proc. globalnego PKB. Wydatki obronne krajów niezaangażowanych były znikome jeszcze w latach 60. (ok. jednego procentu globalnej sumy), obecnie stanowią 15 proc. i szybko rosną.

Po trzecie, dzisiejszy świat jest niezwykle współzależny. Na początku zimnej wojny istniało bardzo niewiele powiązań gospodarczych między Zachodem a krajami za żelazną kurtyną. Dzisiejsza sytuacja nie mogłaby być bardziej odmienna. Handel między USA a ZSRR utrzymywał się na poziomie ok. jednego procentu całkowitej wymiany handlowej obu krajów w latach 70. i 80., natomiast handel z Chinami stanowi obecnie prawie 16 proc. całkowitego bilansu handlowego zarówno Stanów, jak i UE. Ta współzależność uniemożliwia tworzenie stabilnych bloków, które charakteryzowały zimną wojnę. Bardziej prawdopodobny jest stały stan napięcia i zmieniających się lojalności.

Przywódcy Chin dokonali śmiałego strategicznego zakładu, przygotowując się na rozdrobniony świat. KPCh wierzy, że świat zmierza w kierunku porządku postzachodniego nie dlatego, że Zachód upada, ale dlatego, że konsolidacja Zachodu zraziła wiele innych krajów. W tym momencie może się okazać, że deklarowana przez Chiny gotowość do umożliwienia innym krajom prężenia mięśni może uczynić Pekin bardziej atrakcyjnym partnerem niż Waszyngton, który domaga się coraz ściślejzego dostosowania. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

Translated and reprinted by permission of FOREIGN AFFAIRS. Copyright 2023 by the European Council on Foreign Relations, ForeignAffairs.com

Mark Leonard

• jest brytyjskim analitykiem i teoretykiem stosunków międzynarodowych, współzałożycielem i dyrektorem think tanku Europejska Rada Spraw Zagranicznych (ECFR)

Adam Michnik poleca

ICH DZIECI DORASTAJĄ SZYBCIEJ

**W Afryce pustynia,
na Antarktydzie lód,
a na Białorusi więźnio-
wie polityczni**

Irina Chalip*

Wydałoby się, że byłemu więźniowi politycznemu łatwiej niż innym pisać o tych dzisiejszych: zna temat od wewnątrz, wie, jak żyją ludzie uwięzieni z powodu obywatelskiej postawy.

Tymczasem właśnie dlatego, że wiesz, co się dzieje za kamiennymi murami pokrytymi pleśnią, w celach, gdzie zimą panuje nieznosny chłód, a latem można paść od upału, pisanie o więźniach politycznych jest o wiele trudniejsze. Każde słowo zamienia się we wspomnienie własnego bólu i rezonuje z bólem więźniów.

Ale pisać o nich trzeba, bo obok wszystkich światowych katastrof, wojen, śmierci białoruscy więźniowie polityczni stopniowo stają się jakby częścią krajobrazu: w Afryce pustynia, na Antarktydzie lód, a na Białorusi polityczni.

Tysiące niesłusznie skazanych, ale wciąż żywych; nie strzelają do nich, nie wysadzają ich w powietrze w ich domach, więc wydaje się, że to nic tragicznego. Zrujnowane życie, skradzione lata, rodziny w rozpacz – czy to z tego składa się historia świata?

Nie. Im bardziej ich cierpienie staje się częścią krajobrazu, tym głośniejsze trzeba o nich krzyczeć. To wszystko, co my, byli więźniowie, możemy zrobić dla tych, którzy nas zastąpili w więzieniach.

Piszę tutaj tylko o kilku więźniach politycznych – tych, których znam osobiście. Ale na Białorusi są ich tysiące.

Być może Andrzej Poczobut jest jedynym białoruskim więźniem politycznym dobrze znanym czytelnikom „Wyborczej”. Znają jego artykuły o Białorusi. Od ponad dwóch lat Andrzej pisze tylko listy z więzienia. A my, jego koledzy, piszemy o nim.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ulice otrzymają jego imię, ale jednostkę miary sankcji wobec białoruskiego reżimu – „jeden poczobut” – można wprowadzić już dziś.

Sąd w Grodnie skazał go na osiem lat więzienia za „nawoływanie do sankcji” i „podżeganie do nienawiści” – następnego dnia Polska zamknęła przejście graniczne w Bobrownikach. Szef MSW Mariusz Kamiński powiedział wtedy, że kiedy tylko dziennikarz znajdzie się na wolności, przejście zostanie otwarte. Sąd apelacyjny utrzymał wyrok – tego samego dnia MSW zakazało wjazdu do Polski ciężarówkom zarejestrowanym na Białorusi i w Rosji. Jasny komunikat: dopóki go nie wypuścicie, będą sankcje.

Łukaszenka próbuje zrobić z Poczobuta towar. W marcu, przemawiając do po-

słów, teatralnie się oburzył: „Jak można wymieniać człowieka na przejście graniczne?!”. I zaproponował wymianę Poczobuta na tych działaczy, którym udało się uciec z Białorusi i którym Polska zapewniła ochronę.

Ale Poczobut nie zgadza się ani na handel, ani na wymianę. Łukaszenkowski propagandysta Jurij Woskriesiński (w 2020 r. sam siedział w areszcie przez kilka miesięcy, potem został zwolniony i zbliżył się do Łukaszenki) wiosną opowiadał w państwowej telewizji, jak na polecenie Łukaszenki poprosił Komitet Śledczy o zorganizowanie

bronione dla osób z „listy terrorystów”. Oto kolejny rodzaj kary dodany do ośmioletniego wyroku. Albo inny rodzaj zemsty – tak mszczą się na wybitnych ludziach ci, którzy przy nich czują się żałośnie.

Na Białorusi brześciankę Palinę Szarendę-Panasiuk nazywają Joanną d’Arc. Jest politologiem, ukończyła Uniwersytet w Brześciu oraz studia magisterskie w Polsce. Zarabiała, ucząc polskiego.

Aktywność polityczną i związane z nią ryzyko wybrała już w młodym wieku:



FOT. RAFAŁ MALKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Łukaszenka próbuje
zrobić z Poczobuta towar.
Zaproponował,
by go wymienić na działaczy,
którzy znaleźli
schronienie w Polsce**

mu spotkania z aresztowanym dziennikarzem. I pozwolono mu.

– Dla normalizacji stosunków białorusko-polskich trzeba było usunąć tę przeszkodę – mówił Woskriesiński 3 kwietnia. Przeszkoda to Poczobut. Według Woskriesińskiego celem tego spotkania było przekonanie Andrzeja do wyrażenia zgody na zwolnienie pod warunkiem wyjazdu do Polski. „Ale rzucił się na mnie i zachowywał się jak socjopata”.

Pan Woskriesiński się myli. Poczobut zachował się jak bohater. Uważał, że nawet rozmowa na temat „wymiany” jest poniżej jego godności. Nie chciał być towarem. Nie zdradził ani Białorusi, ani Polski. Nawet w tych koszmarnych warunkach pozostał sobą – znakomitym dziennikarzem, pryncypialnym człowiekiem, odważnym mężczyzną, bojownikiem przeciwko niesprawiedliwości. We współczesnej Białorusi to przestępstwo.

W październiku zeszłego roku KGB Białorusi wpisało Andrzeja na „listę osób zaangażowanych w działalność terrorystyczną”. A to oznacza zakaz jakichkolwiek transakcji finansowych. Będąc na wolności, nie można otworzyć konta w banku, sprzedać albo kupić mieszkania lub samochodu, opłacić rachunków. A gdy Andrzej jest w więzieniu, nawet bliscy krewni nie mogą mu wysłać przekazów pieniężnych, by mógł sobie coś kupić lub prenumerować dziennik. Gotówka jest tu zabroniona, a wszelkie płatności bezgotówkowe są za-

ukończenie przez nią studiów zbiegło się z podpisaniem „Umowy o utworzeniu Państwa Związkowego” Rosji i Białorusi. Kierowała brzeskim oddziałem młodzieżowej organizacji opozycyjnej Młody Front, potem została koordynatorką kampanii obywatelskiej Europejska Białoruś w obwodzie brzeskim.

Razem z mężem Andrejem Szarendą byli jedną z najbardziej aktywnych rodzin tego miasta, organizowali protesty. Byli często zatrzymywani i karani 15 dniami aresztu administracyjnego. W sierpniu 2020 r. uczestniczyła we wszystkich protestach. Przyszli po nią 3 stycznia 2021 r.

Uzbrojeni ludzie w kominiarkach, w czarnych, nieoznakowanych mundurach wylamali drzwi i wtargnęli do mieszkania, w którym Palina przebywała z najmłodszym synem, czteroletnim Stachem. Mogli to być bandyci, rabusie, siły specjalne, mordercy.

Stach przestraszył się i rozplakał. A Palina zrobiła to, co na jej miejscu zrobiłaby każda matka – zerwała kominiarkę z pierwszego pod ręką. Została zabrana do więzienia.

Palinę chcieli aresztować za „znieważenie prezydenta” i „znieważenie przedstawiciela władzy”, a za kominiarkę oskarżyli ją także o przemoc wobec funkcjonariusza policji. Wyrok więzienia był stosunkowo niski – dwa lata. Ale nie był ostatni. Stało się to jasne podczas procesu. Oto dialog Paliny i sędziego:

– Oskarżona, proszę wstać!
– Nie wstaję przed bandytami.
– Od którego dnia oskarżona jest w areszcie?
– Wzięta do niewoli 3 stycznia.
– Czy oskarżona chce złożyć wniosek do składu orzekającego?
– Nie jesteście sądem.
– Oskarżona oświadcza, że chce odwołać sędziego?
– Oświadczam, że chcę odwołać cały system.
– Przyznaje się oskarżona do winy?
– Czy przyznajecie się do udziału w represjach politycznych?



**Mąż Paliny
jest przekonany,
że dopóki Łukaszenka
będzie u władzy,
ona nie wyjdzie na wolność.
Sama Palina to rozumie**

– Sądowi nie zadaje się pytań. Oskarżona nie przyznaje się do winy?
– Walka z bandytą to honor i obowiązek obywatela.
– Czy oskarżona ma jakieś pytania?
– Nie wstydzicie się?
– Pytanie zostaje uchylone.
– Czy macie sumienie?

– Pytanie zostaje uchylone.
Więzione w kobiecej kolonii karnej nr 4 w Homlu, do której przywieziono Palinę, szyją mundury dla policji. Palina odmówiła. I znowu był sąd – o nieposłuszeństwo wobec żądań administracji kolonii. Dodano jej kolejny rok i przeniesiono do innej kolonii karnej. Jednak czy szyją tam mundury i dla kogo, Palina nie mogła się dowiedzieć – od razu trafiła do karceru.

To zimna, wilgotna mała komora, w której wszystko jest zabronione: listy, gazety, książki, spacery. Od 5 rano do 10 wieczorem więzień może tylko stać lub siedzieć na wąskim żelaznym stolku.

W takiej celi Palina spędziła ponad 200 dni. A pod koniec maja, kiedy została poinformowana o kolejnej rozprawie – znowu o niepodporządkowanie się administracji kolonii – rzekła się białoruskiego obywatelstwa: bo na Białorusi panuje reżim okupacyjny, który niszczy niepodległość kraju, bierze udział w wojnie w Ukrainie i morduje więźniów politycznych w więzieniach: z tym reżimem ona nie chce mieć nic wspólnego.

Została zabrana do szpitala psychiatrycznego, rzekomo na badania. Co tam mogą z nią zrobić, można sobie wyobrazić na podstawie wspomnień dysydentów sowieckich, wobec których stosowano metody karnej psychiatrii. Paliny nie złały tortury, groźby, karcer, więc pewnie spróbują leków psychotropowych.

Mąż Paliny jest przekonany, że dopóki Łukaszenka będzie u władzy, ona nie wyjdzie na wolność. Sama Palina to rozumie.

Od kąd Białoruś znalazła się pod rządami Łukaszenki, żaden protest w Mińsku nie odbył się bez udziału Aleny Łazarczyk. Matka trojga dzieci, wykonująca nudną pracę w służbach komunalnych miasta, odznacza się podwyższonym poczuciem sprawiedliwości. Dlatego kiedy tylko w 1995 r. Łukaszenka przeprowadził swoje pierwsze referendum i przywrócił sowiecką symbolikę w miejsce narodowej, przylączyła się do słabego wówczas jeszcze oporu. Zatrzymania, sprawy sądowe, kary – zwykle życie białoruskiego opozycjonisty od dekad.

Można uznać, że w 2020 r. to od Aleny rozpoczęły się w Mińsku marsze kobiet. 17 września została zatrzymana, gdy wychodziła z biura Centrum Obrony Praw Człowieka „Wiasna” (tego, którego szef Aleś Bielacki, już jako więzień, otrzymał w 2022 r. Pokojową Nagrodę Nobla). Tego dnia nie została jeszcze wysłana do więzienia na osiem lat – to stało się rok później. Tego dnia po prostu trzymali ją do 11 wieczorem w komendzie policji i wypuścili. Ale w tym czasie jej syn Arciom, pierwszoklasista, został wysłany do domu dziecka, bo matka nie przyszła po niego do szkoły. Jej najstarsza córka była już pełnoletnia i mogła zabrać brata ze szkoły, ale nikt do niej nie zadzwonił.

Wiadomość, że Arciom trafił do domu dziecka, rozeszła się następnego dnia w mediach społecznościowych. Setki mieszkańców Mińska zebrały się w pobliżu domu dziecka; była sobota. Przyszli z prezentami dla Arcioma, powiesili na ogrodzeniu plakaty „Zostaw dzieci w spokoju!”. A kiedy dotarła tam Alena, pospiesznie wydano jej dziecko, aby tylko ludzie się rozeszli.

Kobiety, które się tam zgromadziły, zainspirowane tym małym zwycięstwem, poszły spontanicznie do centrum miasta. Odtąd, aż do czasu masowych represji, sobotnie marsze kobiet stały się w Mińsku tradycją.

30 grudnia 2021 r. przyszli po Alenę. Obiecała Arciomowi, że wkrótce wróci. Na początku nie chciał wchodzić do jej pokoju: „Nie chcę tam być, byliśmy tam z mamą!”. Potem się z tym pogodził i teraz pisze do niej listy do więzienia. Dzieci więźniów politycznych dorastają tak szybko jak dzieci na wojnie.

Arciomem opiekowała się jego starsza siostra Marina. Alena została oskarżona na podstawie czterech artykułów kodeksu karnego – od „obrazy prezydenta” po „tworzenie formacji ekstremistycznej” – i skazana na osiem lat. Podczas śledztwa siedziała nie w więzieniu w Mińsku, tylko w Mohylewie, aby córce trudniej było wozić jej paczki.

Od stycznia Alena przebywa w kolonii karnej dla kobiet w Homlu. Odkąd ją tam przywieziono, prawnik nie mógł się z nią spotkać – nie dopuszczano go pod byle pretekstami. Córka podejrzewa, że Alena jest przetrzymywana w karcerze – jeśli nie dopuszczają prawnika, jeśli więziona pozbawiona jest paczek i spotkań, jeśli listy nie przychodzą od miesięcy, musi to oznaczać, że jest właśnie w karcerze, gdzie próbują ją złamać.

Tuż przed wyrokiem Alena zdołała przekazać swój dziennik więzienny. Oto co napisała, siedząc w Mohylewie:

„Tutaj jest szczególnie świat. Mimo to ludzie żyją i znajdują powody do radości. Np. że ktoś wychodzi na wolność. Albo otrzymał list. Albo idzie na spotkanie i wreszcie zobaczy swoich bliskich. Świętujemy urodziny, dajemy prezenty, robimy ciasto. Pomagamy sobie nawzajem i dzielimy się wszystkim. Opowiadamy śmieszne historie i śpiewamy piosenki.

– Jesteś tutaj, by cierpieć! – mówią nam. I robią wszystko, żeby tak było. Ale śmiejemy się im w twarz. I cieszymy się słońcem i niebem na spacerze, pieskiem, kotkiem na patio. Lub po prostu trawą i mniszkiem lekarskim. Każdym drobiazgiem, na który wcześniej byśmy nie zwróciły uwagi.

Oczywiście czasami jest smutno. Chcę po prostu iść ulicą. Przespacerować się. Zobaczyć ludzi. Bez konwoju. Bez krzyków: »Stać! Twarz do ściany! Ręce za plecy!«. Po prostu być wolna.

Jak mało i jak dużo. Znowu paradoks. Ale prostujemy plecy, podnosimy głowę wyżej i z dumą idziemy. Nie zobaczą naszych łez. Nigdy nie okazuj swojej słabości wrogom. W naszych oczach nie zobaczą strachu. Tylko nienawiść i pogardę.

Mówią, że jest czas miłości i czas nienawiści. Teraz jest czas nienawiści. Mamy jednak nadzieję, że nadejdzie jeszcze czas miłości. Czekamy i wierzymy. Tylko ta wiara daje nam siłę do walki”.

Andrzej, Palina, Alena pewnego dnia wrócą do domu. Czy już wkrótce – to zależy od nas, Białorusinów, i oczywiście od surowości zachodnich sankcji. Ale Mikołaj Klimowicz nigdy nie wróci. Mimo że był skazany za ledwie na rok więzienia. To wystarczyło, by go zabić.

Mikołaj miał 61 lat. Mieszkaniec i patriota Pińska, bardzo kochał swoje miasto, Białoruś i wolność. Pisał bloga o Pińsku i zawsze brał udział w protestach.

Ze względu na aktywną postawę obywatelską nie mógł znaleźć pracy – na Białorusi zawsze był z tym problem, zwłaszcza w mniejszych miastach, gdzie wszyscy aktywiści byli znani władzom. W 2020 r. został ukarany wielkimi grzywnami za udział w protestach. Wyprowadzał na spacer cudze psy, aby przynajmniej trochę zrobić.

W 2022 r. doznał udaru mózgu. Następnie przeszedł operację serca; otrzymał kategorię: niepełnosprawność drugiej grupy. Musiał być stale pod nadzorem lekarza i przyjmować dużo silnych leków.

Został aresztowany w grudniu zeszłego roku, bo przekazał dalej znalezionej w sieci karykaturę Łukaszenki. Trzy dni później jego stan zdrowia się pogorszył, do więzienia wezwano „karetkę”, a Mikołaja zabrano do szpitala. Śledczy wyznaczyli mu środek zapobiegawczy: osoba niepełnosprawna do czasu procesu ma pozostać w domu, pod nadzorem lekarzy. Jego niepełnosprawność, zły stan zdrowia – wszystko to było znane sędziemu z akt sprawy.

Artykuł 368 kk („znieważenie prezydenta”) przewiduje różne rodzaje kar – od grzywny po ograniczenie wolności. Mikołaj

łaj mówił w sądzie, że jeśli trafi do więzienia, umrze. Mimo to piński sędzia Andrej Byczyła skazał go na rok więzienia.

Mikołaj został aresztowany na sali sądowej 27 lutego. 6 maja zmarł w więzieniu. Nigdy nie wróci do domu i nie doczeka wolności swego kraju. I zawsze będziemy czuć się winni, że nie uratowaliśmy dobrego, uczciwego człowieka.

Jednak wątpię, żeby ci, którzy wysłali niepełnosprawnego na śmierć za przesłanie w sieci karykatury, poczuli się winni choć przez sekundę, gdy dowiedzieli się o jego śmierci. Białoruscy kaci to inny gatunek, który nie ma sumienia, wstydu, poczucia winy. Ich życie to odruchy bezwarunkowe.

Od czasu do czasu odwiedzam stronę Mikołaja na Facebooku. Nie chcę wierzyć, że nigdy więcej nie zobaczę jego postów pełnych miłości do rodzinnego Pińska i Białorusi. I naprawdę chcę wierzyć, że moi przyjaciele wrócą z więzień znacznie wcześniej, zanim skończą się ich terminy.

Napisałam tylko o kilku z tysięcy, ale każdy Białorusin może opowiedzieć historii swoich znajomych, przyjaciół, krewnych, którzy siedzą w więzieniach. Represje są jak wojna, dotknęły każdego. Jeśli nie siedzisz w więzieniu, to siedzi twój brat, kolega z klasy lub sąsiad. A nieludzkie cierpienia, tortury, groźby – to teraz życie tysięcy Białorusinów.

Pamiętajcie o nich, proszę. Pamiętajcie o nas, proszę. ●

*Irina Chalip

• białoruska dziennikarka i reporterka, współpracownica rosyjskiej niezależnej „Nowej Gazety”. Nękana i więziona, w 2011 r. otrzymała dwa lata więzienia w zawieszeniu za udział w protestach po sfalszowanych białoruskich wyborach prezydenckich. Znalazła schronienie w Polsce. Tekst napisała specjalnie dla „Wyborczej”



FOT. MIECZYSŁAW MICHAŁAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Julian Kornhauser*

URZĄD POEZJI

Państwo zdejmie naród
Państwo zdejmie ojczyznę
Państwo zdejmie barykadę
Państwo zdejmie wypadki grudniowe
Państwo zdejmie niektóre nazwiska
Państwo zdejmie sztandary
Państwo zdejmie Żydów
Państwo zdejmie Wolną Europę
Państwo zdejmie marzec
Państwo zdejmie tytuły rangi i stopnie
Państwo zdejmie tryb rozkazujący

Państwo zmieni naród na obóz socjalistyczny
Ojczyznę na miasta przemysłowe
Barykadę na skład makulatury
Wypadki grudniowe na powieść Bratnego
Niektóre nazwiska na inicjały
Sztandary na pochód pierwszomajowy
Żydów na profesorów
Wolną Europę na CIA
Marzec na wiosnę
Tytuły rangi i stopnie na puste miejsca
Tryb rozkazujący na tryb warunkowy

Państwo jest najwybitniejszym poetą polskim

*Julian Kornhauser – ur. w 1946 r. w Gliwicach, mieszka w Krakowie. Poeta, eseista, prozaik, tłumacz, profesor literatury serbskiej i chorwackiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 70. był jednym z najważniejszych twórców Nowej Fali. Debiutował tomikiem „Nastanie święto i dla leniuchów” (1972). W 1974 r. opublikował z Adamem Zagajewskim manifest artystyczny swojego pokolenia „Świat nie przedstawiony”. Wiersz za jego tomem „Zabójstwo”, wydanym poza cenzurą jesienią 1973 r.

DAJCIE CZŁOWIEKOWI SZANSE

Byłem atakowany za obronę generała Jaruzelskiego,
byłem atakowany za obronę Jana Pawła II.
Nie żałuję. Niech mnie teraz atakują za obronę Romana Giertycha

Z ADAMEM MICHNIKIEM
ROZMAWIA DOMINIKA WIELOWIEYSKA

Roman Giertych chce wystartować do Senatu w okręgu, w którym PiS zazwyczaj przegrywa. Liczy, że opozycja nie wystawi tam swojego kandydata. Lewica protestuje, przypominając jego polityczną przeszłość. I krytykuje go za obecne poglądy na temat aborcji.

Nie ja będę decydować o starcie Romana Giertycha, to decyzja polityków opozycji demokratycznej. Natomiast uważam, że przez ostatnie lata Giertych zasłużył na pewne kwantum zaufania. Może nie stuprocentowe, ale jednak. Jestem przekonany, że tacy ludzie jak on są potrzebni opozycji.

Dlaczego?

– W wielu sprawach zmienił zdanie, uznał swój błąd. Od dawna konsekwentnie występuje w obronie ludzi niszczonej przez PiS i konsekwentnie broni wartości demokratycznych. A sporo ryzykuje, bo jest z tego powodu ścigany przez PiS. Przecież oni go chcieli przesłuchiwać, gdy leżał w szpitalu. Władza usiłuje go zamknąć do aresztu, na razie jej się to nie udało, ale tylko dlatego, że na drodze stanął sąd. Jego droga do obozu demokratycznego była kręta i nie jest zakończona. Nie wiem, gdzie on jeszcze wylądował, ale uważam, że jeżeli ktoś chce iść drogą w dobrą stronę i jeszcze ryzykuje swoją karierę, to trzeba temu sprzyjać, a nie zatrząskiwać mu drzwi przed nosem.

To może niech wystartuje w jakimś okręgu, który jest bastionem PiS i konserwatyzmu, np. na Podkarpaciu, a nie tam, gdzie mandat jest łatwy do zdobycia?

– Nie mam nic przeciwko temu, ale w dywagacje, gdzie on ma wystartować, nie będę się wdawać, bo to jest decyzja opozycji demokratycznej, która pracuje nad paktem senackim.

Uważasz, że jeśli ktoś dojrzał, przeszedł przemianę wewnętrzną, to nie trzeba go karać, trzeba mu dać szansę.

– Ale on ukarany został. Pisaliśmy, co o nim sądzimy.

To bardzo chrześcijańska postawa: nawróconego grzesznika trzeba traktować jak syna marnotrawnego. Ale nie interesuje cię, jaki był powód tej przemiany? W czasie pierwszych rządów PiS-LPR-Samoobrona w latach 2005-07 Giertych zdał sobie sprawę, że skoro PiS zabrał się za Andrzeja Leppera i zrobił

prowokację z aferą gruntową, to następny w kolejce jest on jako lider Ligi. Co więcej, Kaczyński skonsumował elektorat jego partii.

– Nie wiem. Zakładam, że jeśli ktoś zrobił coś dobrego ze złych intencji, to lepsze, gdyby zrobił coś złego z intencji szlachetnych. Ale chcę wierzyć, że Giertych zrobił to z dobrych pobudek, a nie nikczemnych. Trzeba wysłać sygnał, że każdy, kto zechce przejść na stronę demokracji, nie będzie odrzucany.

Dla Jarosława Gowina nie jesteś tak łaskawy. A to Gowin zablokował antydemokratyczne wybory kopertowe. Bez niego opozycja nie dałaby rady pokonać PiS w tej sprawie. I obrońcy Gowina używali tego samego argumentu, którego ty używasz przy okazji Giertycha: nawróconych grzeszników nie można odrzucać, bo inni, którzy być może chcieliby odstąpić od PiS, uznają, że nie warto.

– Tak, ale Gowin do ostatniej chwili trzymał się pańskiej klamki. Minęło zbyt mało czasu, aby przekonać się, czy jego manewr

**W sprawie dwóch wieź
Giertych złapał za gardło
Kaczyńskiego.
Wielu wyborców
może mieć poczucie,
że będzie pchał opozycję
do rozliczenia PiS
i ukarania za łamanie prawa**

wynikał ze szczerej chęci przemiany, czy też był to efekt kalkulacji politycznej: może doszedł do wniosku, że PiS się kończy, więc trzeba się szybko przenieść na drugą stronę barykady. Ale ta jego diagnoza była przedwczesna, pandemia nie zmiotła PiS i dlatego znalazł się na marginesie. Giertych sam odszedł wiele lat temu i potem atakował PiS po całosci.

Gowin nigdy nie wypowiadał tak radykalnych, obraźliwych dla wielu opinii, np. na temat środowiska LGBT.

– Ale zmieniał front, był wcześniej w PO, przykładał rękę do niszczenia demokracji, a teraz chce wracać na drugą stronę barykady. Nie jestem jakoś radykalnie wrogo nastawiony do Gowina, każdy ma szansę wrócić na dobrą drogę, ale potrzebne są czas i odkupienie win. Dlatego rozumiem, że Donald Tusk nie chce go na listach wyborczych.

Niektórych wyborców zjednoczonej opozycji razi radykalizm Giertycha, który wyraża się w tym, że on zawsze potępi wszystko, co jest związane z PiS, nawet jeśli ta krytyka nie ma żadnego sensu i jest oderwana od rzeczywistości czy niezgodna z faktami.

– Może i tak, ale to w polityce się zdarza, w kampanii politycy chcą być wyraziści. I nie zmienia to mojej opinii, że obóz demokratyczny przed wyborami i po nich bez Giertycha będzie słabszy. To jest niezwyczajnie inteligentny i sprawny polityk.

No a potem mu się odmieni i zacznie opowiadać absurdalne rzeczy na temat opozycji. Będziesz miał taki sam proces, jaki z nim miałeś ileś tam lat temu. Nazwał cię „byłym partyjnym aparatchykiem” i sąd nakazał mu przeprosiny.

– No i co? To ma być dla mnie najważniejszy argument do końca życia, że mnie obraził, a ja wygrałem proces? Mnie się wydaje, że jest coś ważniejszego niż moje prywatne urazy i porachunki, że tu chodzi o prawdę o dobro Rzeczypospolitej.

Nie. Chodzi o to, że jeśli dzisiaj jedzie ostro na PiS i nieważne, czy fakty są takie, czy inne, bo on na fakty nie zważa, to potem mu się odmieni i będzie jechał w drugą stronę i będzie mówił o kimś takim jak ty, że jest partyjnym aparatchykiem.

– Jeżeli tak będzie, to zrobimy rozmowę o tym, że Giertych zszedł na złą drogę. Rozumiem, że mój pogląd na tę sprawę wywoła sprzeciw, że idę pod prąd. Ale byłem atakowany za obronę generała Jaruzelskiego, byłem atakowany za obronę Jana Pawła II. Nie żałuję ani jednego, ani drugiego. Mówię to, co myślę. I niech mnie teraz atakują za obronę Romana Giertycha.

Ale dlaczego Giertych jest niezbdny opozycji?

– To jest dobry prawnik. Odważny, jest bardzo dobrym mówcą. W sprawie dwóch wieź złapał za gardło Jarosława Kaczyńskiego.

go. A na PiS trzeba twardych zawodników. Kaczyński się tak przestraszył, że PiS-owska prokuratura nawet go nie przesłuchiwała.

Myślę, że wielu wyborców może mieć takie poczucie, że Giertych będzie pchał opozycję do rozliczenia PiS i ukarania za łamanie prawa. Chce, aby PiS został rozliczony, aby nie było tak, że państwo prawa jest słabe i władza można robić, co jej się żywnie podoba, bo potem i tak nie poniesie się kary.

Dziś trwa nagonka PiS na osoby LGBTQ+, a Giertych kiedyś pojechał do Brukseli, by przekonywać, że nie wolno szerzyć ideologii homoseksualnej. Jako minister odwołał wysokiego urzędnika, twierdząc, że w ramach obrony praw człowieka „promuje homoseksualizm”. W 2010 r. deklarował, że jego dzieci nie mogłyby być LGBTQ+, ale gdyby były, to nie miałyby np. wstępu na rodzinne święta. „Każdego człowieka trzeba szanować. I czy ktoś jest hetero, czy nie jest, nie zmienia to mego szacunku. Ale mam prawo do swego poglądu. Homoseksualizm jest w sensie obiektywnym sprzeczny z porządkiem naturalnym. Nie można powiedzieć, że to coś normalnego” – mówił.

– Dziś takich rzeczy nie mówi. Zmienił poglądy.

Nadal jest przeciwko związkom partnerskim, pozwala sobie na żarty z Roberta Biedronia i Krzysztofa Śmiszka. Kiedy Biedroń został kandydatem Lewicy na prezydenta, Giertych napisał, że to ciekawa sytuacja: „Wciąż nie wiemy, czy pan Śmiszek będzie kandydatem na prezydenta, a Biedroń na pierwszą damę, czy na odwrot”.

– To jest głupie, niegrzeczne i powiedziałbym: niestosowne.

To język pogardy?

– Lekceważenia raczej. Język nienawiści mieliśmy w przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego, w którym konkurentów politycznych nazwał „kanaliami” i „zdradzieckimi mordami”. A wracając do „żartu” Giertycha: jak będę miał okazję, to mu wytknę, że tak mówić nie powinien, bo ci ludzie mają takie same prawo do szacunku jak on.

Myślisz, że zmienił poglądy? W 2007 r. o Paradzie Równości mówił tak: „Popieram rodzinę i uważam, że trzeba przeciwstawić się temu, że wstrętnei pederacji przyjechali z wielu krajów i próbowali narzucić nam swoją propagandę”. Potem twierdził, że dzisiaj by tak nie powiedział, ale trudno o tym zapomnieć.

– On jest w drodze. Być może za dwa lata dojrzeje do związków partnerskich. W tych sprawach Polska się zmienia. 30 lat temu Parady Równości były niewyobrażalne, dzisiaj są. Wielu ludzi w tej sprawie zmieniło punkt widzenia. Ja nigdy może nie by-

łem taki dowcipny jak Giertych, niemniej jednak muszę powiedzieć, że mój stosunek do LGBT też był inny.

Giertych nadal uważa, że w takich sprawach jak aborcja, in vitro, związki partnerskie on jako wierzący katolik musi narzucać innym ludziom poglądy Kościoła. Niegdyś był za wpisaniem ochrony życia poczętego do konstytucji.

– Ale mnie zupełnie wystarczy, jeżeli on uzna, że skoro większość parlamentu zliberalizowała ustawę o aborcji, to trzeba to uznać zgodnie z demokratycznymi regułami państwa prawa. W Polsce wiele osób uważa, że aborcja jest złem i nie można jej przeprowadzać w żadnych innych okolicznościach poza zagrożeniem zdrowia i życia kobiety. I nikt nie może ich zmusić do zmiany poglądów. Każda z tych osób ma prawo przekonywać innych, że przerwanie ciąży jest złem. Ale ma też obowiązek szanować liberalne prawo, jeśli zostanie uchwalone.

Roman Giertych może przekonywać swoją rodzinę, przyjaciół i znajomych, żeby nie stosowali antykoncepcji i nie dokonywali aborcji, ale on swoje prywatne poglądy próbuje narzucić w debacie publicznej.

– Nie mam żadnej wątpliwości, że to, co dzisiaj proponuje obóz demokratyczny, a więc legalna aborcja do 12. tygodnia, związki partnerskie, finansowanie z budżetu in vitro, to postulaty oczywiste. I wiem, że Giertych akceptuje demokratyczne reguły gry. Masz prawo go nie lubić. Możesz na niego nie głosować.

Tu jest pies pogrzebany. Gdyby Giertych startował do Sejmu, to tam na liście jest iluś tam kandydatów i jak mi Giertych nie pasuje, zgłosuję na Iksińskiego. Ale w wyborach do Senatu są jednonamandotowe okręgi i jeśli wystartuje jako kandydat zjednoczonej opozycji, to jej wyborcy nie będą mieli wyjścia, albo poprą opozycję demokratyczną, albo oddadzą głos nieważny, ale wtedy wspierają pośrednio PiS.

– To jest problem, ale nie można zapominać, że zjednoczona opozycja jest zróżnicowana w kwestiach światopoglądowych. Tam też są konserwatyści, i to – z punktu widzenia demokracji – także ma swoje dobre strony, bo nie można PiS oddawać całego pola po tej stronie. W Polsce wielu ludzi prawicy PiS odrzuca, bo szanują demokrację i zasadę trójpodziału władz. Wielu ludzi opozycji popiera tzw. kompromis aborcyjny, który kompromisem moim zdaniem wcale nie był, lecz w gruncie rzeczy restrykcyjną ustawą, ja głosowałem przeciw, żeby było jasne. Ale musimy się pogodzić z tym, że żyjemy w kraju, gdzie mieszkają ludzie, którzy mają różne poglądy. I akurat w latach 90. decyzja o tzw. kompromisie aborcyjnym została podjęta zgodnie z demokratycznymi regułami parlamentarnymi.

Pytanie, co jest większym złem, a co mniejszym? Czy większym jest Giertych obecny w Senacie i życiu publicznym, który będzie tępił antykonstytucyjną, represyjną politykę PiS, czy Giertych, który będzie miał zatrzasknięte drzwi do udziału w bardzo różnorodnym froncie obrony demokracji.

Dziś Giertych twierdzi, że lekarze mają obowiązek ratować kobiety, deklaruje pomoc prawną dla każdego lekarza, który będzie miał problemy z prokuraturą. Mówi, że decyzja Trybunału Prylębskiej o aborcji jest nieważna z mocy prawa i tak naprawdę obowiązuje tzw. kompromis aborcyjny. Nie zmienia to



faktu, że dla wielu wyborców głosowanie na Romana Giertycha jest trudne.

– Tak, jest ryzyko, że oni na niego nie zagłosują. I jest prawdopodobne, że stanowisko, które ci nie będzie odpowiadało, zajmą ci katolicy, którzy będą kandydowali z rekomendacji PSL czy Szymona Hołowni.

Giertych powiedział, że politycy Platformy nie wyciągnęli żadnych wniosków ze swoich klęsk. „Uchwała podjęta za rządów PO o aborcji dozwolonej do 12. tygodnia ciąży, w szczególnych warunkach, jest strasznym błędem. Podobnym błędem było forsowanie przez Ewę Kopacz ustawy o zmianie płci czy też działania Rafała Trzaskowskiego i Pawła Rabieja na rzecz uczenia dzieci możliwości zmiany płci”.

– Jeżeli Roman Giertych wierzy w to, że PO przegrała ze względu na swój stosunek do liberalizacji ustawy antyaborcyjnej, to nie ma racji. Ona przegrała ze stu innych powodów.

Tylko że to jest u niego takie myślenie życzeniowe. Giertych by chciał przerebić tę Platformę na swoje kopyto.

– Ale nie przerebi. Dam ci inny przykład. Człowiek, którego ogromnie szanuję, Andrzej Zoll, w sprawie aborcji ma takie same poglądy jak Giertych. Ale to nie znaczy, że mam go za to potępiać.

Prof. Zoll nie startuje w wyborach, choć orzeczenie z czasów, gdy był prezesem TK, stało się fundamentem barbarzyńskiego prawa, które za sprawą PiS weszło w życie.

– Wierzę, że to, co się dziś dzieje, dało wiele do myślenia tym konserwatystom, którzy chcieli radykalnego antyaborcyjnego prawa. Jeśli nie zdawali sobie sprawy, do czego prowadzi fanatyzm w tej sferze, to dziś widzą to bardzo wyraźnie. Ludzie dojrzewają. Spójrz, jak się zmieniają sondaże w tej materii. W ciągu ostatnich 10 lat poglądy Polaków na prawo aborcyjne czy związki partnerskie ewoluowały. I w naszym społeczeństwie będą w tych samych budynkach, na tych samych piętrach mieszkali różni ludzie. Ludzie starsi o aborcji myślą to, co Kościół katolicki. I nie zmienimy tego. Jedno, co możemy zrobić, to tak ułożyć te stosunki między ludźmi, aby umacniać demokrację i szukać tego, co nas łączy.

Giertych wypowiadał się niezwykle pogardliwie o in vitro.

– I to głupie jest i nieprzyswoite.

Mówił, że jak ktoś chce finansować in vitro z budżetu, to może zacznie też finansować powiększanie piersi.

– To czysty kretynizm.

Ale uważasz, że odkupił swoje winy, np. to, że prowadził kampanię przeciwko integracji z Unią Europejską. Przecież gdyby tacy ludzie jak Giertych wygrali, to bylibyśmy nie powiem gdzie...

– Ale do licha, uważasz, że tego nie wiem, co on wtedy robił? Ale od odkupiania win jest Pan Bóg, a nie Michnik.

Giertych pojechał do Jedwabnego jeszcze za czasów rządu PiS. A przecież wtedy panowało przekonanie, że dobry polski patriota nie ma prawa tam jechać

Jak traktować polityków, którzy w pewnych sprawach zmienili poglądy o 180 stopni?

– Roman Giertych jest przypadkiem ciekawym. Już jako dorosły człowiek zetknąłem się z legendą Jędrzeja Giertycha, skrajnego endeka. To człowiek formacji, która głosi, że wszelkiemu złu są winni w historii Polski masoni albo innowiercy. Innowiercy to potop: zdradzili Polskę. A masoni doprowadzili do rozbiorów, a potem wywoływali powstania, żeby osłabić ducha narodowego. Gdy powstała w 1989 r. Młodzież Wszechpolska, której liderem był Roman Giertych, to wtedy z nimi rozmawiałem. Byłem na spotkaniu z nimi, wygłosiłem wykład. I powiedziałem: panowie, możemy o tym wszystkim rozmawiać. I oni zadzwonili do mnie do redakcji...

Młodzież Wszechpolska!?

– Tak, spotkaliśmy się w Krakowie. I miałem wrażenie, że przede mną siedzą ludzie

kompletnie niedojrzali i przez to łatwi do manipulowania. Ale rozmawiałem z nimi.

To spadkobiercy antysemickiej endecji.

– Nie zapominam o kontekście historycznym i antysemityzmie: zawsze uważałem, że dla Polski antysemityzm to uporczywe strzelanie sobie w kolano. Ktoś nie znosi Polski, więc uderza w ton antysemicki i zawsze znajdzie grupę miłośników: widzieliśmy fanatyków w Kaliszu, którzy spalili historyczny statut kaliski, i w świat idzie informacja, że Polacy są antysemitami.

W dawnym obozie Giertycha – Lidze Polskich Rodzin, Radiu Maryja – byli wątki antysemickie. Jednak w 2006 r. wicepremier Giertych jako jedyny przedstawiciel rządu PiS, LPR i Samoobrony pojechał na obchody rocznicy mordu w Jedwabnem. Żaden biskup się na to nie zdecydował.

– To ważne, że pojechał do Jedwabnego jeszcze za czasów rządu PiS. Przecież wtedy panowało przekonanie, że dobry polski patriota nie ma prawa tam jechać i nie ma prawa pamiętać o tej zbrodni. To nie jest przypadek, że tam nie było żadnego polityka, także z opozycji. Inni posłowie organizowali komitet obrony dobrego imienia Jedwabnego.

I to jest moment, w którym on przełamał swój wizerunek. Giertych przestaje być filarem młodych, skrajnych, faszystujących nacjonalistów, a staje się człowiekiem drogi. I on na tej drodze wciąż jest. Nie zakończył swojej ewolucji. Nie wiem, gdzie wyląduje, i wiem, że może się cofnąć.

Niemniej Roman Giertych jest fanem antysemity Romana Dmowskiego.

– Jedna z wypowiedzi Giertycha wbiła mnie w fotel. W rozmowie z Pawłem Wrońskim, jeszcze jak był wicepremierem, powiedział, że jego dzisiejsza wiedza na temat poglądów Dmowskiego sprawia, że on by go nie przyjął do Młodzieży Wszechpolskiej.

Nadal jednak pozostaje jego zwolennikiem.

– Ale nie dla jego antysemityzmu, lecz pomimo jego antysemityzmu. I jednocześnie powiedział, że jego zdaniem dwie najwybitniejsze książki polityczne, jakie powstały w XX wieku, to Romana Dmowskiego „Myśli nowoczesnego Polaka” i Adama Michnika „Kościół, lewica, dialog”.

Chciał ci się przypodobać.

– Powiedzmy, że jest tak, jak mówisz. Ale jeżeli zastanowisz się, jak taką wypowiedź mogła przyjąć publika endecka, to jednak o czymś to świadczy. Cztery lata temu Jarek Kurski organizował cykl dyskusji o historii Polski „Wokół niepodległości. Pamięć zbiorowa: 1905, Wielka Wojna, zabójstwo Narutowicza”. Posadzili mnie wówczas razem z Giertychem. Rozmowę prowadziła Dorota Wysocka-Schnepf, która wprost go zapytała: „Przecież to, co pan mówił przez wiele lat, w ogóle się nie rymuje z tym, co mówi pan teraz”. „Zmieniłem poglądy” – odparł. Dorota dopytywała dlaczego. A Giertych uznał, że nie można być jednocześnie chrześcijaninem i nacjonalistą. „Koncepcja narodowego państwa katolickiego jest błędna. Zarówno ze względu na wiarę, która zakłada sprzeciw wobec nacjonalizmu, jak i na rozum, gdyż budowanie państwa wyznaniowego jest sprzeczne z zasadami rozumu”.

Ten występ Giertycha wzbudził protesty. Rozdawano wtedy ulotki, w których można było przeczytać, że jesteś „osobą zawsze ślepą na ruchy masowe, niezainteresowaną głosem społecznej samoorganizacji, związków zawodowych, kobiet – tylko klepiącą się w swoim gronie po plecach z endekami”.

– Szkoda, że te osoby spokojnie nie wysłuchały wówczas tego, co Giertych ma do powiedzenia. A on wtedy mówił, że wstyd mu za ludzi, którzy niegdyś byli w Młodzieży Wszechpolskiej, a dziś są w Konfederacji lub w PiS.

Można spekulować, dlaczego on to powiedział. Myślę, że dlatego, iż dokonała się w nim przemiana i on w tej przemianie jest konsekwentny. Pozostał konserwatystą, ale porzucił nacjonalizm.

Pamiętam ten moment przy Okrągłym Stole, gdy – i to było dla mnie wyzwanie – podałem rękę Czesławowi Kiszczakowi, a więc człowiekowi, który mnie wsadził do więzienia i był twarzą autorytarnego państwa. Uważam, że miałem rację, zrobiłem dobrze, dlatego że ci ludzie naprawdę chcieli się dogadać. I Kiszczak – cokolwiek by o nim powiedzieć – był lojalny wobec demokratycznej Polski. Oczywiście oni chcieli, żeby było ich na wierzchu, a myśmy się starali, żeby było nasze na wierzchu, ale mieliśmy poczucie, że o coś ważnego nam chodzi i to coś to „sprawa polska”.

„Pan mecenas dokonał spektakularnej konwersji, ale bonusy, które za to otrzymuje, znacząco przerastają zasługi i bezpodstawnie wymazują jego grzechy” – napisała po tej debacie Magdalena Środa.

– Zawsze będzie się za mało kajał, zawsze będzie za mało przeprosin. To nie jest tak, że Giertych wszystkich przekona. Nad tą debatą ciąży pewien klasyczny wizerunek endecji jako obozu antysemitów, który na uniwersytetach wprowadził getto ławkowe.

A czy nie jest tak, że jak przesiejesz program endecji, zostaje tylko czysty, zoologiczny antysemityzm?

– W moim przekonaniu ty w tej materii jesteś dzieckiem swojego czasu, podobnie jak ja nim kiedyś byłem. Tak długo, jak długo nie przeczytałem na spokojnie pism endeków. Oczywiście taki nurt w endecji był i nie można go bagatelizować.

A co jest dobrego w endecji poza wkładem Dmowskiego w proces odzyskiwania niepodległości?

– Myślenie geopolityczne, analiza sytuacji międzynarodowej pod kątem interesów Polski. W tradycji polskiej było pewne napięcie, a mianowicie przeciwstawianie sobie dwóch postaw: praca organiczna kontra powstanie zbrojne. Endecja wymyśliła trzecią drogę: politykę czynną, to znaczy rezygnację z koncepcji insurekcyjnej, budowanie szerokiego obozu na rzecz realizacji interesu narodowego. Politykę, która dostosowywała się do okoliczności, stawiała na najbardziej optymalny scenariusz w danym momencie.

Jeżeli przeanalizować wszystko, co pisali starzy endecy: Rybarski, Konopczyński, Stroński, Grabski, widać, jakiego formatu to byli ludzie, ile ważnych rzeczy mieli nam do powiedzenia. Kto był konsekwentnym uczniem tej trzeciej drogi endeckiej? Komitet Obrony Robotników!

Cudownie! Korowcy spadkobiercami endecji.

– Ideologicznie KOR oczywiście był na drugim biegunie. Ale cała strategia i nowość opowieści korowskiej, co wyłożyłem w tekście „Nowy ewolucjonizm”, polegała na odrzuceniu rewizjonizmu, czyli przekonania, że można zmienić system socjalistyczny, reformując go od wewnątrz. KOR właśnie był tym etapem, na którym stało się jasne, że tego systemu nie da się poprawić. Choć wcześniej wielu mądrych ludzi uważało inaczej. Klęskę poniósł też tygodnikowopowszechno-znakowy neopozytywizm. To okazało się fikcją. Mieli tych pięciu posłów w parlamencie, mieli te swoje Kluby Inteligencji Katolickiej w kilku miastach. Ale w gruncie rzeczy tym młodym KIK-wcom pomysł na aktywną troskę o Polskę zapewnił nie KIK, tylko KOR.

Jedną z idei KIK było wychowywanie młodzieży do wolności, przygotowanie na ten moment, w którym pojawi się szansa na odzyskanie suwerenności. To z tego środowiska rekrutowały się w dużej mierze elity władzy III RP.

– Tak, w tym momencie to było bardzo ważne i rozumiem, że wiele osób sądziło, iż to jest maksimum tego, co można robić w tych warunkach. KOR powiedział: idźmy dalej. W artykułach z czasów II RP endecy opowiadali się za nowoczesnym systemem demokracji parlamentarnej. Oni potem zбочyli z tej drogi, bo im się Mussolini zaczął podobać, ale w krytyce sanacji ważny był szacunek dla parlamentaryzmu.

Hitler był zły, nie był demokratą, odpowiadał za Holocaust, ale robił też dobre rzeczy, jak mówił świętej pamięci Andrzej Lepper, bo np. zlikwidował bezrobocie w Niemczech.

– I autostrady zbudował. Volkswagena stworzył.

W ten sposób wkraczamy na ścieżkę totalnego relatywizmu.

– Nie, bo endecy nie zachowywali się jak Hitler, oni Hitlera szczerze nie znosili.

Pozwól, że przypomnę to, co sam nieraz powtarzałem. Czytając dzisiaj pisma Dmowskiego, trudno momentami oprzeć się uczuciu intelektualnego zażenowania i moralnego wstydu. W tych pismach widać nie tylko wielkość, ale też nędzę myśli Dmowskiego i całego wielkiego obozu politycznego w Polsce.

Pewien angielski dyplomata określił Dmowskiego jako to, co najlepsze i najgorsze w polskim charakterze narodowym. Myślę, że niewiele się pomylił. Był Dmowski doskonałym analitykiem i więźniem własnych fobii. Był współtwórcą polskiej myśli niepodległościowej i współwinowajcą polskiej ciemnoty. Był siewcą ziaren racjonalizmu w myśleniu o polityce i roznosicielem zarazków ksenofobii, które zgangrenowały wielkie obszary życia umysłowego. Kształcił polskie umysły i deprawował polskie sumienia. Kształcił umysły, rozwijając idee polityki czynnej, ucząc geopolityki, zaszczepiając twardy realizm. Deprawował sumienia, formułując koncepcję narodu i ideę polskości, która prostym traktem wiodła do rozwiązań totalitarnych, ale endecja to było też środowisko ruchu, drogi.

Oni chcieli Polskę zmodernizować. I tak się złożyło, że sposobem na zdobycie poparcia dla tej modernizacji stał się dla nich nacjonalizm, bo takie było społeczeństwo polskie po długich latach niewoli. Zawsze trzeba pamiętać o kontekście historycznym. To jest poważny nurt w polskiej historii. I jeśli dla demokracji, integracji europejskiej i budowania siły Polski można pozyskać choćby część tego środowiska, właśnie takich ludzi jak rodzina Giertychów, to jest dobre dla Polski. ●

Umiarkowanie umarło

Roszczeniu, by czyjeś uczucia były szanowane, przeciwstawiam roszczenie, by szanować moje uczucia.

Marcin Matczak



Dwa osobne, niedawne wydarzenia zdają mi się dziwnie powiązane: Aleksander Kwaśniewski mówiący o wnukach i Donald Tusk mówiący o imigrancie. Ale może już coś na głowę mi się rzuca. Widzieć związki tam, gdzie ich nie ma, nie uznawać przypadków i węszyć spiski to przecież jasny sygnał, że z człowiekiem nie jest najlepiej.

Pierwsze podobieństwo: obaj mówili szczerze, co myślą, nie zastanawiając się, co powie krytyczna publiczność. Były prezydent mówił, że chciałby mieć wnuki – rzecz, wydawałoby się, normalna. Mimo to spotkała go krytyka, bo słowa te, w opinii Piotra Jaconia, mogły kogoś zabołec. Były premier mówił, że Polska ma prawo kontrolować, kto do niej przyjeżdża, w szczególności z krajów muzułmańskich. Tym naraził się na oskarżenie, że powiela groźne stereotypy.

Drugie podobieństwo: i Kwaśniewski, i Tusk zderzyli się z zero-jedynkową wizją świata, w której nie ma miejsca na szukanie światłocienia. Powszechna narracja imigracyjna jest czarno-biała. Albo pełne zamknięcie, mur na granicy, zaporą na morzu, a w środku białe lica katolików, wymachujących różańcem i wołających, by Pan ojczyzny wolnej raczył im nie zabierać. Albo całkowite otwarcie w duchu przekonania, że dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba.

Kwaśniewski zderzył się z narracją, którą nazywam postmodernistyczną: człowiek ma prawo nie tylko do bezpieczeństwa fizycznego (nikt nie może go spoliczkować), ale także psychicznego (nikt nie może sprawić mu przykrości). Ta narracja też jest czarno-biała: całkowity szacunek dla człowieka, który nie chce mieć dzieci, posunięty tak daleko, że rodzic nie ma prawa nawet głośno wyrazić swoich uczuć w tej kwestii. To niezdolność, by sprawę zobaczyć w jej złożoności: by szukać rozwiązania kompromisowego (nie w sprawie dzieci, ale uczuć). Takiego, w którym emocje obu stron są respektowane i nikogo się nie knebluje.

Trzecie podobieństwo – obie wypowiedzi ilustrują rycerskie powiedzenie „kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Roszczeniu, by czyjeś uczucia były szanowane, przeciwstawiam roszczenie, by szanować moje uczucia. A populizm zwalcza populizmem.

Dlaczego patrzymy na świat tak jednostronnie? Młodzi domagają się szacunku dla swoich uczuć, nie szanując uczuć starych, którym nie wolno ich nawet wyrażać. Wyrażasz, więc oceniasz. Mówisz o sobie, więc sprawiasz przykrość. Ale w drugiej stronie to nie działa. Młody wyraża siebie bez względu na koszty emocjonalne po stronie starych. Oczywiście każdy ma swoje życie i może je ułożyć sobie, jak chce. Ale ta asymetria – „mnie wolno powiedzieć wszystko, a tobie nic” – zastanawia.

Z populizmem sprawa jest bardziej złożona. Antyimigracyjna propaganda PiS od-człowiecza i wzbudza nienawiść. Gra na

najniższych instynktach i dlatego nazywam PiS rakiem polskiej duszy – bo zżera to, co w nas dobre, zastępując zdrową tkankę moralną Polaków tkanką chorą i wrzodzącą.

Jak z tym rakiem walczyć? Tusk stara się być pragmatyczny i idzie drogą środka. A temu, kto nią idzie, dostaje się z obu stron. Bo w naszym świecie umiarkowanie umarło. Przekonano nas, że musimy różnić się skrajnie: jak PiS chce granice zamknąć, opozycja musi je całkowicie otworzyć. Czy tak ma to działać? Przecież właśnie o to chodzi tym cholernym populistom. Czy jak PiS chce być wobec Niemców twardy jak skała, opozycja musi być miękka jak papier toaletowy? Czy jak PiS, trzymając się za rączki z ojcem Rydzykiem, buja się w rytm religijnych pieśni w kościele, opozycja musi bazgrać po ścianach tych kościołów sprejem i przerywać msze? Nie idźmy tą drogą, bo to jest plan Kaczyńskiego.

Tusk pokazuje obłudę PiS, co osłabia ich czarno-białą narrację. Ale wpisuje się w głos, że to, co islamskie, jest złe. Pokazuje imigrantów nie jako benefit (np. dla rynku pracy), ale jako zagrożenie (odwołuje się do zamieszek we Francji). Jest populistyczny i mimo że mówi o godności ludzkiej, stąpa po cienkiej linii.

Czy wolno mu to robić? Trudne pytanie. Czy jest Tusk jak gliniarz pod przykrywką, który zwalcza przestępczość, ale żeby być wiarygodnym, sam drobne przestępstwa popełnia? Wytyczne FBI w zakresie policjantów infiltrujących gangi zakładają, że mogą oni łamać prawo dla dobra sprawy, ale muszą mieć na to zgodę i nie może to być przestępstwo najpoważniejsze. Inny mi słowy, handel narkotykami, aby złapać dilerów tak, wykonanie mafijnej egzekucji na dilerze nie.

Jaki cetera ma „przestępstwo” Tuska: granie retoryki antyimigracyjną? Czy jeśli pozwoli nie stracić opozycji kilku punktów procentowych, kluczowych dla wygranej, ocenimy je pozytywnie? Czy cel uświęci środki?

Pragmatyzm w podejściu do imigrantów jest uzasadniony. Jeśli Polską duszę przestanie zżerać PiS-owski rak, nasza polityka wobec nich będzie racjonalna, nie czarno-biała, z murem i obłudnym różańcem na granicy. Tusk rozpoznaje strach wielu Polaków i nie zaprzecza mu. Wie, że około 30 procent społeczeństwa to unikacze różnorodności – nie ciemnogród, ale normalni, inteligentni ludzie, którzy po prostu nie witają każdej odmienności kwiatami, tylko podchodzą do niej ostrożnie.

Unikanie różnorodności w normalnym kraju jest normalną pozycją polityczną. Nie jest rozwiązaniem najgorszym, bo kończy się najczęściej pełną rezerwą tolerancją. W nienormalnym kraju unikanie różnorodności mutuje w kierunku nienawiści etnicznej czy religijnej, do czego podżega populistyczny rząd. Opozycja, popadając w bezwarunkową otwartość, to podżeganie ułatwia. A to, co powiedział Tusk, akurat podżeganie utrudniło.

Być może tylko wymyśliłem sobie podobieństwa między słowami Kwaśniewskiego i Tuska. Może tylko wydaje mi się, że była w nich jakaś normalność, szukająca wyjścia z sytuacji, w której racje leżą po obu stronach. Nie da się z niej wyjść niepoobijanym w świecie, w którym obie strony myślały skrajnie.

Na pewno różnicą jest to, że Kwaśniewski się ze swoich słów wycofał, a Tusk nie. I to też należy szanować. W świecie, w którym panowałaby całkowita symetria, nie dałoby się żyć. Ani w świecie, w którym panowałaby całkowita asymetria. Bo skrajności są zawsze złe. ●

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



Z dumą pisze donosy pod własnym nazwiskiem

Donosiciele nie służą rosyjskiej władzy. Służą sobie. Własnemu sadyzmowi

*Jerofiejew

W Rosji pojawia się dziś nowy bohater narodowy. Filar reżimu Putina, jego pomocnik w walce z wewnętrznymi wrogami. Ten bohater to donosiciel.

Z dumą pisze donosy pod własnym nazwiskiem, nie ukrywając się za pseudonimami i czując moralną satysfakcję ze swojej pracy. Jest częścią kolektywnego systemu donosicielstwa, w którym nauczyciele donoszą na uczniów, a uczniowie na rzekomo liberalnych nauczycieli, skoro każda liberalna, antywojenna myśl wymaga potępienia.

Adresaci donosów są różni, ale jeśli piszemy na samą górę, to zwykle do Prokuratury Generalnej i Komitetu Śledczego FR. Reakcja na donosy jest szybka, wszczynane jest dochodzenie. W tej szybkości jest pewna logika. Jeśli spóźnisz się z odpowiedzią, również możesz zostać zadenuncjowany.

W całym kraju roi się od donosicieli. Uważają się za patriotów, denuncjują wszystkich, którzy w taki czy inny sposób wypowiadali się przeciwko wojnie w Ukrainie. Donosy mogą

bi biegi długodystansowe. Mówi, że był w Donbasie podczas wojny; sam nie walczył, ale nosił pistolet maszynowy.

Stał się znany w całej Rosji po serii donosów na różne sławne postaci. Napisał donos na Liję Achiedżakową, aktorkę starszego pokolenia z moskiewskiego Teatru Sowriemiennik, którą miliony Rosjan znają z kultowych lirycznych filmów z ostatnich lat ZSRR. Li-ja od lat znana jest ze swoich niezależnych poglądów; ta odważna, drobna kobieta nie bała się przeciwstawić Putinowi, kiedy dążył do dyktatury, potępiła też rosyjską agresję na Ukrainę.

Li-ja musiała opuścić teatr. Donos to ułatwił. Borodin wywołał skandal w federalnym programie telewizyjnym prowadzonym przez prokremlowskiego prezentera Norkina, który według denuncjatora nie potrafił zdemaskować Achiedżakowej. Borodin wywołał skandal, opuszczając studio, i napisał donos na Norkina.

Ale największym skandalem był donos Borodina na Ałłę Pugaczową, którą oskarżył o wspieranie ukraińskiej armii, gdy z powodu wojny wyjechała do

trzeba z niego korzystać ostrożnie. Borodin najwyraźniej staje się w swoim donosicielstwie zbyt niezależny. Można w tym nawet odnaleźć odrodzenie trockizmu. Wszak sam Władimir Majakowski został oskarżony o trockizm.

Borodin oczywiście nie jest Majakowskim – jest politycznym intrygantem próbującym zrobić karierę na donosicielstwie. Cała liberalna inteligencja go nienawidzi. Cały internet go atakuje. Myślę, że czerpie z tego przyjemność.

Co administracja Putina sądzi o donosach? Jego lojalny rzecznik Dmitrij Pieskow wypowiedział się ostatnio negatywnie na temat donosicielstwa. Być może kariera donosiela Borodina wkrótce dobiegnie końca, ale donosicielstwa nie da się powstrzymać. Ono ma w Rosji swoją genealogię.

Nasze cywilizowane społeczeństwo (ci, którzy przed rewolucją byli elegancko nazywani „ludźmi postępowymi”), rozproszone po różnych krajach i żyjące na wewnętrznej emigracji w swojej ojczyźnie, jest oburzone donosami politycznymi – wrażenie jest takie, że pękła kanalizacja, cała zawartość wylała się i rozlała po kraju. Ale czy nie można było tego przewidzieć?

Okazuje się, że oburzeni obywatele początkowo nie rozumieli rzeczywistości, w której przyszło nam żyć. Rok po roku władze, dokręcając śrubę, tłumili ruch protestu i za każdym razem okazywały się szybsze, zwinniejsze i pod pewnymi względami sprytniejsze niż opozycja, która niejednokrotnie obserwowała bezczynnie ich działania z szeroko otwartymi ustami. Jej działania z kolei były zwykle opieszale odpowiedzią na przemoc władz, co ostatecznie doprowadziło do jej porażki w Rosji. Do tego stale dzielili się na klany i nie doszła do żadnego porozumienia, nawet za granicą. Nonsens! Prezent dla władz.

Jednak obecnym władzom nie wystarczy zmiażdżenie opozycji. Zaczęły sprowadzać świadomość ludzi do wspólnego ideologicznego mianownika: kto nie jest z nami, jest przeciw nam. Stalinowska teza po raz kolejny stała się rzeczywistością, a odpowiedzieli na nią liczni donosiciele.

Likwidacja wszelkich przejawów niezgody, polowanie na piątą kolumnę odbywa się teraz pod sztandarem walki z rusofobią o mityczny „ruskij mir”. Wojna pobłogosławiła nową erę donosicielstwa.

Sam Chrystus ze swoimi niewczesnymi przykazaniami też mógłby podpaść. Pisać donosy na Chrystusa? Cemu nie? I może zostałby skazany, administracyjnie lub karnie, mimo rzekomej ortodoksji państwowej. Ale czy jest to pierwszy taki przypadek w historii? Coś podobnego wydarzyło się w Europie – w Niemczech – mniej więcej 90 lat temu.

Obecna era rosyjskiego donosicielstwa różni się od dawniejszych podobnych zjawisk w historii Rosji. Jesteśmy świadkami niewątpliwie degradacji moralnej mas, które zakochały się w obecnej propagandzie. Słynny donosiciel epoki Mikołaja, współczesny Puszkiniowi pisarz Jan Tadeusz Bulharyn, stał się symbolem przedrewolucyjnego donosicielstwa, uosobieniem moralnego zła.

Co więcej, Rosja wkroczyła w XX wiek nie tylko ze srebrnym wiekiem rosyjskiej sztuki, ale także z czarną sotnią, masowym antysemickim ruchem i nienawiścią do wolnej myśli, ze wsparciem ostatniego rosyjskiego cara.

Donosicielstwo w czasach sowieckich poprzedzało dzisiejsze donosy, ale z pewnym zastrzeżeniem. Nie bez powodu sowieckich donosicieli zaczęto nazywać kapusiami [stukaczami] – byli w jakiś sposób moralnie potępiani, byli wielomilionowym, ale marginalnym zjawiskiem. Prawda historyczna pozostawała po stronie tych, którzy zostali zadenuncjowani, a nie donosicieli, którzy zgłosili się na ochotnika lub zostali donosicielami pod batutą NKWD.

W naszych czasach moralne przyzwolenie na donosicielstwo dali sami ludzie, kiedy do tego dojrzel. Ci sami ludzie, którzy według liberalnych idealistów powinni być wyzwolonymi mieszkańcami pięknej Rosji przyszłości. Wyłuskiwanie jednego czy drugiego z dzisiejszych notorycznych donosicieli to niedoceniaenie skali katastrofy. Jeśli idole narodu mogą być poniżani przez sam naród, informator jest bardziej prawdopodobnym katem, wykonawcą oficjalnego wyroku za milczącą zgodą tłumu, który zawsze uwielbiał publiczne egzekucje, zwłaszcza ścinanie głów ludziom znanym.

Czy to oznacza, że wszyscy informatorzy są trybikami w maszynie państwowej?

Niekoniecznie. Ich krwiożerczość rodzi się nie tylko z istnienia dysydencji piątej kolumny, ale także z tego, że obecne pokolenie denuncjatorów lubi masowo donosić. Sądząc po najbardziej jaskrawych i najbardziej niepozornych przykładach donosicielstwa, od donosów na Ałłę Pugaczową i inne gwiazdy po wzywanie policji z powodu rozmowy podsłuchanej w piwiarni, donosiciele służą nie ojczyźnie, ale własnej osobowości, są oddani nie władzy, ale własnemu okrucieństwu, zamienili się w tajnych lub jawnych sadystów.

Historia państwa rosyjskiego nie idzie na marne. Podala nam na srebrnej tacy zarówno współczesne władze, jak i współczesnych ludzi. Rosyjski ruch protestu zasadniczo przegapił ewolucję ludzi lub po prostu odmówił jej analizy z powodu swoich utopii. Dostaliśmy to, na co zasłużyliśmy.

Czy można naprawić kanalizację i wyeliminować smród donosicielstwa? Prawdopodobnie można. Ale porzucenie utopii i iluzji zarówno przyszłej władzy, jak i ruchu protestu jest trudnym zadaniem, być może nawet trudniejszym niż wyjście z obecnej militarnej apokalipsy. ●

przeł. arp

***Wiktor Jerofiejew** – ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego powieść „Różowa mysz” (Wyd. Agora). Tytuł tekstu: „Wyborcza”

■
Tłum zawsze uwielbiał publiczne egzekucje, zwłaszcza ścinanie głów ludziom znanym

FOT. SHUTTERSTOCK

być pisemne lub ustne – wystarczy zadzwonić na policję.

Jednak wśród dziesiątków tysięcy zwykłych denuncjatorów, którzy donoszą z obowiązku sumienia lub licząc na pochwałę władz, są też prawdziwi mistrzowie.

Jednym z nich jest Witalij Borodin, który nie boi się pisać donosów na najbardziej znanych ludzi w Rosji, jeśli jego zdaniem sprzeciwiają się oni wyobrażeniom władzy o dobru i złu.

Borodin ma chwalebny biografię patrioty. Urodził się w 1983 r. w małej wiosce na południu Rosji, ukończył szkołę wojskową, był pracownikiem MSW. Potem zajął się biznesem, zostając dyrektorem ds. bezpieczeństwa ekonomicznego w firmie budowlanej. Jego wrogowie twierdzą, że w 2017 r. został przyłapany w Moskwie na sprzedaży kokainy, ale epizod ten nie miał dla niego przykrych konsekwencji.

Jest tegim mężczyzną o wylupia-
stych oczach, kiedyś uprawiał boks. Lu-

Izraela. Jej przeboje, zwłaszcza „Milion szkarłatnych róż”, są znane w całym kraju, przy jej piosenkach tańczyły całe pokolenia moich współobywateli.

Borodin nie był pierwszym, który próbował zdyskredytować gwiazdę. Była obrażana, zastraszana, robiono z niej pseudogwiazdę.

Zarzuty postawione przez Borodina to poważna sprawa. W naszym kraju wypowiedz dwa nieostrożne słowa na temat wojny – i już cię mają. Pod Ałłę została podłożona mina, która może wybuchnąć w każdej chwili.

Borodin, czując potrzebę krytykowania także młodszych niż Ałła idoli, zaatakował popularnego rosyjskiego aktora Danilę Kozłowskiego, nasz symbol seksu. Wyjechał on na jakiś czas do USA, a następnie wrócił do Rosji. Donosiciel głosił, że Kozłowski splukał się w USA i cynicznie wrócił, aby zarobić pieniądze w ojczyźnie. Kozłowski podał donosiela do sądu.

Donosicielstwo jest w dzisiejszej Rosji świętną dźwignią społeczną, ale

Ody pięć lat temu Chiny wystrzeliły sondę Chang'e 4 i łazika Yutu-2, które po raz pierwszy w historii wylądowały na ciemnej stronie Księżyca, nąglówki amerykańskich mediów wręcz krzyczały. „Washington Post” grzmiał o „nowym wyścigu kosmicznym”, który „Stany Zjednoczone sromotnie przegrywają”.

Na początku roku administrator NASA oraz były astronauta i senator Bill Nelson podgrzał atmosferę. Stwierdził, że USA muszą uważać, aby rywal nie zdominował księżycowych zasobów: „To fakt: znajdujemy się w trakcie kosmicznego wyścigu. Lepiej uważać, aby nie dotarli na Księżyc pod pozorem badań naukowych. Niewykluczone, że stwierdzą: Nie zbliżajcie się, to nasze terytorium”. A w maju w „El País” stwierdził: „Myślę, że dotrzemy tam pierwsi. Bardziej martwi mnie to, że oni i my zamierzamy wylądować na biegunie południowym, gdzie znajduje się woda”.

John Logsdon, emerytowany profesor i były dyrektor Instytutu Polityki Kosmicznej na George Washington University, przestrzega przed chwyliwym porównaniem do kosmicznej rywalizacji z czasów zimnej wojny. W tym wyścigu o Księżyc nie ma linii mety, czyli konkretnego celu. Nie chodzi o wysłanie pierwszej misji załogowej, po której można ogłosić sukces i zmniejszyć finansowanie programów kosmicznych, co miało miejsce po amerykańskich misjach Apollo. To rywalizacja o rolę hegemonu, którą USA utrzymują od II wojny.

Nie napawa optymizmem to, że autorytarne rządy ze swoją ciągłością przywództwa mają przewagę w ustalaniu planów oraz trzymaniu się ich. Dyktatura nie zmienia zdania i priorytetów co cztery lata wraz z kolejnymi wyborami.

Różnic między tym i zimnowojennym wyścigiem kosmicznym jest więcej. – USA technologicznie górują nad swoim głównym konkurentem – Chinami – znacznie bardziej niż kiedyś nad ZSRR. Równocześnie finansowanej ze środków publicznych inicjatywie NASA towarzyszy pewna liczba ambitnych, dotyczących lotów bezzałogowych, inicjatyw z innych państw, w tym także przedsięwzięć całkowicie prywatnych. Ostatnio mówi się także o możliwej bezzałogowej polskiej misji księżycowej – zauważa Bartosz Malinowski, pracownik Centrum Badań Kosmicznych PAN.

Podobnego zdania jest Kamil Muzyka, specjalista od prawa kosmicznego, patentowego oraz prawa robotów: – Rywalizacja zimnowojenna była wypadkową badań nad raketami balistycznymi, a opracowanie rakiet kosmicznych pozwoliło na umieszczanie urządzeń i stacji o znaczeniu badawczym, gospodarczym oraz militarnym na orbicie. Tutaj w grę bardziej wchodzi rywalizacja o gospodarcze wykorzystanie przestrzeni okołoksiężycowej.

Dwóch cenionych ekspertów Richard Harrison i Peter Garret-

son w wydanej w kwietniu książce „The Next Space Race: A Blueprint for American Primacy” (Następny wyścig kosmiczny: plan amerykańskiej dominacji) ocenia, że kulminacją planów Pekinu będzie strefa ekonomiczna łącząca Ziemię i Księżyc, która do roku 2050 może generować 10 bln dol. rocznie.

Trudno nie pomyśleć o słowach generała Niny Armagno, dyrektorki sztabu Sił Kosmicznych Stanów Zjednoczonych: – Całkiem możliwe, że mogą nas dogonić i prześcignąć. Postęp, jaki poczynili, jest oszałamiający.

Obecnie wyniesienie czegokolwiek z Ziemi na orbitę pozostaje niezwykle kosztowne. Citigroup szacuje jednak, że Księżyc będzie pierwszym pozaziemskim regionem, skąd będziemy wydobywać zasoby. Rynek do 2040 r. ma osiągnąć wartość 12 mld dol. rocznie.

A to dopiero początek. Bogactwo kosmicznych surowców odzwierciedla rozmiary Wszechświata – trudno je sobie wyobrazić. Przez niektórych analityków wyceniane jest na blisko 700 kwintylionów dol. (jedynka z 30 zerami). Z raportu NASA: „Oszacowano, że bogactwa surowców w pasie asteroid między orbitami Marsa i Jowisza dają ok. 100 mld dol. na każdego mieszkańca Ziemi”.

Górnictwo kosmiczne umożliwiłoby również wydobycie niezwykle cennych materiałów, które na Ziemi występują rzadko. Nie wspominając o innych ambitnych projektach jak bazy pozaziemskie, hotele, fabryki – zdaniem Ulricha Waltera, niemieckiego fizyka, inżyniera i astronauty, najpóźniej za pięć lat powstaną pierwsze kosmiczne miejsca noclegowe dla turystów. Walter przyrównuje obecną sytuację do pierwszych lat samochodów, na które mogli sobie początkowo pozwolić tylko najbogatsi. Jeszcze w latach 60. na przelot przez Atlantyk stać było niewielu.

Harrison i Garretson też uważają, że w ciągu pięciu lat mogą urzeczywistnić się pomysły dziś uznawane za science fiction: turystyka kosmiczna, tankowanie w przestrzeni kosmicznej, prywatne załogowe obiekty kosmiczne, śledzenie ruchomych celów z Kosmosu, nagrania wideo w wysokiej rozdzielczości z orbity, prywatne i komercyjne obiekty na jego powierzchni, 48-godzinne ostrzeżenia przed małymi asteroidami oraz budowa dużych platform w przestrzeni kosmicznej. A w ciągu piętnastu lat możemy doczekać się nowych rodzajów kosmicznych napędów jądrowych, pozyskiwania energii słonecznej dla rynków ziemskich czy wydobywania surowców z asteroid.

– Surowce są jednym z elementów wyścigu. Bazy przemysłowe, naukowe, radioteleskopy, LunaNet, czyli księżycowy system telekomunikacji – wszystko to przekłada się na zdolności militarne i gospodarcze państw lub ich bloków. Jednak to umiejętność pozyskiwania i wykorzystania surowców będzie kluczowa nie tylko dla samej gospodarki, ale też dla misji asteroidalnych, marsjańskich oraz demontażu złomu i szczątków kosmicznych – twierdzi Kamil Muzyka.



OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

KTO WYŻEJ, TEN LEPSZY

USA i Chiny grają o stawkę
nieporównywalną z niczym w historii

Kasper Kalinowski

Co poza surowcami interesuje USA i Chiny?

Kraj, który będzie kontrolował Księżyc, nie tylko zostanie wiodącym mocarstwem na Ziemi. Będzie miał również znacznie ułatwioną drogę do dalszej eksploracji Kosmosu.

– Nawet ważniejsze niż wykorzystanie surowców na potrzeby samej Ziemi może być pozyskiwanie na Księżycu materiałów pędnych i konstrukcyjnych na potrzeby zaopatrywania i budowy sztucznych satelitów Ziemi oraz dalszej eksploracji. Wyniesienie dowolnej masy z Księżyca wymaga wielokrotnie mniejszej energii niż wyniesienie z Ziemi. To znaczy, że obiekty orbitalne Ziemi mogłyby być taniej zaopatrywane w paliwo wytworzone na Księżycu i że obiekty na orbicie Ziemi mogłyby być znacznie większe niż obecnie. A duże obiekty orbitalne mogłyby produkować zaawansowane materiały na potrzeby Ziemi w korzystnych warunkach mikrogravitacji i łatwiej pozyskiwać energię słoneczną – wylicza Bartosz Malinowski.

A do Księżyca przymierzają się nie tylko Chińczycy. Także coraz liczniejsze podmioty prywatne zbliżają się do możliwości bezzalógowego lądowania, co oznacza, że niebawem uzyskają także możliwość lądowania załogowego. A że ich celem jest zarabianie, mogą się podzielić tą umiejętnością z politycznymi konkurentami Zachodu.

NASA od opracowywania konkretnych technologii po załogowe loty w Kosmos opiera się na współpracy. Chiny również mają sojuszników – przede wszystkim Rosję i członków Organizacji Współpracy Kosmicznej Azji i Pacyfiku, w tym Iran, Pakistan, Tajlandię i Turcję. Chińscy współpracownicy są jednak mniej liczni i mają znacznie mniejsze możliwości tworzenia innowacyjnych rozwiązań.

– Sieć sojuszników i wymiana technologii ma zasadnicze znaczenie. Jednym ze źródeł czołowej pozycji USA jest sieć powiązań z czołowymi instytucjami badawczymi i komercyjnymi. Waszyngton dysponuje blisko 170 umowami o współpracy w zakresie wymiany informacji, w tym z 33 państwami i organizacjami międzyrządowymi – wyjaśnia Paulina Uznańska, analityczka ds. gospodarki Chin w Ośrodku Badań Azji, Centrum Badań nad Bezpieczeństwem z Akademii Sztuki Wojennej.

Zdaniem Malinowskiego do pełnego wykorzystania przestrzeni kosmicznej nie wystarczą odgórne działania jakiegokolwiek instytucji publicznej, całego aparatu państwa ani nawet sojuszu państw.

– Państwo lub ich grupa odnieś sukces, jeśli po wstępnej stymulacji organizacyjnej, technologicznej czy finansowej pozwoli swojemu sektorowi prywatnemu wykorzystywać Księżyc i jego orbitę. Jeżeli to nie nastąpi, wyścig zakończy się jak ten w latach 60. i 70.

Szczegółowe informacje o naturze chińskiego programu kosmicznego są rzecz jasna trudne do zdobycia. Co wiemy?

W 2021 r. Chiny podjęły 55 startów orbitalnych. To o cztery więcej niż USA. Chodzi jednak nie o liczby, ale o to, co przenoszą rakiety. Zdecydowana większość, bo aż 84 proc. transportów, zawierała ładunki rządowe lub wojskowe. Zdaniem niektórych służące głównie do wywiadu elektronicznego i fotografowania. Tymczasem w Stanach 61 proc. startów było przeznaczonych do użytku niemilitarnego – akademickiego lub komercyjnego.

– Lecz USA wciąż mają przewagę w kluczowych obszarach. Pierwszym jest liczba aktywnych satelitów. Pod koniec 2022 r. wokół Ziemi krążyło 6718 satelitów, z czego 67 proc. należało do Amerykanów, a 9 proc. do Chińczyków. Drugi obszar to porty kosmiczne. Spośród około 20 czynnych centrów lotów kosmicznych na świecie Stany dysponują siedmioma portami na swoim terytorium i za granicą, a budują kolejne 13. Chiny są w posiadaniu czterech kosmodromów – w Jiuquanie, Taiyuanie, Xichangu oraz na wyspie Hajnan – i planują budowę dwóch, w Ningbo i Wenchangu. No i ChRL nie ma zad-

sił niemal 60 mld dol. Mimo że Chiny w ostatnich pięciu latach podwoiły wydatki, to w 2021 r. wydawały tylko nieco ponad 16 mld dol.

Skąd więc zachodnie obawy?

Jedną z kluczowych różnic między USA a Chinami jest sprecyzowanie celów oraz to, że pekiński reżim nie uznaje podziału na cele militarne i cywilne. To kraj, w którym plany realizowane są za wszelką cenę (o czym przekonało się wielu działaczy walczących o prawa człowieka czy mniejszości etniczne, np. Ujgurzy). Konkretnie kroki do osiągnięcia kosmicznej hegemonii zostały już określone. Teraz śledzimy ich realizację.

Jak ogłosił Xi Jinping, Chiny do 2045 r. mają się stać dominującą potęgą kosmiczną pod względem „ekonomicznym, dyplomatycznym i militarnym”. Wcześniejsze, wyznaczone do 2016 r. cele zawarte w białej księdze (czyli publikowanej co dwa lata diagnozie bezpieczeństwa Chin i planów rozwojowych) zostały w większości zrealizowane.

snych przedsiębiorstw za granicą – wylicza Kamil Muzyka.

A stworzony na podstawie ob- rad około 350 ekspertów amerykański raport „State of the Space Industrial Base” zauważa, że „Stanom Zjednoczonym brakuje jasnej i spójnej długoterminowej wizji, wielkiej strategii kosmicznej, która podtrzymywałaby przywództwo gospodarcze, technologiczne, środowiskowe, społeczne i wojskowe przez następne pół wieku i dłużej”. Autorzy apelują o wytworzenie ogólnonarodowego zapалу podobnego do tego z 1962 r. „Musimy wytyczyć ścieżkę na Księżyc, Marsa i dalej, która stworzy nadzieję i możliwości dla całej ludzkości. Tak jak Ameryka była latarnią nadziei dla milionów emigrantów w naszej przeszłości, Układ Słoneczny zapewnia nowe światy i nowe możliwości dla potencjalnie miliardów ludzi w przyszłości”.

A co z innymi? Wszak Indie i Japonia również wystrzeliły sondy księżycowe.

Kamil Muzyka: – Indie mimo niedawnej katastrofy lądownika

84 proc. chińskich transportów orbitalnych zawierało ładunki rządowe lub wojskowe.

W Stanach 61 proc. startów miało cel naukowy lub komercyjny

nych zagranicznych portów – wylicza Uznańska.

Na razie pozycja USA jako lidera wydaje się niezagrożona. – Jest tak dzięki trwającym od wielu dekad konsekwentnym nakładom na opracowanie technik transportu kosmicznego i lotów załogowych, robotyki kosmicznej, ogromnemu kapitałowi ludzkiemu i zainteresowaniu kapitału prywatnego, który potrafi przyciągać utalentowany personel oraz mobilizować istotne środki finansowe. Spółka SpaceX zatrudnia 9,5 tys. pracowników – to więcej niż połowa NASA, a jej konkurenci, w tym spółki Blue Origin, ULA i Rocketlab, są miejscem pracy dla tysięcy inżynierów i techników. Nie jest łatwo w krótkim czasie zreplikować tego rodzaju potencjał – wskazuje Malinowski.

Po stronie USA jest również budżet, który w 2021 r. wyno-

Chiny przygotowują się do przeprowadzenia misji księżycowych w ciągu ośmiu lat i wysłania dużych elementów wyposażenia baz już w latach 30. Ukończyły również budowę stacji kosmicznej – Niebiańskiego Pałacu. Gdy Międzynarodowa Stacja Kosmiczna przejdzie na emeryturę w 2031 r., mogą się stać jedynym krajem mającym tego rodzaju obiekt.

No i Chiny od dawna nie są ubogim krewnym wykradającym zachodnie technologie. Choć ich potencjał naukowy wciąż jest mniejszy od krajów zachodnich, nie powinniśmy go lekceważyć. – nadal stosują szpiegostwo przemysłowe, jednak to już dawno nie jest ta globalna fabryka-kopiar-ka. Mają własne instytuty, ośrodki badawczo rozwojowe, praktykują ochronę patentową na swoim terytorium oraz wspierają ubieganie się o ochronę patentową wła-

Chandrayaan-2 planują w tym roku umieszczenie lądownika i ląd- zika na Księżycu w ramach misji Chandrayaan-3 oraz misji eksploracji biegunów Księżyca.

Brazylia opracowała własną rakiętę, Iran umieścił pierwszego satelitę na orbicie, a Izrael rozwinął program kosmiczny, głównie w celach wywiadowczych. A Rosja...

No właśnie, Rosja – kosmiczny pionier, który po rozpadzie ZSRR i perturbacjach lat 90. może nie odzyskał dawnej pozycji, ale wrócił do gry.

– W związku z odcięciem od zachodnich komponentów po inwazji na Ukrainę tamtejszy przemysł kosmiczny doświadcza spowolnienia. Kolejne opóźnienia misji księżycowej Łuna-25 – lądownik ma być wystrzelony w lipcu, choć zapowiadano start już w 2021 r. – sygnalizują, że również projekty rosyjsko-chińskie mo-

gą zostać opóźnione lub wstrzymane – ocenia Paulina Uznańska. A Bartosz Malinowski zauważa, że Federacja Rosyjska w zasadzie utraciła ważny rynek usług wynoszenia w przestrzeń kosmiczną. Wystarczy wspomnieć, że rok temu rosyjską kosmonautkę Annę Kikinę na Międzynarodową Stację Kosmiczną musiała zabrać kapsuła Dragon 2 amerykańskiej prywatnej firmy SpaceX.

Ale to nie znaczy, że Rosja wróci na Ziemię. Współpraca, w której pełni funkcję państwa satelickiego, może leżeć w chińskim interesie. Najbardziej prawdopodobne jest udanie się Chin na Księżyc z niewielką pomocą Rosji. Ale potem to Chiny będą brały Rosję na barana, na przykład umieszczając jej ładunek lub kosmonautów na pokładzie swojego lądownika.

Nie powinniśmy mieć nadziei, że wyścig ureguluje prawo. Już z końcem XX w. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję mającą zapobiec wyścigowi zbrojeń w Kosmosie. Siłę jej oddziaływania można porównywać do reakcji ONZ na wojnę w Ukrainie czy prób zapobieżenia ludobój- stwu w Rwandzie, gdzie „błękitne helmy” wycofano w momencie, gdy były najbardziej potrzebne.

Już układ z 1967 r. gwarantował wolność wykorzystania Kosmosu, w tym Księżyca, wszystkim państwom oraz jego niezawłaszczalność jako terytorium, klarując, że przestrzeń kosmiczna jest dziedziną całej ludzkości, więc jej badanie i eksploatacja odbywa się w interesie wszystkich państw.

Lecz stawka jest zbyt wysoka, aby rządy respektowały takie zarządzenia – i nie w tym kierunku poszła wpływająca na wykładnię prawa praktyka państw. Przykład pierwszy z brzegu – nie wyobrażamy sobie, aby zachodnie satelitarne dane teledetekcyjne, prywatne i z satelitów wojskowych miałyby chronić interesy Rosji.

Do tego nie istnieje – a nawet gdyby istniał, to nie wiadomo, jak miałyby być egzekwowany – międzynarodowy zakaz wydobywania surowców kosmicznych ani ich zawłaszczania po wydoby- ciu, jeżeli zostaną przeniesione do miejsca podlegającego jurysdykcji jakiegos państwa i przestana być częścią przestrzeni kosmicznej. Dla przykładu: według polskiego prawa można nabyć przez zawłaszczenie własności opadłych na Ziemię meteoroidów, są one bowiem początkowo rzeczą niczyją.

– Zgodnie z przepisami międzynarodowego prawa kosmicznego państwa nie mogą wytyczać sobie suwerennych obszarów w przestrzeni kosmicznej czy na ciałach niebieskich ani sprawować nad nimi kontroli militarnej. Mogą natomiast udzielać zezwoleń na działalność w przestrzeni kosmicznej – w tym na astrogórnictwo, tworzenie fabryk i elektrowni orbitalnych czy rozstawianie megakonstelacji satelitów. A każdy sztuczny obiekt umieszczony w przestrzeni kosmicznej stanowi quasi-terytorium państwa, któremu podlega – wyjaśnia Kamil Muzyka.

Już 2,6 tys. lat temu Sun Tzu, autor docenianej do dziś „Sztuki wojny”, wskazywał, że najlepsze miejsce do prowadzenia walki to teren położony możliwie naj- wyżej. ●

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na [Wyborcza.pl/Jutronauci](https://wyborcza.pl/Jutronauci)

Gdy umysł ma władzę nad ciałem

CHORZY Z MIŁOŚCI

W londyńskim szpitalu, gdzie pracuję, codziennie spotykam pacjentów, którzy mają drgawki, tracą czucie w kończynach. I są to objawy wyprodukowane przez ich umysły.

Z BRYTYJSKĄ NEUROLOŻKĄ **SUZANNE O'SULLIVAN*** ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

W Szwecji dzieci zapadają w stan przypominający śpiączkę, w amerykańskim miasteczku Le Roy nastolatki nagle dostały drgawek, mieszkańców kazachskiej wioski dopadła epidemia niepohamowanego snu. Media mówią o „tajemniczej chorobie”. Pani twierdzi, że to żadna tajemnica, tylko choroby psychosomatyczne.

– A czasem wszyscy dobrze wiedzą, co się kryje u podłoża jakiegoś „zagadkowego” stanu, jednak z jakichś powodów to wyjaśnienie ich nie satysfakcjonuje.

Weźmy „śpiące” dzieci w Szwecji, które leżą, są karmione przez sondę, nie komunikują się. Niektóre w takim stanie, który nazywamy „syndromem rezygnacji”, trwają latami. Ale wszystkie te dzieci są dziećmi uchodźczymi, strauumatyzowanymi, a ich rodziny ubiegają się o prawo stałego pobytu i nie wiadomo, czym się to skończy. Przyczyna ich cierpienia nie jest więc tajemnicą. Mimo to ludzie wciąż używają tego słowa, kiedy mają do czynienia z objawami psychosomatycznymi.

Dlaczego?

– Bo bardzo trudno im uwierzyć, że umysł może mieć aż taką władzę nad ciałem. Przyspieszone bicie serca, spocone dłonie czy ból brzucha, kiedy jesteśmy zdenerwowani, można jeszcze zrozumieć. Ale już napady drgawkowe, paraliż czy utrata przytomności jako coś wygenerowanego przez psychikę nie mieści się w głowie.

Zaburzenia psychosomatyczne wciąż otacza aura niedowierzania. Skoro dana dysfunkcja nie ma wyraźnych biologicznych przyczyn, to pewnie pacjent albo pacjentka...

...symuluje?

– Otóż to! Co jest niesprawiedliwe i piętnujące. Tymczasem tego rodzaju zaburzenia są powszechne. W londyńskim szpitalu, gdzie pracuję, codziennie spotykam pacjentów, którzy mają drgawki, bywają nieprzytomni przez wiele godzin, tracą czucie w kończynach. I są to objawy wyprodukowane przez ich umysły. Jednak w książce zamiast na pojedynczych przypadkach postanowiłam się skupić na grupach osób, które doświadczyły zaburzeń psychosomatycznych. Uznałam, że ta perspektywa

będzie wartościowsza. Bo kiedy mamy do czynienia z jednostką, siłą rzeczy skupiamy się na jej stanie wewnętrznym, jej przeżyciach, historii. A przyglądając się grupie, możemy lepiej zobaczyć kontekst – środowisko, kulturę, tradycję – który ma ogromny wpływ na powstanie i przebieg choroby. W kontakcie z pojedynczym pacjentem ten kontekst jest często pomijany. Zupełnie niesłusznie.

Tak samo myśli znany kanadyjski lekarz Gabor Maté. Uważa, że każda choroba czy zaburzenie ma podłoże biologiczne, psychiczne i społeczne, jednak tak zwana zachodnia medycyna skupia się głównie na tym pierwszym aspekcie.

– Zgadzam się. Postęp technologiczny w medycynie dał nam fantastyczne możliwości namierzania biologicznych czynników odpowiedzialnych za chorobę. A z drugiej strony przez to, że jesteśmy tak biologicznie zorientowani, ignorujemy całą resztę, czym wyświadczamy pacjentom niedźwiedzią przysługę. Bo umysł, ciało i środowisko są ze sobą mocno powiązane. I każda choroba, czy jest to rak, cukrzyca, czy astma, poza komponentem biologicznym zawiera też komponenty społeczny i psychologiczny. Z zaburzeniami psychosomatycznymi jest dokładnie tak samo. Jednak wciąż nie traktujemy ich równie poważnie.

Podobno choroby psychosomatyczne nazywa się teraz „czynnościowymi zaburzeniami neurologicznymi”?

– Terminologia się zmieniła, choć jak pani zauważyła, trzymam się starej. Chodziło o to, żeby pozbyć się słowa „psychosomatyczny”, które wielu osobom źle się kojarzy, a tym samym zmniejszyć uprzedzenia wobec chorób na tym tle. Niektórzy uważają, że jeśli coś jest „psychosomatyczne”, to znaczy, że nie jest prawdziwym cierpieniem. Albo że osoba, która doświadcza takich zaburzeń, jest chora psychicznie. Nawet pacjenci czasem odbierają taką diagnozę jak obelgę.

Mnie te zmiany w nazewnictwie frustrują, bo niewiele w gruncie rzeczy zmieniają. Kiedyś drgawki o charakterze psychosomatycznym nazywaliśmy „histerią”, potem „atakami niepadaczkowymi”, „psychogennymi atakami niepadaczkowymi”, a następnie „drgawkami dysocjacyjnymi”. Czy przez to z większym zrozumieniem i współczuciem traktuje się pacjentów, którzy ich doświadczają? Nie wydaje mi się. Termin „czynnościowe zaburzenia neurologiczne” jest nijaki, w dodatku zaprzecza temu, że główną przyczyną tego rodzaju zaburzeń jest sposób, w jaki umysł, czyli „psyche”, i ciało, czyli „soma”, na siebie oddziałują. Zamiast zmieniać terminologię na bardziej neutralną, powinniśmy postarać się, żeby wszyscy zrozumieli, czym właściwie są zaburzenia psychosomatyczne.

A czym są? Jak to się dzieje, że umysł przejmuje władzę nad ciałem do tego stopnia, że pozbawia kogoś czucia w no-

dze albo wywołuje stan przypominający śpiączkę?

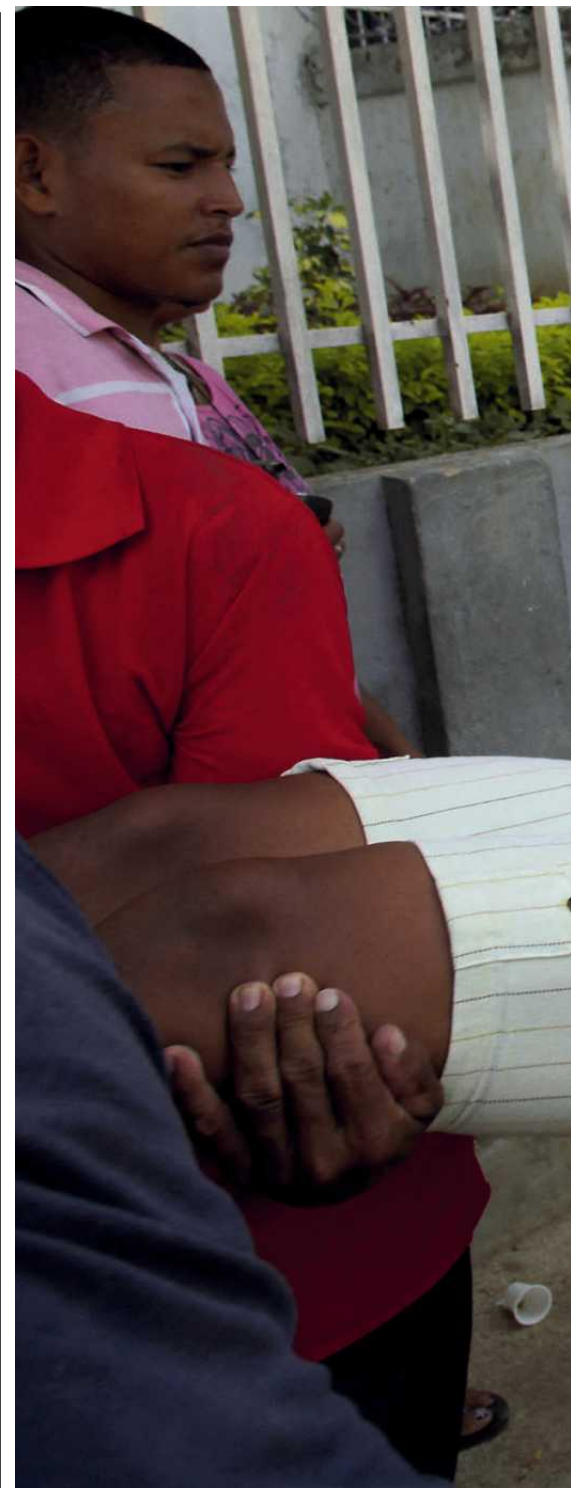
– Wszyscy na co dzień doświadczamy objawów psychosomatycznych, tylko ich nie zauważamy, bo nie byłibyśmy w stanie funkcjonować. Spędzamy więc dzieciństwo, ucząc się ignorować sygnały płynące z ciała, ten cały biały szum: tętno, które się ciągle podnosi i spada, zmiany w rytmie oddechu, drętwiejącą pupę, kiedy za długo siedzimy na krześle itd. Zdrowe ciało nie zaprzęta naszej uwagi. Chodzimy, rozmawiamy, oddychamy, nie myśląc o tym. Problem zaczyna się, kiedy w naszym otoczeniu albo w psychice wydarza się coś, co powoduje, że ta swobodna interakcja pomiędzy umysłem a ciałem się wykołaja. To nie musi być wcale trauma ani stres, choć to ważne wyzwalacze. To może być drobna rzecz, która sprawia, że człowiek nagle zaczyna bardzo zwracać uwagę na sygnały płynące z ciała. Warto podkreślić, że to regulowanie następuje nieświadomie. Nie jest niczyją winą.

Weźmy sportowców – mają świetną koordynację. Nie muszą myśleć o tym, co robią, bo robi to za nich ich pamięć mięśniowa. Ale jeśli piłkarz ma strzelić decydującego karnego na oczach 20 tysięcy ludzi, to z dużym prawdopodobieństwem nie trafi, ponieważ presja tłumu wpływa na zdolność koordynowania ruchów. Wystarczy postawić kogoś w sytuacji, w której musi skupić się na swoim ciele bardziej niż za zwyczaj, żeby stracił nad nim kontrolę przy braku jakiegokolwiek patologii.

A jak to możliwe, że nagle 168 dzieci zapada na „syndrom rezygnacji” albo 130 mieszkańców kazachskiej osady zakaża się „śpiącą chorobą”?

– Proszę zobaczyć, właśnie wyszliśmy z pandemii. Oczywiście SARS-CoV-2 to wirus. Ale nie chorowaliśmy wyłącznie dlatego, że się nim zakażaliśmy. Codziennie pochłanialiśmy niewiarygodną ilość informacji na ten temat, śledziliśmy statystyki śmierci, pilnie obserwowaliśmy nasze ciała pod kątem konkretnych symptomów. Kiedy na początku pandemii wchodziłam na oddział pełen pacjentów, to za każdym razem wydawało mi się, że mam gorączkę i źle się czuję. Testowałam się, ale testy wychodziły negatywne. Objawy były wywołane moim lękiem o zdrowie, który sprawiał, że bez przerwy monitorowałam swój organizm.

Podobnie dzieje się w społecznościach, które zbiorowo doświadczają zaburzeń psychosomatycznych. Zwykle ktoś choruje pierwszy. Ma objawy uznane za nietypowe. Inni zaczynają się sobie przyglądać. Jeśli społeczność znajduje się w trudnej sytuacji, jest pod presją, w jakimś zagrożeniu, objawy mogą być nieświadomie reprodukowane przez kolejne osoby. Nasze mózgi działają na podstawie przewidywania. Na przykład osoby, które panicznie boją się igieł, czekając na pobranie krwi, często czują ból, zanim igła przebije im skórę. Nasze oczekiwania co do tego, co nam się może stać, mogą tak bardzo przytłoczyć nasz



układ nerwowy, że będziemy mieć objawy bez żadnej choroby.

Twierdzi pani, że zaburzenia psychosomatyczne są jak język. Ciało poprzez objawy opowiada nam coś, czego dana osoba albo społeczność nie jest w stanie inaczej wyrazić. Widać to choćby na przykładzie grisi siknis, tak zwanej szalonej choroby, która dotyka ludzi z plemienia Miskito w Nikaragui.

– Grisi siknis należy do tak zwanych zespołów uwarunkowanych kulturowo, czyli specyficznych zaburzeń występujących tylko na danym obszarze albo w danej społeczności. Miskito są przekonani, że grisi siknis wywołuje zły duch, i stworzyli całą opowieść wokół tego, jak ta choroba przebiega i jak należy ją leczyć. Zaczyna się od halucynacji. Osoba zainfekowana widzi demona, zwykle mężczyznę w kapeluszu, a zaraz potem dostaje mdłości, drgawek, bywa agresywna. Kiedy wiele lat temu po raz pierwszy usłyszałam o tej chorobie, nie bardzo umiałam się do niej odnieść. Co prawda pochodzę z katolickiej Irlandii, gdzie też wierzy się w diabła, ale nie aż tak, żeby spotykać go na żywo. Początkowo myślałam więc, że to zabobon. Ale z czasem zrozumiałam, że grisi siknis jest czymś znacznie więcej. To kulturowo akceptowany sposób na wyrażenie tego, że się cierpi i potrzebuje pomocy, bez określania wprost, jakiego rodzaju ma to być pomoc. Sposób, który szczególnie przydaje się młodym kobietom, bo to one najczęściej zapadają na tę chorobę.

Taki sygnał SOS wysłany do otoczenia?

– Wysłany nieświadomie, ale na tyle jasny, że otoczenie reaguje natychmiast. Oso-



ba chora na grisi siknis otrzymuje ogromne wsparcie od społeczności. Kiedy wije się w konwulsjach, ludzie ją przytrzymują, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Opiekują się nią, podają sprawdzone specyfiki. Podejrzewam, że gdyby młoda kobieta biegła w kółko z nieprzytomnym wzrokiem po londyńskiej ulicy, a potem dostawała drgawek, reakcja byłaby zgoła odmienna. Natychmiast by ją gdzieś zamknęto. Napady drgawkowe w grisi siknis wyglądają tak samo jak napady drgawkowe o podłożu psychosomatycznym, które obserwuję u swoich pacjentów. Wie pani, co różni jednych od drugich? Większość moich pacjentów nie zdrowieje, natomiast ludzie z plemienia Miskito dochodzą do siebie praktycznie w 100 procentach.

Ważne jest też chyba to, że Miskito nigdy nie obwiniają chorych o chorobę. Chodzi się nie wstydzą.
– To jest kluczowe! Oczywiście nie sugeruję, żebyśmy teraz wszyscy zaczęli wierzyć w duchy. Ale na pewno wszyscy skorzystaliby na tym, gdybyśmy poszukali rozwią-

zań, które realnie wspierają chorych, akceptują to, że choroba jest poza ich kontrolą, a nie mówili im, że udają albo że sami na tę swoją chorobę zapracowali. Na razie jesteśmy bardzo dobrzy w obwinianiu osób, które cierpią. Widać to doskonale na przykładzie Le Roy.

W 2011 roku osiemnaście nastolatk, jedna po drugiej, dostały niekontrolowanych tików, drgawek, miały problemy z wysławianiem się.
– I od razu zaczęto szukać fizycznej przyczyny tego stanu. Dziewczęta poddano niezliczonym badaniom, a kiedy to nie przyniosło odpowiedzi, wyruszono na poszukiwania toksyny, która mogła wywołać chorobę. Kiedy i to wykluczono i na stole została tylko jedna diagnoza – zaburzenia psychosomatyczne – zabrano się do prześwietlania życiorysów dziewczyn. A może to przez napięte stosunki w rodzinie? Może przez nieobecnych ojców? Kłopoty z chłopakami? Biedę? Wreszcie – a może ma to związek z napięciem seksualnym? Na marginesie, jest to dość typowe myśle-

nie, kiedy ofiarami zaburzeń psychosomatycznych stają się młode kobiety.

Sytuację dziewcząt pogorszyły także media, które rozdmuchały temat tak, że u niektórych objawy się nasiliły, a u kolejnych – rozwinęły. Jaką rolę odgrywają media, szczególnie społecznościowe, w rozprzestrzenianiu się chorób psychosomatycznych?
– Jakiś czas temu dowiedziałam się, że przez to, iż bardzo popularna influencerka z zespołem Tourette’a pokazywała na swoim profilu na TikToku tiki charakterystyczne dla tego zespołu, nastąpił wzrost liczby osób zgłaszających podobne objawy. Nie zaskakuje mnie to, ponieważ zaburzenia psychosomatyczne są zaraźliwe. W XIX wieku w Paryżu wybuchła wielka epidemia hysterii. W XVI wieku w Strasburgu mieliśmy plagę taneczną. Kilkaset osób tańczyło w niekontrolowany sposób, a niektóre robiły to przez wiele dni bez ustanku, co skończyło się dla nich tragicznie. Jednak dawniej te epidemie ograniczały się do jednej ulicy, dzielnicy, szkoły czy zakonu. Dziś,

• **Carmen de Bolivar, Kolumbia.**
W 2014 roku wśród nastoletnich dziewcząt wybuchła „tajemnicza” epidemia. Jedne dziewczyny mdlały, inne miały konwulsje, jeszcze inne – kłopoty z widzeniem. Choroba szybko się rozprzestrzeniła i jak się szacuje dotknęła aż tysiąc dziewcząt. W 2015 roku lokalny Narodowy Instytut Zdrowia orzekł, że doszło do przypadku zbiorowej choroby psychogenicznej, czyli jak mawiano dawniej- zbiorowej hysterii. Jednak mieszkańcy Carmen de Bolivar, którzy nie ufali rządowi, odrzucili tę diagnozę i uznali, że przyczyną choroby była szczepionka przeciwko HPV

FOT. JOAQUIN SARMIENTO / AFP

między innymi dzięki mediom społecznościowym, mogą się roznieść z jednego końca świata na drugi. Nie powiedziałabym jednak, że przez to przypadków jest więcej. Po prostu rozprzestrzenia się to inaczej. Tym, co naprawdę mnie niepokoi, jest sposób, w jaki media relacjonują tego typu zdarzenia. Dziennikarze powtarzają w kółko słowo „tajemniczy”, co rodzi sensację. Zresztą większość mediów z góry odrzuca hipotezę o zaburzeniu psychosomatycznym, nawet jeśli potwierdzi ją wielu lekarzy.

Bo wtedy sensacja się kończy.

– I tak też się stało w Le Roy. Lekarze wykonali naprawdę dobrą robotę. Ale kiedy w końcu postawili diagnozę o zaburzeniu psychosomatycznym, media ją zakwestionowały. Podały w wątpliwość ich kompetencje, uczciwość, nakręcały podejrzenia o rzekomym skażeniu środowiska. A pacjentom w takich okolicznościach jest znacznie trudniej dojść do zdrowia.

Co pani zdaniem się wydarzyło w Le Roy?

– Najprawdopodobniej jedna z dziewczyn, pacjentka zero, miała zespół Tourette’a. Pacjent zero zwykle ma jakieś zaburzenie, która wzbudza niepokój w grupie i powoduje, że jej członkowie zaczynają się sobie bacznie przyglądać, co z czasem prowadzi do rozwinięcia się podobnych objawów. Tu mieliśmy grupę nastolatk. Młodzi ludzie są szczególnie narażeni na epidemie zaburzeń psychosomatycznych, bo reagują bardziej emocjonalnie niż racjonalnie. Są wyczuleni na to, jak postrzegają ich inni, przejęci swoimi ciałami i bardziej podatni na sugestie. Dlatego ogniska zaburzeń psychosomatycznych często wybuchają w szkołach, internatach, na obozach. W takiej sytuacji należy przede wszystkim spróbować łagodzić niepokój wokół tego, co się dzieje. Lekarzom w Le Roy się to ostatecznie udało pomimo medialnej nagonki. Dziewczęta wyzdrowiały.

Wiele społeczności jednak odrzuca hipotezę o zaburzeniu psychosomatycznym. Mieszkańcy kazaskiej wsi uwierzyli, że chorują przez toksyczny wyciek ze starych kopalni. Społeczność z Carmen de Bolivar w Kolumbii była przekonana, że ich nastolatki tracą przytomność i dostają konwulsji przez szczepionkę przeciwko HPV.

– Wszystkie społeczności, które odwiedziłam, może poza Le Roy, odrzuciły diagnozę o zaburzeniach psychosomatycznych. Powody są różne. Głównym są stereotypy, utożsamianie tego rodzaju zaburzeń z udawaniem albo z szaleństwem, o czym mówiłam. Ale czasem ludzie odrzucają diagnozę, ponieważ nie chcą albo nie są w stanie skonfrontować się z tym, co tak naprawdę wywołało objawy. Wolą uznać, że to toksyna, szczepionka, wirus niż jakiś psychologiczny czy społeczny stresor. Dziewczynki z Carmen de Bolivar, gdy zachorowały, były wyzywane od wariatek, seksualnych fru-

Gdy popularna influencerka z zespołem Tourette’a pokazywała na TikToku charakterystyczne tiki, nastąpił wzrost liczby osób zgłaszających podobne objawy. Nie zaskakuje mnie to

strateg, niektóre zamykano w szpitalu psychiatrycznym. Sugestia, że przyczyna może być psychosomatyczna, brzmiała dla nich jak kolejna obelga, a nie rozwiązanie, więc nie dziwię się, że ją odrzucono. Ale już na przykład mieszkańcom kazaskiego miasteczka Kalaczi odrzucenie diagnozy o psychicznym podłożu sennej epidemii pomogło rozwiązać życiowy problem, którego nie byli w stanie rozwiązać samodzielnie.

Wy tłumaczy pani?

– Kiedy w Kalaczi działały kopalnie uranu, miasteczko tętniło życiem. Ale po tym, jak surowiec się wyczerpał, życie się skończyło. Z kilku tysięcy mieszkańców zostało ledwie kilkaset, budynki mieszkalne podupadły, z czasem odcięto wodę. Krajobraz przypominał dystopijne filmy, jednak ci, którzy tam zostali, nie chcieli wyjeżdżać. To wciąż było ich miejsce na ziemi. Aż przyszedł rok 2013 i pojawiła się ta dziwna epidemia. Gdyby pogodzili się z diagnozą o zaburzeniu psychosomatycznym, pewnie dość szybko by doszli do siebie.

Ale trochę nie o to chodziło?

– No właśnie. Tylko o to, żeby ktoś wsłuchał się w ich objawy i znalazł odpowiednie rozwiązanie. A tym rozwiązaniem była wyprowadzka do większego miasta obok, gdzie były woda i prąd i można było zacząć życie od nowa. Mieszkańcy Kalaczi nie potrafili się na to zdecydować i w jakimś sensie choroba psychosomatyczna załatwiła to za nich. I mimo że na początku nic, naprawdę nic, nie wskazywało na skażenie środowiska, ostatecznie uznano, że choroba została wywołana przez toksyczny wyciek z dawnych kopalni uranu. Mieszkańcom zorganizowano przeprowadzkę do większego miasta i wtedy dopiero zaczęli zdrowieć.

Napisala pani, że senna epidemia z Kalaczi jest opowieścią o utraconej miłości. Ktoś inny musiał podjąć decyzję o rozstaniu, bo dla zakochanych w swoich mieście mieszkańców okazało się to niemożliwe.

– Wie pani, na początku w ogóle nie mogłam uwierzyć w tę miłość. Przed wyjazdem do Kazachstanu oglądałam zdjęcia Kalaczi i zachodziłam w głowę: co oni w nim widzą? Wypalone, suche trawniki, zdewastowane budynki bez okien, opustoszałe place zabaw. Ale kiedy tam przyjechałam, zaczęłam rozumieć tę opowieść o raju. Mieszkańcy mieli tam kiedyś naprawdę fascynujące życie. Miasto miało świetną infrastrukturę, sklepy były wspaniale zaopatrzone. Ludzie się znali, byli blisko, wychowywali razem dzieci. Mieli z tym miejscem związanych wiele pięknych wspomnień, więc nawet kiedy podupadło, dla nich wciąż było rajem. Długo liczyli na to, że odzyska dawną świetność, a kiedy stało się jasne, że to nie nastąpi, potrzebowali czegoś, co pomoże im je opuścić.

Pomyślałam teraz o jeszcze jednym powodzie, który może sprawić, że wielu osobom trudno się pogodzić z informacją o zaburzeniu psychosomatycznym. Chorobę o podłożu fizycznym wiadomo, jak leczyć, a to?

– To prawda. Kiedy przychodzą do mnie pacjenci z napadami drgawkowymi, są dwie możliwości. Albo mają padaczkę, albo napady są na tle psychosomatycznym. I zanim przeprowadzimy odpowiednie badania, często słyszę: „O rany, to ja już wolę mieć padaczkę. Bo wtedy wezmę leki i już”.

Leczenie zaburzenia psychosomatycznego może być trudne, ale dużo zależy od etapu, na którym się je podejmuje. I od nastawienia. Zdarza się, że pacjenci, którzy doświadczają napadów silnych napadów drgawkowych na tle psychosomatycznym, po dokładnym wytłumaczeniu, na czym to zaburzenie polega, oraz niewielkiej pracy nad zmianą interpretacji objawów (na przykład, że nie każde przyspieszone bicie serca jest zwiastunem ataku) szybko zdrowieją. Niestety, wiele osób dostaje właści-

wą diagnozę dopiero po wielu latach tulańia się po lekarzach, badań, prześwietleń itd. Niektórzy przez ten czas stają się częściowo bądź całkowicie niepełnosprawni, zmieniają swoje życie, adaptując je do tej niepełnosprawności. Czasem rezygnują z pracy. W takiej sytuacji leczenie może się okazać niezwykle trudne, a czasem nie przynosi żadnych efektów.

Na czym polega?

– Kiedyś opierało się wyłącznie na interwencjach psychiatrycznych, psychoterapeutycznych. Dziś wiemy, że to nie wystarczy. Pacjenci potrzebują również fizycznej rehabilitacji.

Jak ocenia pani szanse na wyzdrowienie śpiących dzieci w Szwecji? Niektóre z nich tkwią w tym stanie po kilka lat.
– Dziewczynki, które spotkałam kilka lat temu, wówczas dziesięcio- i jedenastoletnia, już się „obudziły”. Któregoś dnia po prostu poczuły się lepiej. Starsza, która była w dużo lepszym stanie, funkcjonuje normalnie, chodzi do szkoły. Natomiast młodsza, która była całkowicie nieresponsywna, też wróciła do szkoły, ale wciąż nie mówi. Lekarze zajmujący się „śpiącymi dziećmi” twierdzą, że te,

W winnych kulturach ludzie mogą się czuć tak samo jak my, mieć te same objawy, ale postrzegać to, co się z nimi dzieje, nie jako problem medyczny, ale jako reakcję na konkretną sytuację

które wychodzą z tego stanu, w pełni zdrowieją. Ja mam jednak wątpliwości. Niektóre praktycznie cały okres dojrzewania spędziły w tym stanie. To musi zostawić ślad.

Co jest kluczowe w ich zdrowieniu?

– Większość zaczyna zdrowieć, kiedy rodzi na dostaje prawo stałego pobytu. Ale najważniejsze jest moim zdaniem przywrócenie tym dzieciom jakiegokolwiek nadziei.

W 2016 roku pracownicy ambasady amerykańskiej i kanadyjskiej w Hawanie zaczęli zgłaszać niepokojące dolegliwości: bóle głowy, problemy z koncentracją, szumy uszne. Potem podobne objawy pojawiły się u pracowników innych amerykańskich placówek dyplomatycznych na świecie. Ofiarą tak zwanego syndromu hawańskiego padło w sumie ok. 200 osób. Wśród hipotez o przyczynach najbardziej nośna była ta o broni dźwiękowej, którą rzekomo miały użyć obce siły. Co wiemy dziś?

– Dosłownie kilka dni temu ukazał się oficjalny raport amerykańskich agencji wywiadowczych, który jednoznacznie wykluczył użycie broni dźwiękowej. Niestety, wiele osób, które zachorowały, nie czuje się wcale lepiej. Wciąż mają objawy, poddają się kolejnym badaniom. Problem jest taki, że część z nich stara się o odszkodowanie. A jeśli ktoś musi udowodnić przed sądem, że jest chory, znacznie trudniej mu będzie zdrowieć, prawda? Mam poczucie, że ci ludzie znaleźli się teraz w potrzasku. Przez ponad sześć lat wierzyli, że na skutek użycia broni dźwiękowej doznali urazu mózgu i są częściowo niepełnosprawni. Powiedzenie sobie po takim czasie, że te objawy mają podłoże psychosomatyczne, byłoby równoznaczne ze stwierdzeniem, że ostatnie sześć lat było kompletną stratą czasu. Dlatego obawiam się, że wiele tych osób

odrzuci wnioski raportu. I będzie brnąć dalej w teorię o broni dźwiękowej.

Ale czy to w ogóle nie jest problem z diagnozą? Z jednej strony ludzie potrzebują wiedzieć, co im dolega. A z drugiej – istnieje niebezpieczeństwo, że diagnoza stanie się częścią ich tożsamości.

– Dlatego nieopokoi mnie, że coraz częściej traktujemy każde ludzkie cierpienie w kategoriach medycznych. W jakimś sensie łatwiej jest dziś powiedzieć: „Mam depresję”, niż na przykład: „Jest mi bardzo smutno i czuję niechęć do życia, bo jestem niezadowolona ze swoich wyborów”. Depresja to konkret. Wiadomo, co trzeba zrobić. Poczucie smutku i przygnębienia nie wzbudza takiego samego współczucia. Trudniej jest też uzyskać pomoc. Tak jak pani zauważyła, problem, i to poważny, robi się wtedy, kiedy człowiek zsywa się z diagnozą. Staje się na przykład „człowiekiem z depresją” czy „człowiekiem z zaburzeniem lękowym” i doszukuje się w sobie kolejnych charakterystycznych dla tej choroby objawów. Uważam, że powinniśmy być ostrożniejsi w etykietowaniu różnych stanów i dolegliwości, ponieważ ludziom łatwo jest, znów nieświadomie, uczynić z choroby trwały aspekt życia.

Czy to przypadkiem już się trochę nie dzieje? Wzrost osób z rozpoznaniem różnych zaburzeń, jaki nastąpił w ostatnich latach, jest ogromny. Przyczyny są bardzo złożone, ale być może jedną z nich jest nadmierna medykalizacja?

– Wydaje mi się, że staliśmy się tak perfekcjonistycznym społeczeństwem, że coraz trudniej jest nam zaakceptować to, że mamy jakieś ograniczenia. W czymś jesteśmy świetni, w czymś innym tacy sobie, a jeszcze w czymś innym kiepscy. Od razu musimy te nieidealne części posadzać w jakieś medyczne szufladki – jak ADHD albo spektrum autyzmu. Na krótką metę diagnoza może przynieść ulgę. Ale zastanawiam się, jak wpływa na nasze zachowania, wybory, na to, jak siebie postrzegamy i jak postrzegają nas inni, w dłuższej perspektywie. Nie martwi mnie tak bardzo, jeśli ktoś dostaje diagnozę na przykład ADHD w wieku lat czterdziestu. Ale bardzo martwi, kiedy niemal każde dziecko, które jest słabo zorganizowane, rozkojarzone czy wycofane, dostaje taką etykietkę.

Bo kto wie, jak to ograniczy je w przyszłości? Być może uzna, że skoro ma ADHD, to jakiegoś zadania się nie podejmie, bo sobie nie poradzi. Albo skoro jest w spektrum, to nigdy nie będzie towarzyskie. Cechy, z których część tych dzieci w innych okolicznościach by wyrosła, pod ciężarem diagnozy mogą się utrwalić.

Jest jeszcze druga strona medalu. Diagnozowanie na szeroką skalę może być też problematyczne dla osób z ciężką postacią zaburzeń. Z ciężkim ADHD, autyzmem czy depresją, z którymi nie da się w pełni funkcjonować. Powszechność rozpoznania w jakimś sensie umniejsza cierpienie tych osób, może też ograniczyć im na przykład dostęp do leczenia. Podobnie jest moim zdaniem z depresją czy z zaburzeniami lękowymi. Kryteria diagnostyczne stały się tak pojemne, że zbyt łatwo się je diagnozuje. Rozumiem to, bo jeśli ktoś się czuje potwornie przybity i szuka pomocy, a nie ma oficjalnej diagnozy depresji, to co ma ze sobą zrobić? Pójście do lekarza czy do psychologa i otrzymanie diagnozy jest jakimś wyjściem. Jednak wierzę, że bardziej przyśłużylibyśmy się ludziom, gdybyśmy pozwolili im po prostu mówić: „Jest mi źle, potrzebuję wsparcia”. I dali im je niekoniecznie od razu w pakiecie z diagnozą. Poza tym proszę pomyśleć, jeśli w którymś momencie każdy będzie miał jakąś diagnozę, to klasyfikacja zaburzeń traci sens. Mam wrażenie, że trochę się zapędziliśmy.

Rozumiem, że kwestionując zasadność diagnozy, w żadnym przypadku nie kwestionuje pani tego, że ludzie cierpią?

– Oczywiście, że nie neguję cierpienia! Nie sugeruję też, że powinniśmy odebrać ludziom wsparcie, które dostają. Sprzeciwiam się tylko szufladkowaniu każdego cierpiącego.

Jestem przekonana, że możemy pomagać, stosować interwencje psychologiczne, psychiatryczne i inne, niekoniecznie za każdym razem przypisując ludziom nazwę konkretnego zaburzenia czy choroby. Po to właśnie, żeby nie utknęli w diagnozie i nie tracili sprawczości.

My, praktycy zachodniej medycyny, często mamy poczucie wyższości. Uważamy, że nasze podejście do leczenia zaburzeń na tle psychicznym jest najlepsze, bo mamy klasyfikację zaburzeń, wszystkie te wymyślne kategorie i dostęp do zaawansowanych badań. W rzeczywistości nasze praktyki nie odzwierciedlają tego, jak traktuje się tego rodzaju zaburzenia w większości społeczeństw na świecie. W innych kulturach ludzie mogą czuć się tak samo jak my, mieć te same objawy, które my mamy, ale postrzegać to, co się z nimi dzieje, zupełnie inaczej. Na przykład nie jako problem medyczny, ale jako reakcję na konkretną sytuację. Może czasem warto nabrać pokory, zobaczyć, jak robią to inni, i wyciągnąć wnioski, zamiast w arogancki sposób zakładać, że nasza perspektywa jest jedyną właściwą.

Przypomina mi to historię o tym, co się wydarzyło, kiedy w wybrzeże Sri Lanki uderzyło tsunami. Opisuje ją pani w książce.

– To niezwykle ciekawa ilustracja do tego, o czym właśnie powiedziałam. Na Sri Lankę wysłano zespoły psychologów i lekarzy z Zachodu, żeby wsparli lokalnych mieszkańców. Założenie było takie, że lokalna ludność jest pogrążona w żalobie i zapewne potrzebuje przegadać to, co się stało. Tymczasem okazało się, że miejscowe dzieci już następnego dnia chcą iść do szkoły, a ich bliscy wrócić do swoich obowiązków jak gdyby nigdy nic. Specjalistom z Zachodu wydało się to podejrzan.

W sensie, że Lankijczycy wypierają to, co się stało?

– Tak. Cały czas próbowano narzucić im swoją perspektywę. Nie biorąc pod uwagę, że mogą istnieć skuteczne sposoby radzenia sobie z problemami inne niż ich obgadywanie.

Psychologowie sądzili, że społeczność jest ciężko doświadczona przez historię – konflikty zbrojne, będę – i że poza przeżyciami związanymi z tsunami na pewno nęka je wiele innych niezłatwionych problemów.

– Podczas gdy Lankijnczycy uważali, że jest odwrotnie i że trudne doświadczenia ich wzmocniły oraz uczyniły psychicznie odpornymi.

Jak pani myśli, jak lekarz praktykujący zachodnią medycynę potraktowałby pacjenta z grisi siknis?

– Tacy pacjenci czasami trafiają do szpitali w Nikaragui. Zwykle ich stan się wtedy pogarsza, bo interwencje medyczne, którymi są poddawani – zastrzyki, prześwietlenia, tomografie – są przez nich odbierane jak atak na ich ciało, a także na cały ich system wierzeń. Dlatego ludzie z plemienia Miskito wiedzą, że mają omijać zachodnich lekarzy szerokim łukiem. ●

SUZANNE O'SULLIVAN

● to światowej sławy brytyjska neurolożka i naukowiec. Pracowała w Szpitalu Królewskim w Londynie, jest specjalistką w National Hospital for Neurology and Neurosurgery oraz w Towarzystwie Epileptologii. Ma ogromne doświadczenie w pracy z pacjentami psychosomatycznymi. Jej książka „Śpiące królowy. Tajemnicze przypadki ze świata neurologii.” ukazała się nakładem wyd. Znak Literanova (tłum. Jan Dzierzgowski)

Po trzech pierwszych to-
mach Nienackiego stać
na dom. Pod koniec cyklu
jest wśród najbogatszych
polskich twórców

Małgorzata I. Niemczyńska

L bigniew Nienacki spotyka Edwarda Stachurę. Brzmi jak z dowcipu? Zdarzyło się naprawdę.

Jest koniec lat 70., autor „Pana Samochodzika” wyrobił już sobie renomę jednego z najpoczytniejszych pisarzy dla młodzieży, a rzesze wielbicieli – i kompleks niespełnionego twórcy dla dorosłych. Chciałby być Tolstojem.

Ceni sobie swój zawód, jego elitarność. Uprawianie literatury uważa za prestiż. Wytyka Stachurze, że to nie wypada, by poeta chodził obdarty, wiódł żywot wagabundy.

Stachura uśmiecha się ciepło i mówi łagodnie: „Panie Zbigniewie drogi, kocham i szanuję pana bardzo, ale doprawdy nie o to chodzi w poezji i twórczości, jak będziemy się ubierać i gdzie mieszkamy”.

Nienacki o sobie: „Nie należę do ludzi, których można polubić od pierwszego wejrzenia, nie jestem na co dzień, jak to się mówi, sympatyczny”.

Jego dom na Mazurach to twierdza. Stoi na skarpie nad Jeziorakiem z dala od innych zabudowań wsi Jerzwałd. Do najbliższej stacji kolejowej kilkadziesiąt kilometrów. Z dwóch stron gęsty świerkowy las, z trzeciej kanał, a od strony jeziora – bagna. Po podwórku przechadzają się potężne dogi, w okna pisarz wstawił kraty.

W domu Nienacki trzyma strzelbę i pistolet, z posiadaniem broni chętnie się obnosi. Swoją P-64 potrafi położyć na stole w czasie zebrania w Związku Literatów Polskich, jakby próbując zrobić wrażenie na obecnych. Ma pozwolenie, bo należy do ORMO.

Jako ochotniczy pomagier milicji najpierw był tzw. społecznym inspektorem ruchu drogowego. Teraz zasadza się na klusowników, zwalcza nielegalną wycinkę choinek. Gorzej, że popiera stan wojenny. Firmuje swoim nazwiskiem Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, uczestniczy w pierwszym posiedzeniu jego Tymczasowej Rady Krajowej. Po przełomie 1989 roku będą przez to problemy z nadaniem jego imienia ulicy w Olsztynie.

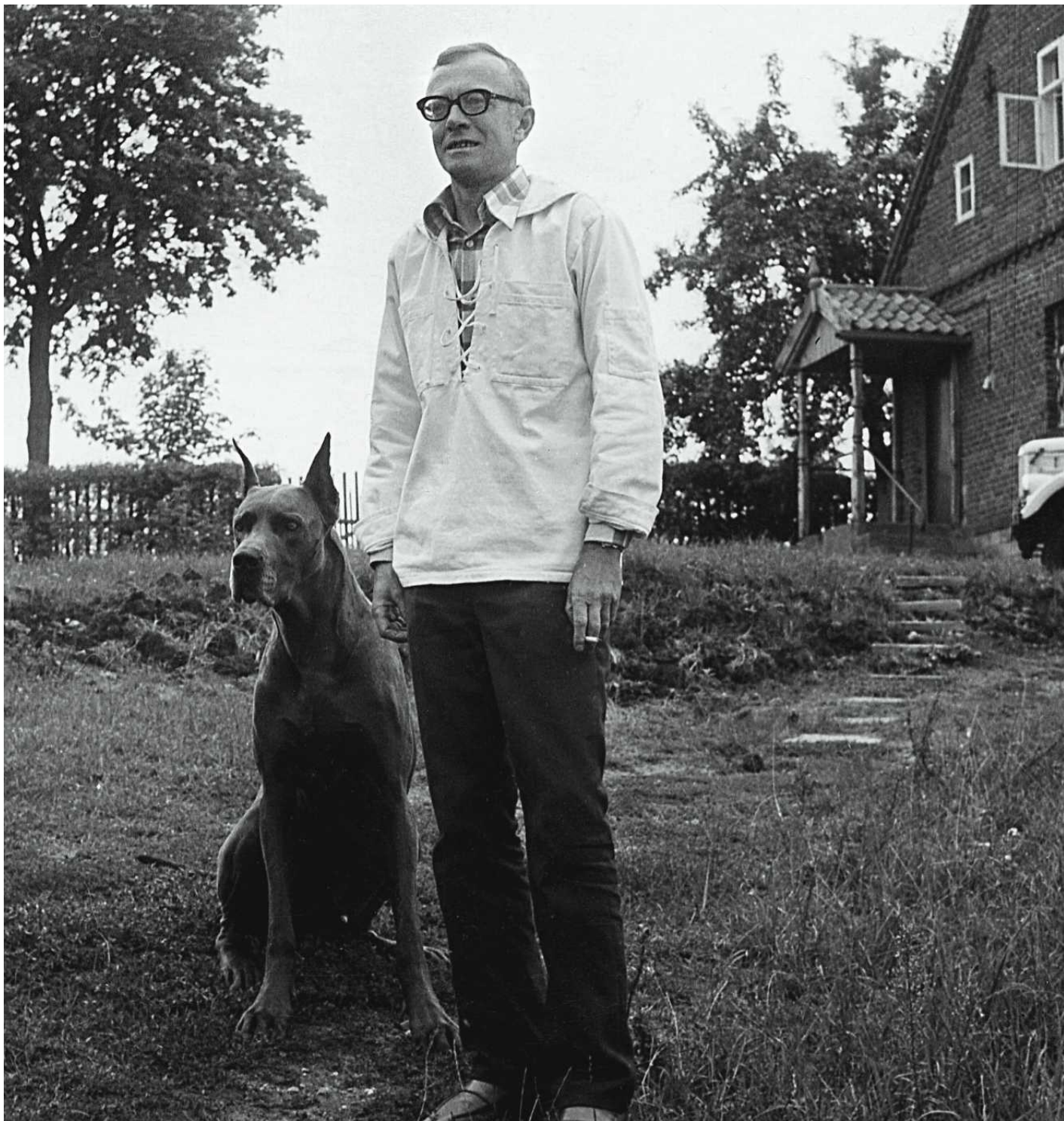
Dla młodych pisarzy z regionu Nienacki – chociaż ich promuje, pomaga w debiutach – to „partyjny beton”. Legitymację ma od 1962 roku, a więc wstąpił do PZPR w wieku chrystusowym.

Żonę z synem zostawił w Łodzi, odwiedzają go czasem. W jednym z wywiadów mówi, że wyprowadził się na wieś z powodu antysemitkiej nagonki w 1968 roku, bo Helena ma żydowskie pochodzenie. Ale dom kupił rok wcześniej, a przeniósł się sam.

Od jakiegoś czasu mieszka z nim Alicja, młodsza od pisarza o przeszło 20 lat. Jeszcze jako nastolatka – dodajmy: bardzo atrakcyjna – spędzała z przyjaciółmi wakacje na Mazurach. Nienacki wypatrzył ją z tarasu knajpy, do której chadzał na obiady. Zaprosił do siebie. Podał jej herbatę w brudnej szklance, pykał fajkę i mówił, że jest rolnikiem. Nie uwierzyła. Przypuszczała, że szpiegiem.

Kiedy zaczęła u niego pomieszkować, jej rodzice próbowali robić sceny. Ale skończyło się, jak się skończyło. Przeżyją razem 24 lata, aż do jego śmierci. Przy ludziach mówią do siebie „pan”, „pani”. Pisarz nigdy się nie rozwieździe.

Bratanica Nienackiego pamięta, jak zaprosił ją raz z rodzicami na wakacje, ale kiedy przyjechali, stwierdził, że nie ma jednak ochoty na gości. Musieli wynająć pokój



FOT. EAST NEWS

Przed premierą serialu Netflixa

PAN SAMOCHODZIK i literat znad jeziora



u sąsiadów. Tego lata jej ojciec ciężko chorował i niebawem zmarł.

„W mojej rodzinie – Magdalena Nowicka powie po latach – uważa się, że Zbigniew Nienacki odszedł w taki sposób, w jaki żył: pozostawiając za sobą masę nieporozumień, nieuregulowanych spraw i wzajemnej niechęci między bliskimi osobami”.

Stop. To nie tak miało być. Chodziło o miły tekst o Nienackim z okazji nowego serialu na podstawie „Pana Samochodzika i templariuszy”. Wszyscy przecież te książki kochamy, a przynajmniej mamy do nich sentyment. Co kogo obchodzi, że autor był mniej fajny?

Znowu będzie, że myślimy anachronicznie, bo kilkadziesiąt lat temu brzmiało to inaczej, gdy mówił: „Ostatnio modne jest seksualne molestowanie kobiet. Co to znaczy? Nie wyobrażam sobie, żeby kobiety nie molestować. To niemolestowane powinny raczej ubolewać, że nikt się nimi nie interesuje”.

Ale czy te kilkadziesiąt lat temu podobne słowa naprawdę nikogo nie raniły?

Helena Rybaczuk, bibliotekarka z Jerzwałdu, opowiadała: „Chciał wieś uświadamiać seksualnie. Kiedyś po zebraniu Związku Młodzieży Wiejskiej zaprosił nas, młodych, do siebie. Dał nam wykład o seksie, czytał fragmenty z encyklopedii. Wie-

dział, że mamy się pobrać z mężem, więc sugerował, że zanim będę jego żoną, powinienam najpierw z kimś spróbować. Siebie miał na myśli”.

Dobrze, że Pan Samochodzik chociaż był szarmancki, a zdaniem niektórych – względem kobiet wręcz „pierdolowaty”. Autor, o ironio, chyba go uważał za własne alter ego, bo dał mu swoje drugie imię: Tomasz.

„Pan Samochodzik” to przydomek nadany mu w „Wyspie Złoczyńców” przez harcerzy-pomagierów. Od auta, które bohater odziedziczył po wuju Stefanie Gromille, a które jest obiektem drwin, bo z wyglądu przypomina skrzyżowanie czołna z larwą. Ma jednak tajemnicę: pod maską skrywa silnik z ferrari 410 super america rozbitego pod Zakopanem. Pojazd nie tylko rozwija zawrotną prędkość, ale też pływa.

I to właśnie „Pan Samochodzik” stał się nieomal synonimem nazwiska-pseudonimu „Nienacki”.

A właściwie dlaczego „Nienacki”?

Na świat przychodzi jako Zbigniew Tomasz Nowicki, syn Stanisława Jana i Cecylii. Dokładnie w Nowy Rok, z samego rana, w roku 1929. Ma starszego brata Wojciecha, a potem jeszcze rodzi się Andrzej. Ojciec jest niskiego szczebla urzędnikiem, matka uczy polskiego i plastyki. To ona zachęca Zbyszka, by pisał. Przeżywają go „małym kłamczuszkim”, bo lubi wymyślać historie.

Mieszkają w Chojnach, na przedmieściach Łodzi. Po wybuchu wojny zostają wysiedleni. Ponad cztery lata żyją na wsi pod Skierniewicami. Po prostu tak wyszło, że ich pociąg zatrzymał się akurat na tej stacji.

Przyszły pisarz kopie ziemniaki, pomaga w zniwach, wypasa krowy. I czyta. Z biblioteki zorganizowanej w małym dworku pożycza Juliusza Verne’a, „Winnetou” oraz – cóż, tak chce legenda – „Wstęp do psychoanalizy”. Tej Zygmunta Freuda. Interesuje się także historią.

Będzie twierdził, że do komunistycznego Związku Walki Młodych wstąpił przez drewniaki. W czasie okupacji nie ma innych butów. Gdy próbuje się zaciągnąć do Szarych Szeregów, słyszy, że przecież w czymś takim nie można maszerować. Obserwuje więc maszerujących z krzaków z rosnącą nienawiścią. Po wojnie łatwo da się uwieść hasłom o równości.

Czy to prawda – nie wiadomo. Podobnie jak matura. Miał czy nie miał?

Na początku 1945 roku wraca z rodziną do Łodzi. Gdy tylko słyszą wieść o wyzwoleniu miasta, rusza z ojcem pieszo na zwiady. Idą pośród srogiej zimy, raz po raz natykając się na zamrożone zwłoki odarte z butów. W mieszkaniu zastają niemiecką rodzinę. Musi je opuścić.

16-letni Zbyszek wraca do szkoły i po trzech latach ją kończy, ale – według relacji jednego z kolegów – do matury nie przystępuje. Siedzi w tym czasie w Borach Tucholskich, próbując napisać wielkoporną powieść. Na pierw-

szym roku łódzkiej Filmówki znajduje się z polecenia tego samego kolegi.

Chodzi o poetę Tadeusza Gieryskiego, który dostał stypendium w Moskwie, ale ojciec nie pozwolił mujechać, więc zaproponował na swoje miejsce Nowickiego.

Co z tego, że w gimnazjum pisał referaty: „Dlaczego uważam Stowackiego za poetę burżuazyjnego”? Co z tego, że uciekał z domu, by pomagać w reformie rolnej? Że w imię dziejowej sprawiedliwości wspierał redystry-

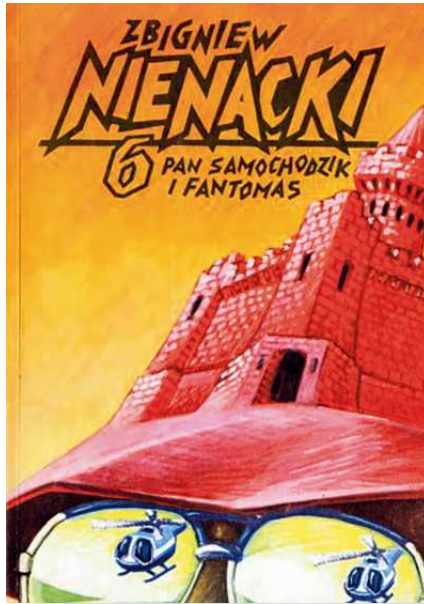
bucję szlacheckich dóbr? Co z tego, że – jak będzie twierdził w czasie stanu wojennego – w latach 40. zwalczał podziemie antykomunistyczne?

W Związku Radzieckim to wszystko za mało. Na zebraniach młodzieży odbywają się masochistyczne orgie samokrytyki, wciąż trzeba się biczować za ideologiczne wątpliwości – nieważne, czy ma się je naprawdę, czy tylko mogłoby się je kiedyś mieć.

Zbigniew czuje się okropnie samotny, wszechobecna paranoja go przytłacza. Ale kiedy zgłasza chęć wcześniejszego powrotu do kraju, tylko się pograża. To okres najgłębszego stalinizmu. Po serii nieprzyjemnych rozmów wyjeżdża na własną rękę. Choć jest też inna wersja: że go wydalone.

Z jego opowieści wynika, że jest prześladowany. Nie dostaje zgody na kontynuowanie studiów, znajomi przestają go poznawać na ulicy. Ojciec traci pracę w urzędzie, druk jego pierwszej powieści zostaje wstrzymany, ma myśli samobójcze.

A jednak serca do komunizmu nie traci. Nadchodzi odwilż październikowa, a z nią jego debiut książkowy. Poezją (!) debiutował jeszcze przed wyjazdem. „Kuźnica” zamieściła na pierwszej stronie dwa wiersze (w „Do poety” pisał: „Bez smutku jak bez radości żyć już nie potrafisz/ Otacza się świat różny jak kwiaty jak bruki/ Pisać lepiej nie będziesz gdy żyć lepiej nie możesz” itd.). Publikował też humoreski w słynnych „Szpilkach”, ale w końcu się obraził, bo nie wszystko mu puszczali.



Jest dziennikarzem. Pracuje w dziale rolnym „Głosu Robotniczego”, potem przenosi się do „Odgłosów”, gdzie za kolegów ma m.in. Jarosława Marka Rymkiewicza i Stefana Bratkowskiego. Przez jakiś czas kieruje tam działem kobiecym.

Mniej więcej wtedy rodzi się Zbigniew Nienacki.

Odpowiedzi na pytanie, dlaczego Nienacki, jest kilka.

Pisanie pod pseudonimem – w związku z „pomoskiewskim” zamieszaniami – miał

mu doradzić jakiś życzliwy dygnitarz (być może Jerzy Putrament). I to on go zarekomendował ponoć do pracy w gazecie. Ale artykuły Zbigniew podpisywał jednak najczęściej „Nowicki”.

Prawdopodobnie po raz pierwszy użył formy „Nienacki” – przez „s”! – publikując w 1956 roku dwa pierwsze odcinki cyklu „Pamiętnik gorzkiego dojrzewania” w czasopiśmie „Kronika”. Ale pod trzecim pojawił się już podpis „Nienacki” – przez „c”, jak Komitet Centralny.

Literówka, która się przyjęła, czy świadoma zmiana?

Zdaniem żony pisarza zaczerpnął pseudonim z trylogii Stefana Żeromskiego „Walka z Szatanem”, w której pojawia się szlachetny idealista, z zawodu architekt, Ryszard Nienaski.

Zupełnie co innego wynika ze wspomnień bibliotekarza z łlawy, poety Wiesława Niesiołowskiego, któremu miał się zwierzyć z okoliczności wybrania pseudonimu przy okazji jednego ze spotkań z czytelnikami.

Otóż według Nienackiego na przełomie lat 40. i 50. karty w literaturze polskiej rozdawali Żydzi. I nie podobało im się, gdy ktoś się nazywał Nowicki. Książek nie czytali – oceniali z góry. Pisarz więc jakoby zadrwił sobie, podkreślając formą „Nienacki”, że jego przybrane nazwisko wcale się na „-cki” nie kończy, choć kończy.

Zostawmy to może bez komentarza.

Ostatnia z wersji jest taka, że „Nienacki”, bo działał „znienacka”.

Tak czy owak w 1957 roku nakładem Naszej Księgarni ukazała się powieść dla młodzieży „Uroczysko” podpisana Zbigniew Nienacki. Były w niej wątki detektywistyczne, historia i archeologia. Zwiastun „Pana Samochodzika”? Po latach książka została przerobiona i ukazała się znowu, tym razem pod tytułem „Pan Samochodzik i święty relikwiarz”.

Nienacki nosi czarny skórzany płaszcz z futrzanym kołnierzem, kapelus z w stylu Philipa Marlowe’a i okulary. Bardzo dużo pali. Mieszka już na Piotrkowskiej, najbardziej prestiżowej ulicy w Łodzi, bywa w SPATiF-ie, Klubie Dziennikarza czy – najchętniej – w Honoratce.

Ten niewielki lokal bez toalety (za potrzebą biega się do restauracji po drugiej stronie ulicy) wieczorami zaludniają pisarze, filmowcy i aktorzy teatralni, uwiecznieni w kilku powieściach. Przy jego okrągłych stolikach szkicuje flamastrem karykatury znajomych. Uchodzą za udane.

Nie rozstaje się z laseczką. Niedawno wydał w Czytelniku, w popularnej serii „Z jamnikiem”, kryminał „Laseczka i tajemnica”. Ta powieściowa skrywała bagnet.

Jego dorobek szybko się powiększa, niektórym wydaje się to podejrzane. „Fakt, że autor »Worek Judaszów« z jednakową łatwością potrafi w sposób potoczny i uproszczony przyrządzać tak różne powieściowe coctails – nie może budzić wielkiego zaufania” – Helena Zaworska pisze w „Nowych Książkach” po premierze „Sumienia”.



To psychologiczna powieść o sądowym ławniku (autor też nim był przez chwilę, pracował społecznie), który przeżywa rozterki moralne po oddaniu głosu za karą śmierci dla dwukrotnego mordercy kobiet.

Z kolei „Worek Judaszów” jest powieścią polityczną o „żołnierzach wyklętych” (!), dość wybiórczo – co widać z perspektywy – traktującą prawdę. Dziś niemal zupełnie zapomniany, przez lata był najczęściej tłumaczoną na języki obce książką Nienackiego. W Polsce nie ukazał się od razu.

„Złożyłem ją w wydawnictwie



MON – wspominał rozgoryczony autor – gdzie otrzymała negatywną recenzję Wandy Leopold. Przekazałem ją do Iskier, gdzie otrzymała negatywną opinię Wandy Leopold. Przekazałem ją do Czytelnika, gdzie znowu otrzymała negatywną ocenę Wandy Leopold. Wtedy już się zdenerwowałem i właśnie wówczas zainteresował Jerzy Putrament. Książkę przekazano innemu recenzentowi i ukazała się drukiem”.

O zarzut podejrzanego łatwości pisania jest nie mniej wkurzony. Nietrudno go sprowokować. Gdy przeczyta o sobie coś negatywnego, wdaje się w polemiki. Zaworskiej odpowiada w „Odgłosach”:

„Czy chodzi o to, że moje książki się lekko i łatwo czyta? Ależ ja cały swój trud i całą swoją umiejętność wkładam w to, aby osiągnąć tę lekkość. Na spotkanie z czytelnikami przywożem kiedyś rękopis wydanej książki. Jakież było rozczarowanie czytelników, gdy im pokazałem, że scena, którą w książce tak czyta się, jakby sfrunęła z pióra – miała czternaście wersji, pracowałem nad nią gorzej niż katorżnik, lepiłem, kleilem rękopis, przedstawiałem syk słów, od nowa przepisywałem, żeby wciąż zmieniać. Potem wyszło z tego zaledwie cztery strony, o tak, bardzo lekkie. W czytaniu”.

Jolanta Wrońska, publicystka: „Był trudny w codziennym kontakcie. Manieryczny, czasem pyszałkowaty, czasem wyciszony, zawsze uważny obserwator. Potrafił często sam ze sobą pisywać wywiady, jeśli nie w smak mu były pomysły dziennikarza. Potrafił zabronić druku tego, co powiedział, gdy mu nie pasowało nastawienie autora. Trochę kabotyń, trochę misjonarz, powiedział, że najrealniejszym ze światów jest świat fikcji. Często nie było wiadomo, czy kpi z rozmówcy, czy właśnie odśladania najintymniejsze zakątki duszy. Potrafił być sukinsynem bez litości”.

W sukcesie Pana Samochodzika nie ma przypadku. Autor to wszystko starannie zaplanował. Wyprowadził swoje czasy. Był i jest głęboko lewicowy w poglądach, ale w tym przypadku



działał
jak kapitalista.

Kilkadziesiąt lat przed tym, nim „grupa docelowa” i „potencjał komercyjny” zawładną polskim rynkiem wydawniczym do granic absurdu, Nienacki postanawia „postawić na czytelnika, czyli nauczyć się go odpowiednio stymulować i odpowiadać na jego zapotrzebowania”.

W ofercie szuka luki. Literatura czysto przygodowa odpada. Szklarski, Niziurski, Bahdaj, Ożogowska – za duża konkurencja. Czyta uważnie światowe bestsellery dla nastolatków i wypisuje sobie na kartce wszelkie punkty wspólne. Sięga też po klasykę, która przetrwała. Rozkłada ją na czynniki pierwsze, analizując, czemu to zawdzięcza.

Pierwszy wniosek: idolem młodych powinien być dorosły. Jak Zorro, Kapitan Nemo, Winnetou, Tarzan czy choćby Hans Kloss. Tym będzie się wyróżniał, bo u wymienionych wyżej autorów głównymi bohaterami są dzieci. U niego – tylko pomagają.

Wniosek drugi: w czytelnikach jest tęsknota za zwycięskim herosem bez skazy. Kimś posagowym na przekór prawdopodobieństwu. To rodzaj archetypu. A jak najlepiej odrobić lekcję z archetypów? Nienacki już ma w rękach kolejną książkę: eseje Carla Gustava Junga. Ołówkę idzie w ruch.

Gdy szkielet jest gotowy, trzeba go uwspółcześnić i opakować mięsem, które przetestował wcześniej, np. w kryminale. Nic tak nie rozwija akcji jak śledztwo, przyda się zagadka, wątek detektywistyczny. Do tego historia, archeologia, zabytki – bez trudu tym żongluje, bo to jego hobby. A upowszechnianie wiedzy zjedna mu rodziców (wiadomo, kto płaci za książki).

Tak oto 17 lat przed pierwszym filmem o Indianie Jonesie na świat przychodzi jego polski odpowiednik. Naukowiec (muzealnik), pasjonat archeologii, poszukiwacz przygód. Kawaler. Zawsze wygrywa, jest sympatyczny, ma atrybuty. I choć to niezwykle samochód, a nie lasso, kapelusz i skórzana kurtka, schemat jest ten sam. George Lucas i Steven Spielberg czytali, wiadać, podobne lektury.

Po trzech pierwszych tomach Nienackiego stać na dom. To prawda, że najtańszy ze wszystkich, które mu się spodobały, i że sypia najpierw na dmuchanym materacu, a pisze przy składanym stoliku turystycznym. Wkrótce jednak remontuje nieruchomości i wygodnie się urządza. Choć – jak twierdzą znajomi – jest oszczędny na granicy skąpstwa.

W 1990 roku tygodnik „Wprost” zamieścił nazwisko-pseudonim autora „Pana Samochodzika” na liście dziesięciu najlepiej zarabiających polskich artystów.

„Umieszczenie Nienackiego na liście najbogatszych twórców w Polsce tłumaczy wiele – komentował aktor i pisarz Witold Filler. – Ale nie wszystko. Na przykład tłumaczy, dlaczego nie lubi go środowisko, ale nie tłumaczy, dlaczego on nie cierpi środowiska. Tymczasem obie strony po prostu sobie zazdroszą. Oni jemu forsy, a on im... ba!”. Aleksander

Minkowski, literat: „On sam uważał siebie za geniusza, do którego świat nie dorósł”.

„A przecież gdy po raz pierwszy położyła się naga na tapczanie i rozrzuciwszy na boki szczupłe uda, ukazała mu swą kobiecość podobną nieco do stulonego kwiatu o bladorożowych płatkach, nieregularnych i postrzępionych na brzegach (a potem uj-

rzał ów kwiat już rozwinięty, ale jeszcze nie całkiem rozchylony, polyskujący delikatną rosą i wabiący tajemniczą głębią czerwonego kielicha) doznał tak ogromnego pożądania, że w pośpiechu połamął ząbki błyskawicznego zamka w spodniach” – to cytata z najgłośniejszej książki Nienackiego dla dorosłych.

„Raz w roku w Skrolawkach” sprzedaje się spod lady, a w bibliotekach czytelnicy zapisują się do niej w kolejkach. Część nakładu tajemniczo znika już z drukarni. Nie z powodu walorów literackich, lecz tzw. momentów. Uwagami o pornografii autor jest jednak głęboko dotknięty. A gdy Daniel Passent szydzi z jego „opisów przyrody” w felietonie w „Polityce”, Nienacki opowiada, że był to atak „inspirowany z góry”, żeby „przypodobać się Kościolowi”.

Jego monumentalne dzieła, jak „Liście dębu” czy „Dagome iudex” nie spotykają się z uznaniem. Ale pod domem w Jerzwałdzie zatrzymują się autokary pełne młodych miłośników Pana Samochodzika. Wśród listów od wielbicieli, które wysypują się ze skrzynki, są ponoć tacy nadawcy jak Zygmunt Kałużyński, Michałina Wisłocka czy Janusz Korwin-Mikke. Fan-kluby jego książek dla młodzieży zawiązują się jeszcze przed śmiercią Nienackiego w 1994 roku (zawały, niewydolność krążenia, palenie). Potem ich tylko przybywa.

Żona sprzedaje prawa do kontynuacji, dziś jest ich ponad sto: „Pan Samochodzik i Janosik”, „Pan Samochodzik i perły książecznej Daisy”, „Pan Samochodzik i Pałac Kultury i Nauki”... Nie wiadomo, kto to czyta. Ortodoksyjni fani nie zostawiają



nemu już wy. Któregoś razu został zaproszony do pobliskiej szkoły, by opowiedzieć dzieciom o Stachurze. Ale kiedy nieopatrznie wspomniał, że poznał także Nienackiego, o poezji się skończyło. Był już tylko Pan Samochodzik. ●

na tych książkach suchej nitki. Ale za-potrzebowanie musi być, skoro wciąż się ukazują. Pisał je m.in. gwiazdor gawędowego fantasy Andrzej Pilipiuk – jako Tomasz Olszakowski. Autor znany z konserwatywnych poglądów i krytykowania przeszłości socjalizmu.

I nawet anegdota o spotkaniu Nienackiego ze Stachurą ma dodatkową puentę. Znamy ją dzięki wspomni-

biotekarzowi z Iławy. Któregoś razu został zaproszony do pobliskiej szkoły, by opowiedzieć dzieciom o Stachurze. Ale kiedy nieopatrznie wspomniał, że poznał także Nienackiego, o poezji się skończyło. Był już tylko Pan Samochodzik. ●



Korzysta-łam m.in. z książek „Zbigniew Nienacki. Życie i twórczość” Mariusza Szyłaka (Oficyna Wydawnicza „Warmia”) i „Pan Samochodzik i jego autor. O książkach Zbigniewa Nienackiego dla młodzieży” Piotra Łopuszańskiego (Nowy Świat). Premiera „Pana Samochodzika i templariuszy” na Netflixie w środę 12 lipca, a w sierpniu w księgarniach nowa biografia „Nienacki. Skandalista od Pana Samochodzika” autorstwa Jarosława Molendy

TO ONI RATUJĄ LUDZKIE ŻYCIE

NA GRANICY POLSKO-BIAŁORUSKIEJ

„Nikt nie jest bardziej niż MIKOŁAJ GRYNBERG uprawniony do napisania tej książki, do wysłuchania opowieści dzisiejszych Sprawiedliwych i niesprawiedliwych z Podlasia. Bo łączą się tu stare i dzisiejsze traumy, wyzwania i wybory. Tajemnica zła wydaje się stosunkowo łatwa do rozszyfrowania. Mało komu natomiast, nawet spośród tych największych, udało się wyjaśnić tajemnicę dobra. Ta książka jest piękną i uczciwą próbą zrozumienia.

AGNIESZKA HOLLAND

PREMIERA 12 LIPCA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publico.pl

weekendówka

59

WSRÓD TRAW

Autorką wielu haseł jest **Aleksandra Mijakoska-Siemion**

W czerwcu 1877 roku w All England Lawn Tennis and Croquet Club, londyńskim klubie krokieta i tenisa (swoją drogą tenisistów włączono do klubu niedawno, bo ledwie dwa lata wcześniej) zaczął niedomagać specjalny walec do trawy, niezbędny do utrzymania odpowiedniego stanu kortów.

Szefowie klubu, by zebrać środki potrzebne do naprawy bądź wymiany sprzętu na nowy, zorganizowały turniej, w którym wpisowe wynosiło jedną gwinę (21 szylingów, funt i pięć pensów). Zgłosiło się 22 zawodników, którzy rywalizowali o nagrodę pieniężną w wysokości 12 gwinei oraz puchar ufundowany przez magazyn sportowy „The Field”.

Pierwsze mecze na Wimbledonie, bo rzecz jasna o ten turniej chodzi, rozegrano 9 lipca 1877 roku. Finał odbył się 19 lipca (już wtedy organizatorom często szyki mieszał deszcz!), a triumfował w nim Spencer Gore, pokonując w trzech setach 6:1, 6:2, 6:4 Williama Marshalla. Gore wygrał głównie dzięki stosowaniu techniki wolejowej (uderzania piłki bezpośrednio z powietrza) – jest uważany za twórcę tego stylu gry – a wolej to do dziś jedna z najsukcesowniej, obok serwisu, broni na trawiastych kortach. Finałowe starcie oglądało ponad 200 widzów, a turniej przyniósł zysk w wysokości 10 funtów. Organizatorzy, zachęceni tym sukcesem, postanowili kontynuować tradycję i tak turniej wimbledoński dotrwał do naszych czasów.

Turniej, nieodmiennie grany na trawie, jako jedyna spośród imprez wielkoszlemowych rozpoczął się niedawno po raz 136. Ale my zarówno te wydarzenia najnowsze, jak i te dawniejsze, sprzed 146 lat, potraktujemy wyłącznie jako pretekst, bo bohaterką 60. – jubileuszowej! – „Weekendówki” będzie generalnie... trawa. W naprawdę różnym wydaniu. Przydadzą się zatem znajomość botaniki, wiedza z zakresu muzyki i literatury czy nawet malarstwa.

O pomoc w układaniu haseł poprosiliśmy Aleksandrę Mijakoską-Siemion, dziennikarkę „Wysokich Obcasów”, antropolożkę kultury, autorkę biegłą w tematach ekologicznych, która propaguje empatyczny stosunek do przyrody. Co więcej, Ola pisze też o sporcie, w tym tenisie – nie tak dawno poświęcając spory artykuł Idze Świątek i jej zmaganiom na turnieju w Rzymie.

Wszystko się zatem zgadza, Państwa zapraszamy do najnowszej „Weekendówki”, oczywiście życząc wszystkich cudownych emocji tenisowych. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

- Rozwiązanie „Weekendówki” nr 59 z 1.07:
- Poziomo:**
- 4) Skinner 7) Matplaneta 9) Roswell 11) Predator 12) era 13) talerze 14) brat 17) rower 19) macocha 20) Keanu 21) droga 23) Yoda 25) bajki 26) lot 27) Cameron 29) androidy 31) Alf 34) Ziemia 35) Elizabeth 37) Marsjanie 40) Stitch 41) żona 42) kontakt
- Pionowo:**
- 1) Carpenter 2) Spielberg 3) Star Trek 4) Spodek 5) inwazja 6) Ellen 8) Avatar 10) Jar Jar Binks 15) Tommy 16) Jordan 18) relacja 19) Mulder 21) Diuna 22) astronauta 24) Obcy 25) Bowie 26) ludziki 28) Alien 30) Drew 32) Leśmian 33) Thanos 36) Kent 38) Snow 39) akta
- HASŁO:
WENUSJANIN

MOWA-TRAWA
Hasła Aleksandry Mijakoskiej-Siemion oznaczono inicjałami (AM-S). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

3) przestarzałe: żęcie trawy lub zboża
5) „Trawa wzięta się w ... z trawą, oset nie daruje pokrzywie”, w wierszu Grochowiaka „Zioła żałobne”
7) na trawie, powstaje w wyniku skraplania się pary wodnej (AM-S)
8) jej „ambasadorem” jest Snoop Dog (AM-S)
10) zatrudniana w roli naturalnej kosiarki (AM-S)
11) przeszli Próbę Traw (Lambert, Eskel, Geralt...)

12) trawa dla watry lub trawka dla kwarty
13) Stephen ... i Joe Hill, współautorzy opowiadania „W wysokiej trawie”
14) ... traw, prawnie zakazane
17) termin kojarzący się ze zwrotem „pójść na zieloną trawkę”
20) Truman, autor opowieści „Harfa traw”
22) trawa pastewna zwana także brząnką
25) organizator zamachów na dżdźbła
26) „... traw”, powieść Mitcha Cullina sfilmowana przez Terry’ego Gilliana
27) trawa w wersji zwartej
28) stosowana do umacniania skarp, nasypów
30) mowa-trawa, pustostowie, czyli czcza ...
32) stadionowa zieleni
33) inaczej łodygi trawy (AM-S)

Pionowo:

1) wystąpiła u boku Warrena Beatty’ego w filmie „Wiosenna bujność traw”
2) kontynent, u którego wybrzeży odkryto trawę morską uważaną za największą roślinę na świecie
3) Ignacy, autor bajki „Fiołek i trawa”
4) „... na trawie”, obraz Maneta
6) trawiasta strefa zebr, lwów
7) ... wyniosły, wieloletnia trawa o szarawozielonych liściach
9) niejeden zatrudniony przy realizacji filmu „Dawno temu w trawie”
15) tytuł powieści Raymonda Queneau
16) pora ścinania i suszenia traw
17) duże pastwiska, trawiaste łąki

18) plony zielonych części traw i roślin motylkowatych (AM-S)
19) wysoka trawa uprawiana nad stawami m.in. na pokarm dla ryb; ryż wodny
21) „Zielono mi” Andrzeja Dąbrowskiego lub „Green Green Grass” z repertuaru Toma Jonesa
23) trawa pastewna zwana także ostrzycą
24) na pyłki traw (a psiki!)
29) stosowany w ogrodnictwie jako podłoże pod nasadzenia, trawniki
30) np. wąż trawny
31) Rus z parku w Rogalinie, na trawniku otoczonym barierką

Leszek Rydz

Byłe do

weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI

WYBORCZEJ